

Polska Zbrojna

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 5 (865) MAJ 2018

INDEKS 417 459 ISSN 0867-4523

AGAT

SMAK ZWYCIĘSTWA

Kulisy selekcji
do jednostki
specjalnej

Wszystko
o leczeniu
i diagnozowaniu
traumatycznego
urazu mózgu

CZY DLA
POLSKICH
WETERANÓW
SKOŃCZYŁA SIĘ
EPOKA PTSD,
A ZACZĘŁA
TBI?

Ślady wojny





Fot.: Narodowe Archiwum Cyfrowe

ŁAWKA NIEPODLEGŁOŚCI

■ KONKURS

NA PROJEKT ŁAWKI POMNIKOWEJ
UPAMIĘTNIAJĄCEJ
100. ROCZNICĘ ODZYSKANIA
PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

NAGRODA GŁÓWNA - **30 000 ZŁ**, DWA WYRÓŻNIENIA po **8500 ZŁ**





Z SZEREGU WYSTĄP

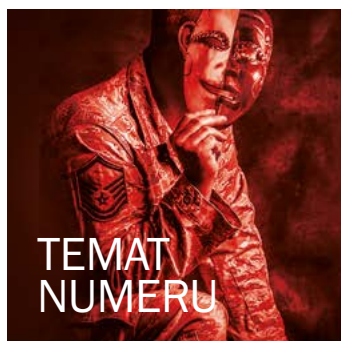
IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” ŻOŁNIERZE PO POWROCIE Z MISJI MUSZĄ NAUCZYĆ SIĘ ŻYĆ NA NOWO. TYLE ŻE CZĘSTO DOPIERO PO CZASIE OKAZUJE SIĘ, ŻE POTRZEBUJĄ KOMPLEKSOWEGO WSPARCIA SPECJALISTÓW, BO ZABURZENIA I DOLEGLIWOŚCI, Z JAKIMI SIĘ MIERZĄ, UNIEMOŻLIWIAJĄ IM ODNALEZIEŃ SIĘ W SPOŁECZEŃSTWIE.

Pojawiają się trudności z funkcjonowaniem w życiu rodzinnym i zawodowym. Taką cenę płacą za udział w misjach, za służbę ojczyźnie. Specjaliści medycyny wojskowej starają się poprawić jakość leczenia weteranów. Pomagają im w walce nie tylko z PTSD, lecz także z zaburzeniem, o którym mówi się od niedawna – z zespołem powstrząśnieniowym mózgu. TBI (podobnie jak PTSD) nie zostało zakwalifikowane jako jednostka chorobowa i niezwykle trudno je zdiagnozować. Wczesne wykrycie jest jednak bardzo ważne, gdyż szybko wprowadzone leczenie daje szansę na uniknięcie powikłań i zapanowanie nad dolegliwościami. Zachęcamy do zapoznania się z tematem numeru oraz z „Kurierem Weterana” przygotowanym przez Centrum Weterana Działających poza Granicami Państwa i redakcję „Polski Zbrojnej”. To znakomite kompendium wiedzy dla weteranów, ale też pismo, dzięki któremu cywile poznają historie i problemy żołnierzy biorących udział w misjach zagranicznych. Dla weteranów to bardzo ważne – być nadal potrzebnym, przekazywać swoją wiedzę i umiejętności, a także mieć wsparcie i szacunek społeczeństwa.



Symbole narodowe są szczególnie drogie sercom żołnierzy. Flagę traktują z najwyższą czcią, a hymn w czasie wojen zagrzewał ich do walki, dodawał odwagi i otuchy. W roku stulecia odzyskania niepodległości warto spojrzeć na ten aspekt przez pryzmat minionego wieku. Co symbolizuje korona na głowie orła? Dlaczego nie mamy flagi narodowej i flagi prezydenta? O tym opowiada wybitny heraldyk i weksylog Alfred Znamierowski. Zapraszamy do lektury! ■



TEMAT NUMERU

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

10 Ślady wojny

Wszystko o TBI, czyli zespole
powstrząśnieniowym mózgu

ANNA DĄBROWSKA

18 **Wzór** **na terapię**

Rozmowa z Grzegorzem
Gielerakiem

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

22 Okiełznanie **wspomnień**



ARMIA

KRZYSZTOF WILEWSKI

24 Przełom Wisły

Jak system Patriot zmienia
polskie wojsko

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

29 Niebo należy **do herculesa**

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

32 Nie zwalniamy tempa

Rozmowa z Wojciechem
Marchwicą

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

36 Poczuję smak **zwycięstwa**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

40 Debata przy **podzielnym stole**

MICHAŁ ZIELIŃSKI

44 Cierpliwy jak **zwiadowca**

PIOTR RASZEWSKI

48 Siła powtórzeń

EWA KORSAK

51 Bojowe raki

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

54 Kultura ratuje życie

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

60 Świat pod **powierzchnią**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

64 Mile pamięci



ARSENAŁ

PAWEŁ BEHRENDT

74 Przymiarki **do odbudowy potęgi**

Pierwszy japoński lotniskowiec

KRZYSZTOF WILEWSKI

81 Niewidzialne drony

ROBERT SENDEK

82 Nowe prawa logiki

KRZYSZTOF WILEWSKI

86 Pokoleniowa wymiana

TADEUSZ WRÓBEL

90 Bukareszt się zbroi

RAFAŁ CIASTOŃ

91 Król szybowców



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

92 Fantazje zachłannego **gracza**

Mocarstwowe aspiracje Turcji

MICHAŁ ZIELIŃSKI

99 Teatr niejednego **stratega**

ROBERT SENDEK

103 Oaza spokoju **w piekle**

TADEUSZ WRÓBEL

106 Militarny przystanek **Alaska**

RAFAŁ CIASTOŃ

110 Szczyt nadziei

PRZEMYSŁAW OSIEWICZ

113 Problem nie z tej **Ziemi**

TADEUSZ WRÓBEL

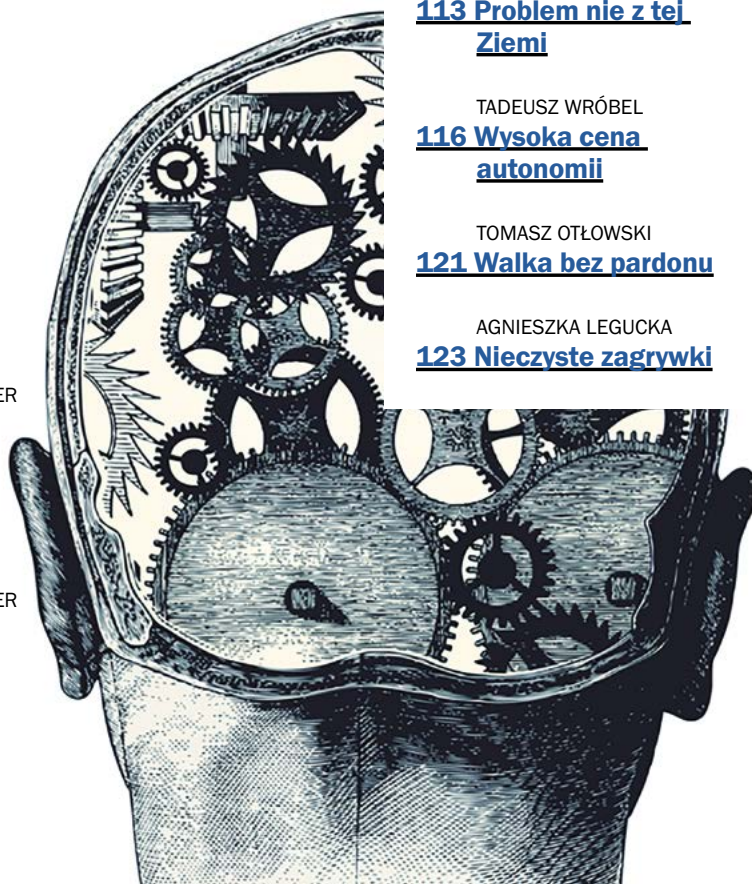
116 Wysoka cena **autonomii**

TOMASZ OTŁOWSKI

121 Walka bez pardonu

AGNIESZKA LEGUCKA

123 Nieczyste zagrywki





HISTORIA

ANNA DĄBROWSKA

124 Symbole polskiej tożsamości

Rozmowa z Alfredem Znamierowskim

PIOTR KORCZYŃSKI

129 Miał serce przeczyste

ROBERT SENDEK

132 Tropem Lisa

PIOTR KORCZYŃSKI

136 Przepis na kure pod czakiem

TADEUSZ WRÓBEL

138 Niezlomna catalina

KRZYSZTOF KUBIAK

141 Kły i pazury



HORYZONTY

EWA KORSAK

142 Ustrzelone kadry

Kuliszy pracy fotoreporterów z Combat Camery

MAGDALENA MIERNICKA,

MAGDALENA

KOWALSKA-SENDEK

148 Biegiem do patriotyzmu

JACEK MATUSZAK

150 Oni zasługują na pomoc

Rozmowa z Andrzejem Pindorem

ANNA DĄBROWSKA

154 Niebieska eskadra

ANDRZEJ FAŁARA

162 Wyrok na rotmistrzu



Zdjęcie na okładce:
Aaron Amat/Fotolia,
Marcin Dmowski/dział
graficzny

Znajdziesz nas tutaj:



wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-C A REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Paweł Behrendt, Rafał Ciastoń,

Andrzej Fałara, Krzysztof Kubiak, Jacek Matuszak,

Przemysław Osiewicz, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski,

Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz,

Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska, tel. 261 845 387,

261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 23.04.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.prenumerata.ruch.com.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Exemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

KADR





Kawalerzyści z 25 Brygady ćwiczyli desantowanie
z pokładu śmigłowca Mi-17 w Centralnym Ośrodku
Zurbanizowanym w Wędrzynie.

FOT. MICHAŁ WAJNCHOLD



Ocena terytorialsów

Powstały zasady opiniowania żołnierzy terytorialnej służby wojskowej.

W myśl obowiązującej od 1 stycznia 2017 roku ustawy o powszechnym obowiązku obrony, pełniący terytorialną służbę wojskową żołnierze niezawodowi wyznaczeni na stanowiska w jednostkach wojsk obrony terytorialnej będą podlegać corocznemu opiniowaniu. Ministerstwo obrony przygotowało szczegółowe zasady oceniania tej grupy żoł-

nierzy, docelowo liczącej około 45 tys. terytorialsów.

Zgodnie z propozycjami resortu obrony opinię służbową będzie sporządzał przełożony, który zajmuje stanowisko co najmniej dowódcy kompanii lub równorzędne. Opiniowanie ma być przeprowadzane nie rzadziej niż raz w roku. Ocena będzie dotyczyła takich

cech osobowych terytorialsa, jak: odpowiedzialność, efektywność rozumowania i precyzja wypowiedzi, komunikatywność, umiejętność współdziałania, rzetelność i wiarygodność, determinacja, odporność psychofizyczna, wygląd zewnętrzny i prezencja, umiejętność planowania i organizacji pracy, predyspozycje dowódcze. Zostaną wzięte pod

Kolejna czwórka

Do Polski trafią w 2020 roku dodatkowe samoloty M-346.

Siły powietrzne dostaną cztery dodatkowe samoloty M-346 w ramach zintegrowanego systemu szkolenia zaawansowanego (Advanced Jet Trainer – AJT). Inspektorat Uzbroje-

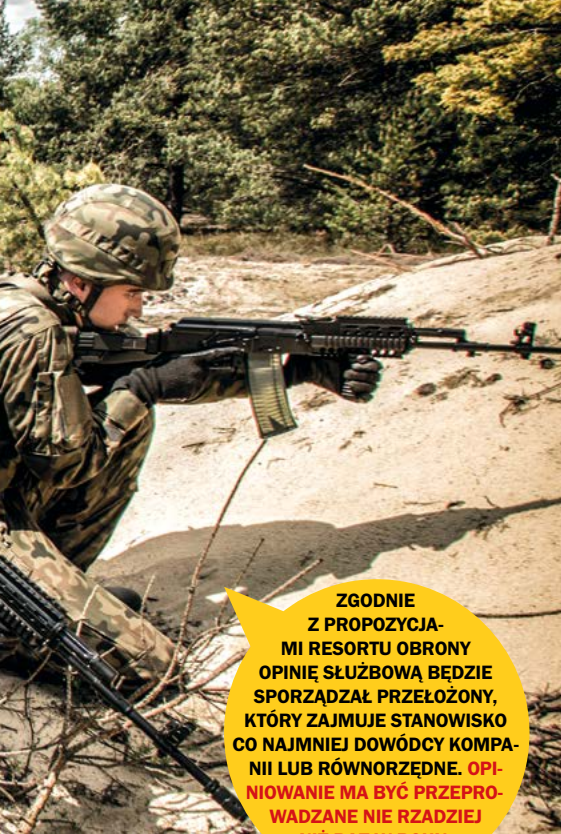
nia MON zawarł w tej sprawie umowę z włoską spółką Leonardo. Kontrakt obejmuje również pakiet logistyczny oraz siedem stanowisk symulatorowych. Maszyny zostaną dostarczone do Polski do końca października 2020 roku i trafią do 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie. Wartość zamówienia to blisko 488 mln złotych. Na nowych samolo-

tach będą się szkolić przede wszystkim podchorążowie, kandydaci na pilotów wielozadaniowych F-16.

Zawarta niedawno umowa zawiera też opcję kupna dodatkowych czterech maszyn. „Jeśli nasza armia się na to zdecyduje, to Włosi mieliby czas na realizację zamówienia do końca października 2022 roku. Wartość tej dodatkowej części kontraktu opiewa na 550 mln z racji bardziej rozbudowanego pakietu logistycznego”, mówi ppłk Robert Wincenciak, rzecznik prasowy Inspektoratu Uzbrojenia. PZ, PG

Wartość zamówienia to blisko 488 mln złotych.





**ZGODNIE
Z PROPOZYCJĄ
MI RESORTU OBRONY
OPINIĘ SŁUŻBOWĄ BĘDZIE
SPORZĄDZAŁ PRZEŁOŻONY,
KTÓRY ZAJMUJE STANOWISKO
CO NAJMNIEJ DOWÓDCY KOMPANII
LUB RÓWNORZĘDNE. OPINIOWANIE
MA BYĆ PRZEPROWADZANE
NIE RZĄDZIEJ NIŻ RAZ W ROKU.**

uwagę także przebieg służby wojskowej, przestrzeganie przepisów o ochronie informacji niejawnych oraz dyscypliny wojskowej.

Żołnierz będzie mógł otrzymać ocenę wzorową, bardzo dobrą, dobrą, dostateczną lub niedostateczną (wtedy będzie można zwolnić go przed terminem zakończenia służby). Podobnie jak w wypadku żołnierzy zawodowych, terytorialsom będzie przysługiwało prawo odwołania się od opinii służbowej w ciągu siedmiu dni od zapoznania się z nią. PZ, PG ■



**GEN. CURTIS
CAPARROTTI**

w kwietniu 2017 roku został odznaczony przez prezydenta RP Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi RP za wkład w budowę bezpieczeństwa w naszym regionie.

Na straży wschodniej flanki

Gen. Curtis Scaparrotti, naczelny dowódca sił sojuszniczych w Europie, odwiedził szczeciński Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni.

Spotkał się m.in. z oficerami, którzy przygotowują ćwiczenia „Anakonda”. Podczas tych manewrów korpus stworzy mobilne stanowisko dowodzenia, z którego będzie kierował całością sił. W Szczecinie z generałem spotkał się wiceminister obrony Tomasz Szatkowski. Rozmowa dotyczyła sytuacji bezpieczeństwa w Europie, w tym szczególnie na wschodniej flance, gdzie sojusz rozmieścił batalionowe grupy bojowe w ramach tzw. wzmocnionej wysuniętej obecności. Gen. Scaparrotti wizytował także dowodzoną przez Amerykanów grupę bojową NATO w Bemowie Pińskim i spotkał się z żołnierzami z USA, Wielkiej

Brytanii, Rumunii i Chorwacji służącymi rotacyjnie w Polsce. Odwiedził również wielonarodowe batalionowe grupy bojowe stacjonujące od 2017 roku w Estonii, na Litwie i Łotwie.

Gen. Curtis Scaparrotti stoi na czele Dowództwa Sił Sojuszniczych ds. Operacji w Mons w Belgii. Podlega mu wszystkie dowództwa operacyjne NATO w Europie oraz najważniejsze szczeble taktycznego. Jednym z nich jest Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni. Od czerwca 2017 roku funkcjonuje jako dowództwo sił wysokiej gotowości i odpowiada za wszystkie siły lądowe NATO na wschodniej flance. PZ, MG ■

DRONY DLA SPECJALSÓW

Operatorzy wojsk specjalnych dostaną amerykańskie bezzałogowce. Kontrakt na dostawę dla polskiej armii zestawu dronów rozpoznawczych RQ-21A BlackJack podpisał Departament Obrony USA z amerykańską firmą Insitu, będącą częścią koncernu Boeing. Umowa o wartości ponad 11 mln dolarów zostanie zrealizowana w ramach procedury Foreign

Military Sales. Bezzałogowce znajdą się w polskiej armii do końca lipca 2018 roku.

Drony RQ-21A BlackJack o długości 2,5 m i rozpiętości skrzydeł 4,9 m ważą 37 kg. Osiągają prędkość maksymalną 137 km/h i mogą zabrać 18 kg ładunku. Z RQ-21A BlackJack korzystają amerykańska marynarka wojenna oraz piechota morska. Pol-

ska będzie trzecim, po Kanadzie i Holandii, zagranicznym użytkownikiem tych maszyn. Składający się z pięciu statków powietrznych zestaw RQ-21A BlackJack będzie piątym typem dronów w naszych siłach zbrojnych. Polska armia ma już zwiadowcze bezzałogowce Orbiter, Fly Eye, zestaw Scan Eagle, a także uderzeniowe drony Warmate. PZ, KW ■



TEMAT NUMERU

/ ZDROWIE



Traumatic Brain Injury, czyli traumatyczny uraz mózgu, jest zaburzeniem diagnozowanym w medycynie od 15 lat, głównie w Stanach Zjednoczonych.

KEVIN MILLIKEN/USAF

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ŚLADY WOJNY

**Od zakończenia misji
bojowej w Afganistanie
mineły cztery lata. Nie wszyscy
żołnierze rozliczyli się jednak z wojenną
przeszłością. Jakie blizny pozostały im
po tej operacji?**



E

ra PTSD się kończy. Nie bierzemy już udziału w misjach bojowych, więc liczba żołnierzy cierpiących na stres bojowy nie wzrasta”, twierdzi płk dr n. med. Radosław Tworus, kierownik Kliniki Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii Wojskowego Instytutu Medycznego i konsultant wojskowej służby zdrowia do spraw psychiatrii. Zaznacza przy tym, że ciągle w Polsce jest grupa osób ze zdiagnozowanym zespołem stresu pourazowego oraz takich, które mimo występujących objawów nie podjęły leczenia. „Udział w misjach spowodował u wielu żołnierzy zmiany w życiu. Mamy często do czynienia z zaburzeniami adaptacyjnymi. Żołnierzom trudno po powrocie zaakceptować relacje małżeńskie, nowe jednostki wojskowe, w których służą, czy nawet nowych przełożonych. Często mają też poczucie krzywdy, bo mało kto pamięta o ich bohaterstwie. Świat poszedł do przodu, a oni nadal żyją misją”, podkreśla płk Tworus.

KIEDY POCZĄTEK

Od momentu powstania kliniki, czyli od 2008 roku, leczono tam około 500 weteranów. „Najwięcej pacjentów mieliśmy w czasie naszego najintensywniejszego zaangażowania w misję. Teraz borykamy się częściej z innymi problemami niż PTSD”, mówi kierownik Kliniki Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii WIM. Pułkownik wymienia np. uzależnienie od alkoholu czy leków, które żołnierze traktują jako następstwo misji bojowej. „Nie zawsze klarowne jest to, z czego wynikają trudności adaptacyjne czy problemy związane z uzależnieniami żołnierzy

po misji i kiedy miały one faktyczny początek. Czy jest to wynik traumatycznych sytuacji, których doświadczyli w czasie operacji, czy takie zachowania przejawiali już wcześniej?”, rozważa Sebastian Chmieleński, kierownik Zespołu Psychologii Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia MON.

Wskazuje też na problem PTSD wśród byłych żołnierzy, którzy odeszli z wojska. Choć mają taką możliwość, to nie zawsze chcą korzystać z pomocy oferowanej im przez armię. „Kiedy żołnierz cierpiący na PTSD służy w jednostce, to oczywiście nikt nie zmusi go do leczenia w podmiotach nadzorowanych przez MON, mających duże doświadczenie w rozpoznawaniu i terapii zaburzeń. Dowódca – np. za pośrednictwem konsultanta-psychologa – może jednak reagować tak, by żołnierz rozpoczął leczenie. Jeśli jednak taka osoba już odeszła z wojska, to niewiele można zrobić”, podkreśla psycholog.

Z tezą, że problem PTSD wśród żołnierzy maleje po zakończeniu misji bojowych w Iraku i Afganistanie, zgadza się Sylwia Szymańska, psycholog i psychoterapeuta, wieloletni pracownik WIM-u, teraz związana z oddziałem psychiatrii w szpitalu wojewódzkim w Łomży.

Szymańska jest także konsultantem wojskowej służby zdrowia do spraw psychologii. „Przez ponad dekadę pracowałam z żołnierzami, którzy borykają się z zaburzeniami psychicznymi wynikającymi z traumatycznych przeżyć na misjach. Rzeczywiście problem PTSD maleje. Jednak ciągle pojawiają się nowi pacjenci. Niektórzy przez lata cierpieli, ale nie szukali pomocy medycznej albo byli źle diagnozowani. Amerykanie często opisują tzw. odroczone PTSD, które, notabene, badacze tego zjawiska obserwowali właśnie u weteranów”, opisuje psycholog. Za



„Najwięcej pacjentów mieliśmy w czasie naszego najintensywniejszego zaangażowania w misję. Teraz borykamy się częściej z innymi problemami niż PTSD”, mówi płk dr n. med. Radosław Tworus.

DOŚWIADCZENIA ZZA OCEANU

Warmii USA od 2000 do 2011 roku rozpoznano 233 425 przypadków TBI, spośród których niemal 179 tys. (77%) zostało sklasyfikowanych przez Defence Veterans Brain Injury Center (organizacja zajmująca się w US Army badaniami nad bojowymi

urazami mózgu) jako łagodny traumatyczny uraz mózgu – mTBI.

Amerycanie policzyli, że przez ostatnich dziesięć lat mTBI najczęściej powstawały w wyniku eksplozji ładunków wybuchowych. Uznali oni także, że zdarzenia doprowadzające do wystąpienia

tego urazu wywierają wpływ na rozwój zespołu stresu pourazowego. Objawy PTSD wystąpiły w ostrej postaci u 40% żołnierzy US Army po zdarzeniu, które skutkowało początkowo mTBI lub bTBI. U 42% weteranów objawy mTBI i PTSD występowały równocześnie. ■

przykład podaje pacjenta, który przed rokiem trafił do WIM-u. Weteran dziesięć lat wcześniej przeżył traumę i przez cały ten czas cierpiał z tego powodu. Sam próbował sobie radzić, aż w końcu uznał, że nie obędzie się bez pomocy specjalistów. „PTSD potrafi uderzyć nagle ze zdwojoną siłą, czasami po latach od traumy, gdy pewne sytuacje przypominają nam o trudnych przeżyciach. To oczywiście nie jest standardem, ale takie historie też się zdarzają. Nadal są tacy, którzy w cichości swoich mieszkań i domów cierpią”, zaznacza Szymańska.

MIKROŚLADY W MÓZGU

Psychologowie i psychiatrzy z WIM-u zauważyli, że PTSD jest jednym z najczęstszych następstw zdrowotnych misji wojennych w Iraku i Afganistanie, ale niejedynym. Drugie to TBI (Traumatic Brain Injury), czyli traumatyczny uraz mózgu. To zaburzenie diagnozowane jest w medycynie, głównie w Stanach Zjednoczonych, od około 15 lat. Specjaliści ze stołecznego szpitala wojskowego kilka lat temu podjęli się pierwszego w Polsce naukowego opracowania tego problemu. Badania prowadzono w ramach szerszego projektu „Afgan”.

Inicjatywę podjęto, by wpłynąć na poprawę bezpieczeństwa żołnierzy na misjach przez działanie w dwóch dziedzinach: wojskowej medycyny i techniki. W program „Afgan” byli zaangażowani specjaliści z Wojskowego Instytutu Medycznego, Wojskowej Akademii Technicznej, Akademii Sztuki Wojennej, Wojskowego Instytutu Techniki Pancernej i Samochodowej oraz Politechniki Śląskiej, a także pracownicy AMZ Kutno ze wsparciem firmy Rosomak SA. Eksperci z różnych dziedzin przeprowadzili badania doświadczalne, poligonowe, symulacyjne, komputerowe, a także medyczne.

Testom poddano żołnierzy z całej Polski, którzy uczestniczyli w zdarzeniach wybuchowych. Najważniejszym efektem programu było wprowadzenie w transporterach rozwiązań konstrukcyjnych, które zminimalizują skutki eksplozji min. Wykonane badania przyczyniły się do wypracowania propozycji rozwiązań konstrukcji energochłonnych możliwych do wykorzystania do ochrony żołnierzy, np. zastosowania kół beczciśnieniowych, paneli przeciwybuchowych czy innego mocowania foteli.

Do udziału w projekcie zaproszono weteranów. Przeszli oni kilkanaście różnego rodzaju badań nieinwazyjnych →

z ortopedii, laryngologii, dermatologii oraz psychiatrii. I te ostatnie, zakończone w grudniu 2017 roku, pokazały, że polscy żołnierze cierpią lub cierpieli na dolegliwości związane z zespołem powstrząśnieniowym mózgu (w USA opisywanym jako TBI). „Z inicjatywy doktora Tworusa psycholodzy pracujący w klinice podjęli się przeprowadzenia neuropsychologicznej oceny zdrowia weteranów. Zajmowaliśmy się wpływem zdarzenia bojowego na powstawanie TBI w różnych jego odmianach oraz PTSD”, mówi Sylwia Szymańska.

Traumatyczny uraz mózgu może mieć trzy stopnie głębokości: łagodny, średni i poważny, które różnią się nasileniem objawów. Ważne przy szacowaniu skali są tu np. informacje dotyczące tego, czy pacjent w wyniku wybuchu stracił świadomość, a jeśli tak, to na jak długo oraz czy utracił pamięć. Kierownik Kliniki Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii WIM wyjaśnia, że TBI najczęściej przybiera formę łagodną, czyli „mild” (stąd skrót mTBI). „Chodzi o wiele zmian w ośrodkowym układzie nerwowym, które następują w wyniku działania fali uderzeniowej i ciśnienia, wytwarzających się w momencie wybuchu. Można je porównać do urazu bokserskiego. Nie jest to choroba, bo sportowiec po nokaucie podnosi się na ringu i może np. udzielić wywiadu prasowego. To jest stan, w którym dochodzi do mikrourazów w ośrodkowym układzie nerwowym. Nie doprowadzają one do stałego uszkodzenia struktury mózgu, ale mogą mieć wpływ na funkcjonowanie człowieka po takim zdarzeniu”, wyjaśnia psychiatra.

O mTBI mówimy wówczas, gdy zaburzenia świadomości występują od 20 minut do godziny od wybuchu, a amnezja pourazowa nie trwa dłużej niż 24 godziny. Definicja TBI została ponad dekadę temu poszerzona przez amerykańskich ekspertów medycyny pola walki. Uznano, że to będące konsekwencją działania fali uderzeniowej wybuchu jest opisywane w literaturze jako bTBI od słowa „blast” – chodzi o tzw. uraz z podmuchu.

TERAPIA? NIEKONIECZNIE

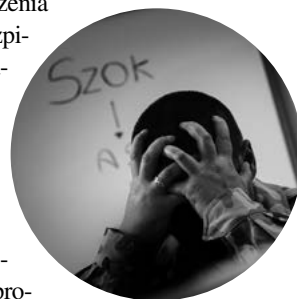
Łagodne traumatyczne uszkodzenie mózgu, czyli mTBI, występuje u weteranów najczęściej (wg danych z USA – od 2000 do 2011 roku było 77% takich przypadków wśród weteranów, któ-



O MTBI MÓWIMY WÓWCZAS, GDY ZABURZENIA ŚWIADOMOŚCI

WYSTĘPUJĄ OD 20 MINUT DO GODZINY OD WYBUCHU, A AMNEZJA POURAZOWA NIE TRWA DŁUŻEJ NIŻ 24 GODZINY

rzy ucierpieli w wyniku wybuchu ajdika) i jest najtrudniejsze do zdiagnozowania. „Zwykle średni lub głębszy uraz mózgu jest dobrze udokumentowany medycznie. Poszkodowanego, który jest nieprzytomny, ma głębokie zaburzenia świadomości, bezpośrednio z miejsca zdarzenia ewakuuje się transportem medycznym do szpitala, więc pacjent ma odpowiednio prowadzoną dokumentację medyczną”, opisuje Sylwia Szymańska. „O mTBI mówi się często, że ma objawy ukryte. Weterani mogą nawet nie być świadomi, że coś im dolega. Poza tym nie wszystkie z kilkunastu objawów tego zaburzenia muszą występować jednocześnie. Żołnierz może mieć problemy z koncentracją, gorzej widzieć, ale nie zgłasza tego, bo nie łączy tych objawów z wybuchem i urazem mózgu”, dodaje psycholog. Z tego powodu skala mTBI może nie być dokładnie określona. „Żołnierz może być zdezorientowany i oszołomiony nie przez uraz, a np. przez ilość



Lekarze w Polsce i w Stanach Zjednoczonych są zgodni co do tego, że objawy mTBI powinny z czasem ustąpić.



SYLWIA SZYMAŃSKA: „O mTBI mówi się często, że ma objawy ukryte. Weterani mogą nawet nie być świadomi, że coś im dolega”.

MICHAŁ NIWICZ

działań bojowych, dynamikę akcji, nadmierny stres, dysocjację czy niedospanie. I tu możliwe są błędy szacunkowe, bo wykrywanie mTBI opiera się w dużym stopniu na samoreportowaniu żołnierzy”, dodaje Sylwia Szymańska. Psycholog przyznaje, że gdybyśmy chcieli dokładnie zbadać, czy weteran poszkodowany cierpi na to schorzenie, to trzeba by w trakcie działań wojennych zrobić stopklatkę i przeskanować jego mózg, co oczywiście jest niemożliwe. „Uszkodzenie mTBI zostawia ślady w mózgu, ale jest to widoczne, gdy zrobimy czułe na tego typu zmiany badania neurourazowe, ale nie może być to wykonane np. kilka miesięcy po zdarzeniu”.

Amerykańscy lekarze i psychologowie mają jednak narzędzia, które pozwalają w niedługim czasie po wybuchu ocenić, czy pacjent cierpi na mTBI. Opracowano serię testów diagnostycznych, które oceniają funkcje poznawcze i wydolnościowe mózgu żołnierza. Ofiara wybuchu wykonuje krótko po takim wypadku zadania – np. trening z zapamiętywania, odwzorowywania narysowanych elementów, proste rachunki arytmetyczne. Jeśli wychodzą jakieś braki, powtarza się badanie przez kilka dni do czasu, aż deficyty poznawcze ustąpią. Wówczas żołnierz US Army wraca do swoich obowiązków. „Niektórzy z Polaków też spotkali się z taką diagnostyką. Gdy brali udział w zdarzeniu razem z Amerykanami, byli poddawani przesiewowej ocenie psychologicznej. Ale potem, już w kraju, przyznawali w rozmowach ze mną, że sami nie wiedzieli, w jakim celu kazano im mnożyć i dodawać, zapamiętywać słowa”, opisuje Szymańska.

Leczenie mTBI jest kontrowersyjnym tematem. W Stanach Zjednoczonych od lat prowadzi się badania dotyczą-

ce tego zaburzenia i próbuje niwelować jego objawy. Za oceanem funkcjonują oddziały psychiatryczne, można skorzystać z leczenia, które przyspieszy powrót weterana do pełnej sprawności. Bardzo popularne są tam działania rehabilitacyjne oraz terapie prowadzone w domu – wówczas weteran otrzymuje komputer z wcześniej zainstalowanymi programami, które pozwalają mu ćwiczyć odpowiednie funkcje mózgu.

Amerykanie zalecają jednak czasowe odsunięcie żołnierza z mTBI od działań bojowych, sugerują odpoczynek. Czasami wystarczy jednak, by poszkodowany przez pewien czas wykonywał proste czynności albo był pod obserwacją. „Uważam, że to rozsądne podejście, bo nie powinno się bagatelizować objawów urazu mózgu. Żołnierz z mTBI może np. źle ocenić sytuację na polu walki, mieć opóźniony czas reakcji, przez co stanowi zagrożenie dla siebie i kolegów”, przyznaje Sylwia Szymańska.

Psycholog wątpi jednak w sens programów rehabilitacyjnych, które są prowadzone kilka lat po traumatycznym wydarzeniu. „Objawy mTBI najbardziej są widoczne od kilku dni po zdarzeniu do trzech miesięcy. Potem powinny samoistnie ustąpić. Oczywiście ta reguła nie dotyczy wszystkich żołnierzy”, dodaje. Doktor Tworus podkreśla co prawda znaczenie badania żołnierza bezpośrednio po wybuchach, ale zauważa, że działanie na polu walki rządzi się swoimi prawami. „Musimy wziąć pod uwagę to, że w sytuacji, kiedy żołnierzowi nie grozi utrata życia, najważniejsze będzie wykonanie zadania, a nie badanie i rehabilitacja. Jeśli dopuścimy do tego, że badania diagnozujące mTBI będą ważniejsze niż ochrona życia, to możemy narazić wojsko na poważniejsze konsekwencje. Od TBI nikt na pewno nie umrze”, zaznacza płk Tworus.

TBI TO NIE PTSD

Lekarze w Polsce i w Stanach Zjednoczonych są zgodni co do tego, że objawy mTBI powinny ustąpić z czasem. Specjaliści z Wojskowego Instytutu Medycznego postanowili sprawdzić tę hipotezę w ramach projektu „Afgan”. Badania neuropsychologiczne ochotników, którzy przeżyli na misji np. wybuch ładunku, były prowadzone podczas dwudniowej hospitalizacji. Żołnierze zostali poddani trzygodzinnemu badaniu, wykonywali też testy psychologiczne. Spośród 222 osób u 59 pojawił się przynajmniej jeden z objawów mTBI, u 105 były symptomy mTBI i te sugerujące PTSD. Średnia wieku badanej grupy wyniosła 34 lata, ale oszacowano, że od zdarzenia minęło od dwóch do



ośmiu lat. „To zbyt długo, byśmy mogli w pełni zobaczyć objawy mTBI. U niektórych były jeszcze śladowe oznaki tego zaburzenia”, mówi Szymańska.

Jednym z wniosków psychiatrów i psychologów pracujących w ramach programu „Afgan” było to, że należy wypracować narzędzia, które pozwolą na badanie żołnierzy po wybuchu ajdika jeszcze na teatrze działań. Specjaliści, którzy służyli w szczytowym czasie zaangażowania PKW Afganistan, przyznają, że nie stosowano żadnej procedury badawczej pozwalającej wykryć mTBI na misji, choć prowadzono wywiady i obserwacje poszkodowanych w wyniku wybuchu ajdika.

Nasuwa się pytanie: dlaczego warto diagnozować mTBI, skoro teoretycznie objawy tego zaburzenia powinny ustąpić samoistnie? Radosław Tworus i Sylwia Szymańska przyznają, że badania są niezbędne, by lepiej zrozumieć zaburzenia, do których dochodzi w centralnym układzie nerwowym. Ponadto, co niezwykle istotne, w badaniach amerykańskich i polskim programie „Afgan” potwierdzono, że objawy mTBI są istotnym predyktorem wystąpienia PTSD, oba zaburzenia mogą też pojawić się równocześnie.

WALKA WETERANA

Inaczej ten złożony problem postrzega środowisko weteranów. Sprawę TBI porusza Grzegorz Wydrowski, prezes Fundacji „Sprzymierzeni z GROM”, pomagającej rodzinom funkcjonariuszy jednostek specjalnych, którzy zginęli lub zostali ranni na służbie. „Walczę o to, by TBI zostało wpisane do indeksu chorób. Wówczas będzie można stworzyć odpowiednie procedury, które zapewniłyby żołnierzom, funkcjonariuszom, którzy teoretycznie bez szwanku wychodzili np. z wybuchu ajdików pod ich pojazdem lub w jego pobliżu, niezbędne badania neurologiczne i psychologiczne”, mówi Grzegorz Wydrowski.

On przeżył takie zdarzenie. Przed wypadkiem służył w Jednostce Wojskowej GROM. Był żołnierzem w grupie bojowej oraz instruktorem m.in. nurkowania bojowego. Wielokrotnie brał udział w operacjach poza granicami kraju. W 2009 roku wyleciał na swoją drugą misję do Afganistanu. „W tym czasie w GROM-ie szkoliłem młodszych stażem żołnierzy. W jednostce była praktyka, aby instruktorów wysyłać na mi-



Grzegorz Wydrowski postanowił rozpocząć publiczną dyskusję na temat TBI. W 2016 roku pod patronatem Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwa Zdrowia zorganizował sympozjum na ten temat.

AMERYKAŃSCY LEKARZE I PSYCHOLOGOWIE MAJĄ NARZĘDZIA, KTÓRE POZWALAJĄ OKREŚLIĆ, CZY PACJENT CIERPI NA **MTBI**. OPRACOWANO SERIĘ TESTÓW DIAGNOSTYCZNYCH, KTÓRE OCENIAJĄ FUNKCJE POZNAWCZE I WYDOŁNOŚCIOWE MÓZGU ŻOŁNIERZA

sje z sekcjami bojowymi. Mieliśmy doświadczenie z operacji, którego brakowało naszym młodszym kolegom. Pomagaliśmy im i sami zdobywaliśmy kolejne doświadczenia”, mówi Wydrowski.

Felernego 29 maja 2009 roku zespół zadaniowy wyjechał z bazy Giro, by wesprzeć polskie wojska konwencjonalne. „Podczas patrolu mieliśmy kontakt ogniowy z przeciwnikiem. Ściągnęliśmy QRF [Quick Reaction Forces – siły szybkiego reagowania] i po wszystkim wracali-

śmy już do bazy”, opowiada Wydrowski. Wtedy MRAP, którym poruszali się żołnierze, najechał na ajdika i wyleciał w powietrze. Według Amerykanów, którzy analizowali miejsce wypadku, było to ponad 100 kg ładunku wybuchowego. Pojazd został przerzucony kilka metrów dalej. „Straciłem świadomość, a ocknąłem się, gdy usłyszałem warkot silników zabezpieczających nas pojazdów. Rozejrzałem się, wszyscy byliśmy cali. Ja też. Zgłosiłem dowódcy patrolu przez radio, że nic nam nie jest”, wspomina Wydrowski. Żołnierze wrócili do bazy.

KŁOPOTY Z DIAGNOZĄ

„Po wypadku czułem się jak po hucznej imprezie. Bolała mnie głowa, byłem zmęczony”, przyznaje weteran. Zbadał go lekarz. „Trafiłem do chirurga dziecięcego, bo tylko taki był w bazie. Pytał, czy coś mnie boli, przeprowadził standardowy wywiad lekarski”, mówi żołnierz. „Ponieważ nie miałem żadnych dolegliwości fizycznych, złamań, widocznych stłuczeń głowy ani ran, to skończyło się na tym, że lekarz na moją prośbę wypisał dokument, że miał miejsce wypadek. Myślę, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co mogło mi dolegać”, opowiada były żołnierz. Dodaje, że z doświadczeń wyniesionych z misji w Iraku wiedział o amerykańskich procedurach, zgodnie z którymi po takim zdarzeniu żołnierze są transportowani do szpitala. W 2009 roku w Afganistanie w polskim kontyngencie takich procedur jednak nie było. Żołnierze po trzech, czterech dniach wrócili do swojej bazy w Ghazni. Wydrowski miał obolałe całe ciało, szczególnie narzekał na głowę i czuł się zmęczony. Dowódca kontyngentu zdecydował o ewakuacji medycznej do Bagram żołnierzy, którzy brali udział w zdarzeniu, by sprawdzić ich stan zdrowia. Tam zostali zbadani dokładniej, ale nie postawiono żadnej dokładnej diagnozy. „Doktor zleciła dalsze badania w Polsce. Powiedziała nam, że wybuch mógł spowodować mikropeknienia w naszych organizmach, a następstwa tego urazu mogą wystąpić właściwie w każdym momencie naszego życia, nagle możemy stracić słuch, wzrok, mowę. Nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi”, wspomina weteran.

Po powrocie do kraju Wydrowski stanął przed komisją lekarską obowiązkową dla żołnierzy po misji i dostał skierowanie na badania. „Okazało się, że mam uraz głowy, ale orzecznicy nie łączą go z misją. Podejrzewali, że mogłem go mieć wcześniej. Nie zgadzam się z tym, bo przecież wszyscy jesteśmy przed wyjazdem bardzo solidnie badani. Czy ktoś puściłby mnie na misję, gdyby coś mi dolegało?”, zastanawia się Grzegorz Wydrowski. Orzecznicy podjęli decyzję, że żołnierz ze względu na zły stan zdrowia nie będzie mógł już więcej wyjeżdżać na tego typu operacje, nie może też skakać ze spadochronem oraz nurkować. Dla gromowca ta decyzja oznaczała koniec służby.

„W tej jednostce końskie zdrowie to podstawa. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym być w GROM-ie i nie brać udziału w operacjach bojowych. Dla mnie to było oczywiste, że odchodzę z wojska”, wspomina.

Z terminem „TBI” po raz pierwszy spotkał się po kilku latach od wypadku w czasie rozmowy z „Drago”, komandosem US Navy SEALs polskiego pochodzenia. Okazało się, że nękają go podobne dolegliwości – kłopoty ze snem, z koncentracją, ciągle zmęczenie. Miał problemy z pisaniem, mylił litery. „»Drago« powiedział mi o TBI, chorobie, która dotyka nie tylko żołnierzy, ale też sportowców czy ludzi po wypadkach komunikacyjnych. Wspomniał o terapiach, które pomogły mu się z tym uporać”, opowiada Wydrowski. Najpierw zatem próbował się dowiedzieć, czy w Polsce ktoś słyszał o takim schorzeniu i czy istnieje u nas jakaś terapia, która chociaż złagodzi jego dolegliwości. „Nie znalazłem zrozumienia wśród lekarzy”, twierdzi prezes Fundacji „Sprzymierzeni z GROM”.

NIE DAJE ZA WYGRANĄ

Wydrowski rozpoczął publiczną dyskusję na temat TBI. W 2016 roku pod patronatem Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwa Zdrowia zorganizował sympozjum na ten temat. Rok później do Polski przyleciał „Drago”, by w imieniu fundacji Brotherhood Beyond Battlefield, która pomaga weteranom Navy SEALs leczyć TBI, podpisać porozumienie o współpracy między obiema organizacjami, m.in. w kwestii leczenia polskich weteranów w USA.

Pomysł do tej pory nie został zrealizowany ze względu na koszty. Wydrowski nie dał jednak za wygraną. „Uważam, że TBI powinno być jednostką chorobową związaną ze służbą i jej następstwem. Walczę też o ujednolicenie przepisów dla komisji lekarskich w kontekście orzekania PTSD i TBI oraz zaburzeń związanych z tymi chorobami”, mówi. Swoje prośby skierował m.in. do Kancelarii Prezydenta RP, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów oraz Ministerstwa Obrony Narodowej. Apele środowiska związanego z Fundacją „Sprzymierzeni z GROM” nie znalazły poparcia specjalistów z Wojskowego Instytutu Medycznego. „Nie ma potrzeby tworzenia nowej jednostki chorobowej, bo według istniejącego katalogu chorób możemy dopasować objawy TBI do zespołu powstrząszeniowego mózgu. Takie wytyczne daje m.in. »Międzynarodowa statystyczna klasyfikacja chorób i problemów zdrowotnych«. Ani lekarze diagnostycy, ani wojskowe komisje lekarskie nie mają problemu, by to schorzenie zakwalifikować”, wyjaśnia płk dr n. med. Radosław Tworus. Zaznacza przy tym stanowczo, że nie ma zgody środowiska medycznego na rozpoznawanie objawów mTBI kilka lat po zdarzeniu związanym z wybuchem. ■



Diagnozowanie
TBI jest trudne,
ponieważ to
schorzenie nie
musi wiązać się
z widocznymi
uszkodzeniami



WZÓR NA TERAPIĘ

Z Grzegorzem Gielera

**o nowych metodach leczenia TBI i braku tego
schorzenia w międzynarodowej klasyfikacji
chorób rozmawia Anna Dąbrowska.**

W ostatnich latach wiele się mówi, szczególnie w USA, na temat urazowego uszkodzenia mózgu, czyli TBI [Traumatic Brain Injury] i diagnozowania go u weteranów misji w Afganistanie czy Iraku. Czy jest to nowe schorzenie, które pojawiło się w wyniku obrażeń na misjach, czy też występowało już wcześniej?

Uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego diagnozujemy od dawna, także w Wojskowym Instytucie Medycznym. Występowało ono zarówno wśród żołnierzy, jak i cywilów. Po urazie mózgu, np. w wyniku wypadku na poligonie czy wypadku komunikacyjnego, u części pacjentów po jakimś czasie obserwowano m.in. zmiany w zachowaniu, kłopoty z zapamiętywaniem czy neurologiczne objawy ubytkowe. Takie dysfunkcje neurologicy określali terminem „cerebrastenia pourazowa”. Teraz, w związku z częstszym leczeniem rannych weteranów, z których wielu doznało urazów mózgu, zintensyfikowano badania na ten temat i nadano tym obrażeniom nową nazwę.

Czym zatem jest TBI?

To zespół chorób, których wspólną cechą jest uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego wskutek urazu. Jego przyczyną może być uderzenie, wstrząs, ciśnienie. Wśród weteranów misji poza granicami kraju najczęściej jest to oddziaływanie fali uderzeniowej spowodowanej wybuchem, wśród cywilów zaś są to wypadki komunikacyjne i upadki z wysokości.

TBI mogą wywołać powtarzające się mikrourazy?

Oczywiście. Przykładem może być żołnierz, który latami bierze udział w kontrolowanych wybuchach. Wydaje się, że nic mu nie dolega, ale po jakimś czasie, w następstwie mikrourazów powodowanych wybuchami, może rozwinąć się u niego TBI. Innym przykładem są wojskowi nurkowie. W czasie kwalifikacji nie wykonuje się rutynowo badań pozwalających jednoznacznie wykluczyć obecność ubytku w przegrodzie międzyprzedsionkowej. Zwykle człowiek z taką wadą może chodzić całe życie. Jeśli nawet pojawi się u niego mikrozakrzep, to zatrzyma się w łożysku naczyniowym płuc. Dalej się nie przemieści z uwagi na różnicę ciśnień między prawym i lewym przedsionkiem. Podczas schodzenia pod wodę ciśnienie w tzw. prawym sercu staje się wyższe niż w lewym. Dlatego u osoby nurkującej skrzeplina z prawego przedsionka może się przedostać do lewego, a stamtąd 70% wędruje do mózgu. Wtedy dochodzi do udaru, a w najlepszym wypadku do mikrozatorowości mózgu. Jeśli taki uraz się powtarza, z czasem może dojść do trwałych zmian organicznych w mózgu, nurkowi może zmienić się charakter, staje się nerwowy. Mówi się, że to stres spowodowany służbą, a to mogą być mikrozakrzepy w mózgu. Dlatego uważam, że dla wojskowych nurków badania przezprętykowe serca powinny być obowiązkowe.

Jakie objawy wskazują na TBI?

Bardzo różne. Zarówno fizyczne – bóle i zawroty głowy, zmęczenie, zaburzenia wzroku, mowy, czucia, porażenia,





P. BŁAWICKI

WIZYTÓWKA

**GEN. DYW. PROF.
DR HAB. N. MED.
GRZEGORZ
GIELERAK**

problemy ze snem, jak i mentalne – trudności z koncentracją, kłopoty z pamięcią, czy emocjonalne – drażliwość, agresja, depresja, niepokój, lęk.

Wiele z nich bardzo przypomina objawy obserwowane w zespole stresu pourazowego [Post-Traumatic Stress Disorder – PTSD]...

To prawda. Zresztą pacjenci z TBI często spełniają też kryteria PTSD, ponieważ skutkiem uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego może być jego dysfunkcja, która niesie za sobą zaburzenie nie tylko funkcji poznawczych, ale też społecznych czy psychicznych. Zdarza się, że chorzy z PTSD doznali także urazu mózgu.

Jednak nie każde uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego będzie się wiązało z zespołem stresu pourazowego, podobnie jak nie zawsze brak takiego uszkodzenia może wykluczyć PTSD.

Łatwo chyba zatem o pomyłkę w diagnozie... Czym te choroby różnią się od siebie?

W TBI przyczyną objawów musi być fizyczny uraz, czyli uszkodzenie mózgu. Nie można się go nabawić od samej traumy psychicznej. Z kolei o PTSD jeszcze dziesięć lat temu mówiło się, że jest zaburzeniem funkcjonalnym, formą nerwicy. Teraz wiemy – m.in. z programu „Afgan”, po badaniach weteranów, którzy w czasie misji w Afganistanie przeżyli wewnątrz transportera opancerzonego wybuch miny pułapki – że osoby z tą chorobą mają mikro-uszkodzenia mózgu. Przyczyną może być jednak nie uraz, lecz traumatyczne doświadczenie.

Skoro niektóre objawy PTSD i TBI są podobne, to czy w obu wypadkach można stosować te same metody leczenia?

Tak, ale na dalszym etapie. Na początku, jeśli uszkodzeniu mózgu towarzyszą obrażenia wielonarządowe i chory trafia do szpitala z rozległymi urazami i złamaniami, wy-

Od 2007 roku jest dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego. Pod jego kierunkiem uruchomiono w WIM-ie kilka programów zdrowotnych dla żołnierzy, m.in. program profilaktyki chorób układu krążenia oraz program „Afgan”, w którego ramach przebadano ponad 220 żołnierzy rannych lub poszkodowanych podczas wybuchów min pułapek w Afganistanie. Badania te przyczyniły się do zwiększenia odporności transporterów opancerzonych na wybuchy ajdików. General jest też laureatem Buzdygana 2015. ■

maga on intensywnej terapii. W Wojskowym Instytucie Medycznym, który jest jednocześnie centrum urazowym dla Mazowsza, leczymy wiele takich osób, zarówno żołnierzy rannych bądź poszkodowanych na misjach i poligonach, jak i cywilów, którzy ulegli różnym wypadkom. Taki pacjent często wymaga pilnej interwencji chirurgicznej czy neurochirurgicznej, wentylacji mechanicznej do podtrzymania funkcji życiowych. Jednocześnie chronimy mózgowie, wprowadzając chorego w śpiączkę farmakologiczną. Ważne jest też, aby na wczesnym etapie urazu mózgu stosować szeroko rozumianą cytoprotekcję komórek ośrodkowego układu

nerwowego przez podawanie leków poprawiających ich metabolizm, żeby ograniczyć skutki urazu. Jeśli dojdzie do urazu mózgowia, mamy maksymalnie 72 godziny, żeby przyniosło to pozytywne skutki. Potem dochodzi do nieodwracalnych zmian i obumierania komórek, a leczenie może mieć już tylko charakter objawowy.

A co robić w sytuacji, kiedy nie wiadomo, czy pacjent doznał obrażeń mózgu?

Zwykle tego nie wiemy. Chory w szpitalu w pierwszych dniach, tygodniach jest utrzymywany w śpiączce farmakologicznej w celu ochrony funkcji mózgu i nie jesteśmy w stanie obiektywnie stwierdzić, jaka jest skala uszkodzenia mózgowia i jakie są tego skutki. Zobaczymy je dopiero tydzień lub dwa po zdarzeniu. Jeśli były to mikrowylewy czy krwiaki, to wszystko może zostać naprawione. Krwiek się wchłonie, w miejscu mikrouszkodzenia powstaną blizny. Będzie się wydawało, że pacjent wyzdrowiał, ale w kolejnych miesiącach mogą się pojawić dysfunkcje, zmiany w zachowaniu, kłopoty z zapamiętywaniem.

Jak to rozwiązać?

Pomóc ma nam program „Afgan”. Analizujemy w nim, czy można wiązać skalę obrażeń narządowych z wystąpie-

W przypadku TBI przyczyną objawów musi być fizyczny uraz, czyli uszkodzenie mózgu

niem w kolejnych latach TBI lub PTSD. Dzięki temu moglibyśmy opracować wzór, który na podstawie wielkości obrażeń wskazywałby, kiedy istnieje duże prawdopodobieństwo uszkodzenia także ośrodkowego układu nerwowego. Co ciekawe, spodziewaliśmy się, że im cięższe rany, tym większe prawdopodobieństwo wystąpienia TBI. A tak nie jest. Okazało się z kolei, że istnieje ścisły związek między uszkodzeniem ucha środkowego w następstwie wybuchu ładunku pod rosomakiem a rozwinieniem PTSD i TBI u osób, które tego doświadczyły. Czynnikiem, który odpowiadał za ten uraz, najczęściej były fala uderzeniowa i gwałtowny skok ciśnienia, które mogły uszkodzić także mózg. Diagnozowanie TBI jest jednak niezwykle trudne.

Dlaczego?

Ponieważ TBI nie musi wiązać się z widocznymi uszkodzeniami. Jeśli ograniczymy się do tomografii głowy, niewielka będzie szansa znalezienia mikrouszkodzeń. Jeżeli rozszerzymy badania o rezonans magnetyczny mózgowia, to możemy znaleźć zmiany, których poprzednio nie widzieliśmy, a kolejne, jeśli jeszcze uzupełnimy diagnostykę o scyntyografię perfuzyjną mózgu, która umożliwia jego zobrazowanie dzięki wprowadzeniu do organizmu niewielkich dawek izotopów promieniotwórczych. Zwykle pozostajemy jednak przy standardowej diagnostyce i uznajemy, że jeśli nie znajdujemy uszkodzeń mózgowia podczas rezonansu i tomografii, to nie doznało ono urazów i nie można mówić o TBI.

A jeśli chory mimo to ma objawy TBI?

W medycynie zawsze leczymy pacjenta, a nie wyniki badań. Jeśli występują objawy neurologiczne i nie budzą one wątpliwości, np. jest to odruch Babińskiego, polegający na grzbietowym zgięciu palucha w trakcie drażnienia powierzchni stopy, który świadczy o uszkodzeniu drogi korowo-rdzeniowej mózgu, to takiego chorego leczymy. To, że nie znajdujemy w jego badaniach obrazowych uszkodzeń mózgowia, świadczy tylko o niedoskonałości tych badań. Dlatego gdy widzimy objawy, rozpoczynamy leczenie.

Jak wygląda późniejsza terapia TBI?

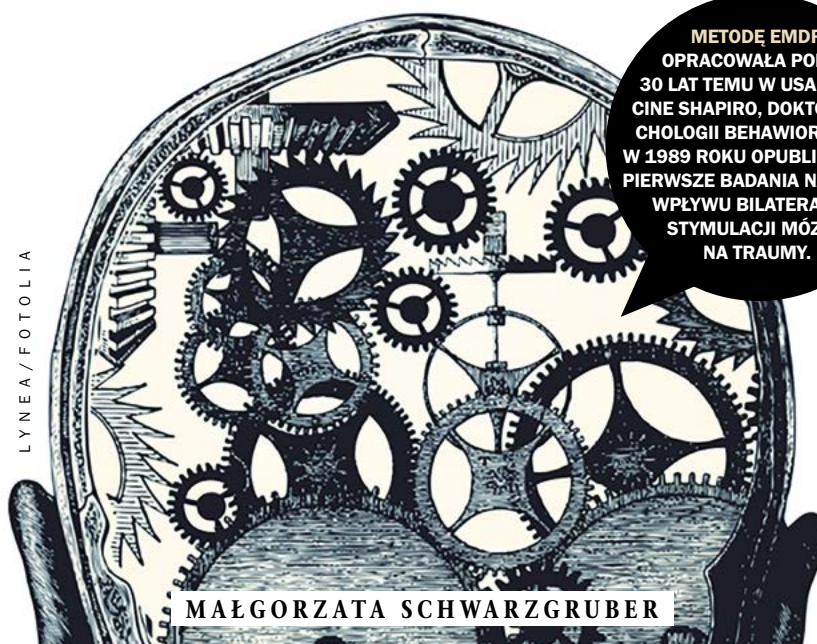
To najczęściej farmakoterapia, psychoterapia i inne metody, które sprawdziły się u weteranów z PTSD. WIM jest np. jedną z pierwszych placówek na świecie, która leczy urazy mózgu i PTSD w komorze hiperbarycznej. Aktywny tlen pomaga w szybszej regeneracji tkanki mózgowej, co wstępnie potwierdzają badania prowadzone w USA. Kolejna metoda to wirtualna rzeczywistość, w której stopniowo ekspozujemy pacjenta na bodźce odpowiadające za wystąpienie dysfunkcji i przywracamy w ten sposób funkcje jego mózgu. Choć są badania dowodzące, że obie te metody mogą być skuteczne, nie mamy jednak jeszcze twardych dowodów na to, że tak jest. Ich działanie nie zostało do końca potwierdzone. Z tego względu nie są uznane za metodę terapeutyczną i Narodowy Fundusz Zdrowia za nie nie płaci. Zresztą ani PTSD, ani TBI jako jednostka chorobowa nie występują w międzynarodowej klasyfikacji chorób. Na potrzeby statystyczne i rozliczeń finansowych kodujemy oba schorzenia jako odmianę nerwicy.

Co jest potrzebne, aby zostały objęte tą kwalifikacją?

Międzynarodowy konsensus lekarzy i badaczy. Im więcej wypadków takich zachorowań będzie diagnozowanych i leczonych, tym większa szansa, że zarówno same PTSD i TBI, jak i metody ich leczenia zostaną uznane za odrębne jednostki nozologiczne i objęte międzynarodową kwalifikacją [nozologia zajmuje się podziałem i klasyfikacją chorób oraz ich opisem].

Mówił Pan o nowych metodach leczenia TBI, w tym hiperbarii. Czy jeszcze jakieś inne nowości naukowe dotyczące tego schorzenia pojawiły się w USA?

Korzystamy z doświadczeń amerykańskich dotyczących wprowadzenia do diagnostyki TBI dwóch nowych badań. Jednym z nich jest funkcjonalny rezonans magnetyczny. Za jego pomocą mierzony jest wzrost przepływu krwi i utlenowania aktywnej okolicy mózgu. Drugie badanie to pozytonowa tomografia emisyjna, czyli PET. Jest to technika medycyny nuklearnej, która umożliwia ocenę procesów metabolicznych zachodzących w organizmie, w tym także aktywności metabolicznej tkanki mózgowej. ■



METODĘ EMDR OPRACOWAŁA PONAD 30 LAT TEMU W USA FRANCINE SHAPIRO, DOKTOR PSYCHOLOGII BEHAWIORALNEJ. W 1989 ROKU OPUBLIKOWAŁA PIERWSZE BADANIA NA TEMAT WPŁYWU BILATERALNEJ STYMULACJI MÓZGU NA TRAUMY.

Okiełznanie wspomnień

Terapia polegająca na odpowiednim poruszaniu gałkami ocznymi jest skuteczna w leczeniu stanów lękowych.

Metoda wywodzi się z praktyki, a nie z teorii, twierdzi psycholog Marzena Oleńdzka, prezes Polskiego Towarzystwa Terapii EMDR. Eye Movement Desensitization and Reprocessing, czyli terapię odwrażliwiania za pomocą ruchu gałek ocznych, stosuje się w leczeniu ofiar wypadków, gwałtów, chorych na depresję oraz cierpiących na zespół stresu pourazowego.

OSOBISTE DOŚWIADCZENIA

Podczas sesji pacjent skupia się na traumatycznym wspomnieniu i jednocześnie wodzi wzrokiem za ręką psychologa, od jednej strony do drugiej. Terapeuta może też korzystać ze stymulacji słuchowej lub dotykowej przez opukiwanie określonej części ciała.

Metodę EMDR opracowała ponad 30 lat temu w USA Francine Shapiro, doktor psychologii behawioralnej. W 1989 roku opublikowała pierwsze badania na temat wpływu bilateralnej stymulacji mózgu (pobudzenie obu półkul w tym samym czasie) na ofiary traumy. Odkryła, że szybkie i powtarzające się ruchy gałek ocznych redukują lęk u osoby, która przeżyła silny stres. Podstawą tego odkrycia były jej osobiste doświadczenia.

Odczuwała silny lęk, gdy lekarze zdiagnozowali u niej chorobę nowotworową. Zauważyła wtedy, że kiedy przypomina sobie traumatyczne zdarzenia, jej gałki oczne mimowolnie szybko się poruszają. Zaobserwowała również, że kiedy myśli o chorobie i jednocześnie wodzi oczami w lewo i prawo, zmniejsza

ZAINTERESOWANI TERAPIĄ EMDR mogą skontaktować się z psychologiem w Centrum Weterana Działających poza Granicami Państwa pod adresem e-mail: a.siemion-mazurkiewicz@ron.mil.pl, tel.: 261 842 078.

się niepokój i przychodzi ulga. Shapiro zaczęła badać to zjawisko.

„Terapię EMDR stosuje się w pracy z pacjentami próbującymi poradzić sobie z traumatycznymi wspomnieniami, które zostały nieprzetworzone lub zablokowane. Są one łatwo wyzwalone, prowadzą do ponownego przeżywania dramatycznego wydarzenia i wywołują ból”, mówi Anna Siemion-Mazurkiewicz, psycholog w Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa. U podstaw tej terapii leży zasada, że nie trzeba koniecznie opowiadać dokładnie o takim doświadczeniu, aby uporczywe wspomnienia przestały powracać. Pacjent nie zawsze jest w stanie przypomnieć sobie wszystkie szczegóły z przeszłości. Ważne jest, aby wróciło to wspomnienie, które ma zostać przetworzone, oraz aby skupił on swoją uwagę na odczuwanych emocjach i doznaniach. Celem terapii jest zmiana sposobu myślenia o traumatycznym wydarzeniu.

Marzena Olędzka tłumaczy, jak do tego dochodzi: „EMDR łączy elementy wielu metod psychoterapeutycznych, a tym, co ją od nich odróżnia, jest aspekt neurofizjologiczny. Terapia dzieli się na kilka części. Najpierw przeprowadza się dokładny wywiad i wybiera nieprzetworzone traumatyczne wspomnienia. Następnie pacjent wodzi wzrokiem za dłonią terapeuty i myśli o konkretnym wydarzeniu z przeszłości. Stymulacja pomaga mózgowi wrócić do przeszłości, aby doprowadzić do końca zablokowany wcześniej proces przetwarzania informacji, które wówczas docierały do pacjenta. Towarzyszące tym wspomnieniom negatywne przekonania o sobie zmieniają się na pozytywne lub na bardziej racjonalne”. Częstotliwość i długość sesji terapeutycznych zależy od potrzeb pacjenta. Początkowo terapia EMDR była wykorzystywana do pracy z osobami z zespołem stresu pourazowego (Post-Traumatic Stress Disorder – PTSD). Używano jej głównie w leczeniu weteranów wojennych. Teraz stosuje się ją także w leczeniu zaburzeń niezwiązanych z traumą.

TRAUMA PO MISJI

Andrzej dowiedział się o EMDR od psychologa z Centrum Weterana. Chociaż od powrotu z misji minęło już kilka lat, nadal nie potrafił sobie poradzić z traumatycznymi wspomnieniami. W Afganistanie był dowódcą roso-

mak, podjął decyzję o zmianie trasy. Wybrał krótszą drogę, mimo że wcześniej planował wracać dłuższą, ale bardziej uczęszczaną. Rosomak wjechał na ajdika i zginęli jego koledzy. Andrzej uznał, że to jego вина. Z takim przekonaniem wrócił do kraju. Nie potrafił już spontanicznie podejmować decyzji, np. nie mógł zjechać z trasy, którą wracał do domu, nawet wtedy gdy zadzwoniła żona z prośbą, aby kupił bułki. Lekarze zdiagnozowali u niego

PTSD. „Pomogło mi leczenie w szpitalu psychiatrycznym, ale obrazy w misji powracały”, wspomina. Widział kolegę umierającego na jego rękach, któremu nie potrafił pomóc, chociaż zatałował krwotok. Pamiętał też afgańskiego cywila, który podczas ostrzału wszedł na linię ognia. „Gdy przeszłość staje się teraźniejszością, człowiek przeżywa wciąż te same emocje i za każdym razem jest nimi równie intensywnie poruszony. Teraźniejsza sytuacja postrzegana jest przez pryzmat nieprzetworzonych negatywnych wspomnień”, tłumaczy Marzena Olędzka. Tak było w przypadku Andrzeja.

SKUTECZNOŚĆ EMDR ZOSTAŁA POTWIERDZONA KLINICZNIE. TĘ TERAPIĘ REKOMENDUJĄ M.IN. ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA ORAZ MIĘDZYNARODOWE TOWARZYSTWO BADAŃ NAD STRESEM TRAUMATYCZNYM

EMPIRYCZNIE SPRAWDZONE

Gdy nastąpił nawrót choroby i zaczęły się nasilać ataki agresji, Andrzej zdecydował się na terapię EMDR. Chodził na sesje z psychologiem przez kilka miesięcy. „Pozwoliła mi ona zrozumieć, jak reaguję na różne bodźce. Dziś wspomnienia nie wywołują już ataków paniki czy lęku”, ocenia Andrzej. Jak mówi, wspomnienia zostają w głowie, ale dziś ma do nich dystans. Traumatyczne wydarzenia z misji to zamknięty rozdział, a ich przywołanie nie zakłóca już codziennego funkcjonowania.

Skuteczność EMDR została potwierdzona klinicznie. Tę terapię rekomendują m.in. Światowa Organizacja Zdrowia oraz Międzynarodowe Towarzystwo Badań nad Stresem Traumatycznym. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne w wytycznych leczenia zaburzeń ostrego stresu i stresu pourazowego umieściło EMDR w najwyższej kategorii „A”, jako skuteczną i empirycznie popartą metodę terapii w wypadku traumy. Taka forma leczenia rozwija się też w Polsce, m.in. za sprawą Polskiego Towarzystwa Terapii EMDR. W Warszawie odbywają się szkolenia dla psychologów i psychiatrów prowadzone przez zagranicznych specjalistów, z roku na rok przybywa też terapeutów posługujących się tą metodą. ■

ARMIA

/ SYSTEMY PRZECIWLOTNICZE

KRZYSZTOF WILEWSKI

PRZEŁOM WISŁY

Według użytkowników systemu Patriot, nie ma na świecie drugiego sprzętu, który zostałby tak gruntownie przetestowany w czasie ćwiczeń i na bojowo.



Na patriotach skorzysta nie tylko wojsko. Dzięki temu kontraktowi do Polski trafią nowoczesne technologie na podstawie wynegocjowanego offsetu.



BUNDESWEHR

T

ylko kilkanaście krajów na świecie dysponuje uzbrojeniem, które może służyć do zestrzelenia pocisków balistycznych. Wkrótce do tego grona dołączy Polska. 28 marca 2018 roku, w obecności prezydenta RP Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak podpisał kontrakt na dostawę przeciwlotniczych i przeciwrakietowych systemów Patriot. Zgodnie z zapisami wartej 4,75 mld dolarów umowy, czyli największego po 1989 roku zbrojeniowego kontraktu naszej armii, Siły Zbrojne RP do 2022 roku dostaną dwie baterie tej broni, czyli 16 jednostek ogniowych, składających się z czterech radarów AN/MPQ-65, czterech stacji kierowania walką, 16 wyrzutni M903, sześciu stacji dowodzenia EOC, 12 radiolinii IBCS (Integrated Fire Control Network Relay). Nabyliśmy również dość spory zapas amunicji w postaci 208 pocisków PAC-3 MSE oraz 11 testowych PAC-3 MSEK.



Prezydent RP Andrzej Duda: „Rozpoczynamy wyposażanie Polski w najnowocześniejszy system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej średniego zasięgu, jaki istnieje na świecie. Co najważniejsze, system sprawdzony. To jest ogromny krok naprzód dla całego polskiego wojska”.

NOWA JAKOŚĆ

W czasie tej uroczystości wszyscy podkreślali, że kupno tej broni jest przełomowym momentem dla naszych sił zbrojnych. I nie ma w tym krztyny przesady. Nasze wojska przeciwlotnicze to teraz – wyłączając broń bardzo krótkiego zasięgu opartą na pociskach Grom i Piorun – technologiczny skansen. Systemy będące podstawowym orężem OPL, czyli zestawy 9K33M2/M3 Osa i 2K12 Kub, S-125 Nawa oraz S-200WE Wega, to broń jednokanałowa – nie można z niej ostrzeliwać kilku celów równocześnie, wymaga ciągłego promieniowania i śledzenia celu. Jak podkreślają wojskowi, w znacznym stopniu ogranicza to możliwość zwalczania celów nisko lecących. Dla porównania zestawy rakietowe Patriot w obecnej konfiguracji 3+ dzięki radarowi

AN/MPQ-65 mogą śledzić ponad sto celów oraz naprowadzać na ponad dziesięć. Oczywiście są to wartości szacunkowe, znacząco zaniżone, gdyż dotyczą poprzedniej wersji radaru, oznaczonej jako AN/MPQ-53. Jeżeli zgodnie z amerykańską polityką AN/MPQ-65 jest o kilkadziesiąt procent lepszy od poprzednika, to łatwo oszacować jego możliwości.

Siłę systemów Patriot stanowią jednak przede wszystkim pociski. Obecnie oferowane są w zasadzie dwa ich typy. Pierwszy to produkowane przez Raytheona przeciwlotnicze i przeciwrakietowe PAC-2 GEM-T (Guidance Enhanced Missile – Tactical), wytwarzane w obecnej wersji od 2007 roku. W stosunku do poprzedników MIM-104C/D ma wymienioną całą elektronikę na stałokrystaliczną i unowocześniony m.in. odbiornik radiolokacyjny oraz nowy zapalnik zbliżeniowy. Drugi typ to antybalistyczne PAC-3 MSE (Missile Segment Enhancement), produkowane przez koncern Lockheed Martin. Wążące 321 kg rakiety, które osiągają prędkość ponad 6 tys. km/h, na cel są naprowadzane inercyjnie – dane ładowane są przy starcie, a w końcowej fazie lotu uruchomiony zostaje samonaprowadzający radar o długości fali 1 mm. Swoją rolę niszczy głowicą zbliżeniową (o wadze 73 kg) albo typu hit-to-kill, czyli niszczącą cel po bezpośrednim trafieniu (wówczas pocisk nosi oznaczenie PAC-3 MSE/ERINT). Polska armia kupiła rakiety wyłącznie tego typu.

SPRAWDZONE W BOJU

O tym, że nabyliśmy broń z najwyższej półki, przekonują jej użytkownicy, czyli amerykańscy żołnierze. Można powiedzieć, że emerytowany pułkownik armii USA Joe DeAntona jest weteranem, jeśli chodzi o użytkowanie patriotów. W czasie „Pustynnej burzy” był dowódcą baterii tych rakiet, a w czasie operacji „Pustynny lis” – oficerem sztabu w takim ba-



MON PODPISAŁO KONTRAKT NA DOSTAWĘ DWÓCH BATERII PRZECIW- LOTNICZYCH I PRZECIWRAKIETOWYCH SYSTEMÓW PATRIOT I TYM SAMYM POLSKA STAŁA SIĘ 15. UŻYTKOWNIKIEM TEJ BRONI NA ŚWIECIE

talionie. Później został dowódcą batalionu patriotów podczas „Iraqi Freedom”, a w „Enduring Freedom” był dowódcą brygady tej broni.

„Użyłem jej dziesięciokrotnie. Za każdym razem skutecznie. Mam cztery potwierdzone zestrzelenia wrogich rakiet podczas operacji »Pustynna burza« oraz sześć w czasie »Iraqi Freedom«, wylicza emerytowany oficer, pracujący teraz w Raytheonie, który na temat patriotów ma jak najlepsze zdanie: „Najlepiej sprawdzona zdolność do obrony powietrznej i przeciwrakietowej na ziemi”.

Joe DeAntona podkreśla, że żołnierze chwalą system Patriot, bo jest prosty w obsłudze, szczególnie po poprawkach, które zostały wprowadzone przez producenta. W jego ocenie najlepszą rekomendacją dla tej amerykańskiej broni jest lista konfliktów, w których jej użyto: „Zdolności bojowe są sprawdzane od trzech dekad, a w boju używali jej żołnierze z pięciu krajów”. Emerytowany oficer ma jednak świadomość, że nie jest ona pozbawiona wad. „Jej słabość to radar sektorowy, ale przecież już trwają prace nad rozwiązaniem »360 stopni«”, dodaje.

Inny emerytowany pułkownik amerykańskiej armii, Bob Kelley, z równie imponującym doświadczeniem w użyciu tego systemu – był bowiem m.in. dowódcą baterii patriotów w czasie operacji „South Watch” w Arabii Saudyjskiej, oficerem sztabu batalionu tej broni oraz

dowódcą batalionu patriotów w Korei – podkreśla, że miał do czynienia z unikatowym sprzętem: „Nie ma porównywalnych rozwiązań, chociaż było kilka prób stworzenia podobnej broni”.

Kelly podkreśla, że zestawy patriotów, które kupiła Polska, będą kolejną generacją tej broni, jeszcze lepszą od poprzedniej. Dużo zmian wprowadzono w systemie dowodzenia i kierowania walką. „Nowy interfejs użytkownika będzie bardziej przyjazny dla operatorów i nawet skomplikowane zadania staną się proste w realizacji”, zapewnia emerytowany oficer, który teraz pracuje w koncernie Raytheon.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Naszych wojskowych nie trzeba jednak specjalnie przekonywać, że patrioty to przełom, jeśli chodzi o możliwości polskiej armii. „Stajemy w pierwszym rzędzie państw, które będą mogły kooperować z USA i NATO i wspólnie z nimi wykonywać zadania. Będziemy również postrzegani jako ten kraj ściany wschodniej, z którego można brać przykład, a także ten, który jest silniejszy od innych, który ma możliwość przeciwstawienia się stronie przeciwnej, jeżeli zaistnieje taka potrzeba”, komentował gen. Leszek Surawski, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

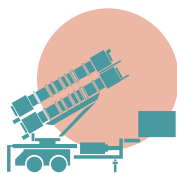
Pytany przez dziennikarzy w czasie podpisania umowy, czy dwie baterie to nie za mało, żeby obronić Warszawę,



ZESTAWY RAKIETOWE PATRIOT W OBECNEJ KONFIGURACJI 3+ DZIĘKI RADAROWI AN/MPQ-65 MOGĄ ŚLEDZIĆ PONAD STO CELÓW

odpowiedział z uśmiechem: „Jeżeli będziemy mieli ten sprzęt w Polsce, to zaprosimy i pokażemy, jak on działa. Jestem pewien, że takich pytań już nie będzie”, skomentował, ale dodał już poważnie: „Wszystkiego naraz się nie kupi, bo nie mamy tyle pieniędzy”.

Generał odniósł się również do sprawy wdrożenia do służby zestawów Patriot: „Od kiedy ustalenia [negocjacje zakupu] weszły w ostatnią fazę, zastanawiamy się, w jaki sposób przygotować ludzi do obsługi tego sprzętu. Kogo wybrać? Ile czasu potrzeba nam na szkolenie? A to nie jest kwestia jednego miesiąca czy roku, bo jeśli chodzi o taki sprzęt, to potrzeba minimum dwóch, trzech lat”, wyjaśniał. Dodał też, że w związku z zakupem patriotów nie należy się spodziewać rewolucji w strukturach wojsk obrony powietrznej kraju. „Większych zmian organizacyjnych nie będzie oprócz tego, że przybędą pododdziały, które trzeba będzie podporządkować określonym rodzajom wojsk”.



4,75
mld dolarów
będą kosztować
dwie baterie
tej broni

SKORZYSTA NIE TYLKO ARMIA

Na patriotach skorzysta nie tylko wojsko. Minister Mariusz Błaszczak zwraca uwagę na to, że dzięki temu kontraktowi „do Polski trafią nowoczesne technologie na podstawie wynegocjowanego offsetu, ale także dzięki polonizacji. Polskie firmy będą produkowały elementy wyrzutni, pojazdy do transportu oraz system łączności”.

Firma Raytheon zamontuje w zestawach nie tylko opracowane przez inżynierów z warszawskiej spółki PIT Radwar systemy do identyfikacji statków powietrznych „swoi-oby”. Znajdą się w nich również skonstruowane przez specjalistów z firmy Teldat wojskowe

routerzy działające w technologii IPv6, które staną się częścią systemu łączności (będą montowane we wszystkich modernizowanych przez Raytheona zestawach Patriot dla odbiorców na całym świecie).

Związane z kontraktem zobowiązania off-setowe amerykańskich firm zostały podzielone na dwie umowy. Pierwsza, o wartości 224 mln zł, zawarta z firmą Raytheon, przewiduje, że koncern w ciągu dziesięciu lat przekazuje polskim firmom technologię produkcji i serwisowania wyrzutni i pojazdów transportowo-załadowniczych systemu Patriot oraz 30-milimetrowych armat Bushmaster, a także know-how dotyczącego systemu dowodzenia i kierowania IBCS. Łącznie to 31 zobowiązań offsetowych. Druga, o wartości 724 mln zł, podpisana z firmą Lockheed Martin Global, przewiduje 15 zobowiązań offsetowych, w tym uruchomienie produkcji elementów pocisków PAC-3 MSE, produkcję i serwis elementów wyrzutni oraz budowę laboratorium raketowego.

Dwie baterie patriotów trafią do Polski w 2022 roku, a wstępną gotowość operacyjną osiągną na przełomie 2023 i 2024 roku. Szkolenie polskich obsług rozpocznie się w USA w 2020 roku. Pozyskanie 16 jednostek ogniowych Patriot w wersji 3+ to jednak dopiero pierwsza faza programu „Wisła”. W ramach drugiej naszej siły zbrojne chcą kupić jeszcze sześć baterii, ale wyposażonych już w radar dookólny 360 AESA oraz pociski niskokosztowe SkyCeptor (dwie pierwsze baterie zostaną zmodernizowane do tego standardu). Już rozpoczęły się negocjacje w tej sprawie, a MON zapowiada, że chce podpisać kontrakt w 2019 roku. ■

Rozpiętość skrzydeł przekraczająca 40 m, 38 t masy, cztery potężne silniki, których dźwięk sprawia, że wszystkie rozmowy trzeba prowadzić podniesionym głosem. Jeden za drugim wytaczają się z hangarów i wolno kołują po pasie. Dziś raczej nie polatają. Ale i tak jest na co popatrzeć.



Ładunek to wstęp do zadań w powietrzu. Podczas precyzyjnego lądowania piloci muszą zmieścić się w boksie o długości 150 m.

20 TON NA POKŁADZIE

Od rana nad Powidzem zalegają ciężkie deszczowe chmury. Zbyt niskie, by piloci mogli bezpiecznie wykonać zaplanowane zadania. A dziś załogi transportowych herculesów z Polski i USA miały wziąć udział w zawodach podsumowujących wspólne, dwutygodniowe szkolenie w ramach Aviation Detachment: zrzut ładunku tak, by wylądował jak najbliżej wyznaczonego celu, precyzyjne lądowanie... Wyższa szkoła desantowania. Tymczasem czekam na płycie, nasłuchuję informacji o prognozie pogody. Mam nadzieję, że jednak coś dzisiaj zobaczę. Szybko się okazuje, że się nie zawiodę. Zawody, choć w okrojonej formie, się odbędą!

Wkrótce na płycie pojawiają się dwa potężne C-130. Pierwszy – z wymalowaną na kadłubie flagą polską, drugi – amerykańską. W ogłuszającym huku silników przelatują się kilkaset metrów, aż do wyznaczonych wcześniej miejsc. Załogi otwierają rampy ładunkowe, które znajdują się z tyłu maszyn. Do każdej z nich podjeżdża wojskowy honker. Tak rozpoczyna się wyścig z czasem. „Samochód musi wjechać do wnętrza samolotu, gdzie zostanie unieruchomiony za pomocą systemu łańcuchów i zapieć”, tłumaczy por. pil. Jacek Chorzewski, drugi pilot herculesa z 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu. Trzeba odpowiednio wyliczyć środek ciężkości. Chodzi o to, by maszyna podczas lotu miała stabilną sylwetkę i samoistnie nie przechylała się w żadną ze stron. Samo mocowanie nie może się też poluzować pod wpływem przeciążeń.

Za ładunek C-130 odpowiedzialna jest załoga, która liczy od pięciu do sześciu osób. Często pomagają jej też odpowiednio przeszkoleni technicy. Z reguły żołnierze

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

NIEBO NALEŻY DO HERCULESA

Tu jest potrzebna szybkość i precyzja. Na etapie ładunku, desantu, lądowania. Łatwo się mówi, trudniej to zrobić. Zwłaszcza gdy samolot waży 38 ton, a jego pokład może pomieścić kilka wojskowych pojazdów.

mają co robić. „Hercules może zabrać na pokład ładunek o masie sięgającej 20 t. A to oznacza, że jest tam miejsce np. dla trzech wozów Humvee, których używa armia amerykańska”, wyjaśnia por. pil. Chorzewski.

Podobne treningi, niekoniecznie w formie zawodów, organizowane są regularnie. „Bywa, że samolot jest załadowywany, pokonuje określoną trasę, na chwilę ląduje, a wtedy jedne pojazdy z niego zjeżdżają, inne zaś zajmują ich miejsce”, tłumaczy pilot. Lotnicy często muszą działać pod presją czasu. „Podczas misji ładunek się kończy, kiedy mamy stuprocentową pewność, że wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. W zawodach takich jak te liczy się precyzja, ale też czas. A pośpiech może sprawić, że załogi popełnią choćby drobne błędy. I to musi wychwycić komisja oceniająca zadanie”, podkreśla por. pil. Chorzewski. Tym razem juro-

rzy, zapewne ze względu na okrojony program rywalizacji, nie przywiązywali przesadnie dużej wagi do ułamków sekundy. Orzekli, że zmagania zakończyły się remisem.

OLBRZYM W BOKSIE

Ładunek zwykle stanowi zaledwie wstęp do zadań w powietrzu. Podczas precyzyjnego lądowania piloci muszą się zmieścić w boksie o długości 150 m. To standard. Jednak na organizowanych cyklicznie zawodach poprzeczka wędruje w górę. Wygrywa ten samolot, którego koła dotkną pasa możliwie blisko środka boksu. Sporym wyzwaniem jest także zrzut 700-kilogramowego kontenera CDS (Container Delivery System), który powinien upaść jak najbliżej wyznaczonego na ziemi punktu. O sukcesie decydują metry. A przecież wykonujący zadanie hercules zwykle leci 150 m nad ziemią z prędkością 250 km/h.

MICHAŁ WAJNCHOL D



„Rywalizacja i udział w zawodach są dla nas bardzo ważne, bo urozmaicają codzienne szkolenie i dają dodatkową motywację”, przyznają lotnicy z Powidza. Ale nawet bez nich kalendarz szkoleń w ramach Aviation Detachment jest zazwyczaj bardzo napięty. Nie inaczej było teraz.

W marcu do Powidza zjechało 130 amerykańskich żołnierzy, którzy mieli do dyspozycji cztery herculesy. Większość wojskowych reprezentowała 169 Eskadrę wchodzącą w skład 182 Skrzydła Lotnictwa Transportowego Gwardii Narodowej z Illinois. Przez trzy tygodnie C-130 wzbijały się w powietrze praktycznie codziennie, zarówno w dzień, jak i w nocy. Z pokładów maszyn nie tylko były desantowane kontenery służące do transportu wojskowego sprzętu, lecz także skakali spadochroniarze. Hercules może wziąć na pokład 64 osoby. „Dla mnie najważniejsze były loty w ugrupowaniach taktycznych, które składały się z trzech–czterech samolotów, zarówno polskich, jak i amerykańskich. Zadania wykonywały mieszane załogi – Polak i Amerykanin siedzieli w tej samej maszynie na fotelach pilotów”, podkreśla mjr Randy Fasing, pierwszy pilot herculesa. Dla żołnierzy z Illinois była to druga wizyta w Powidzu. „Zdążyliśmy już poznać miasteczko i naprawdę piękną okolicę. Ale przyjeżdżamy tu chętnie przede wszystkim ze względu na polskich kolegów”, przyznaje mjr Fasing. „Z waszymi siłami powietrznymi współpracujemy już od 20 lat. I przez ten czas przeszliśmy naprawdę długą drogę...”.

ZGRANIE WYMAGA CZASU

„Z Amerykanami ćwiczymy od lat, ale Aviation Detachment otworzyły w tej współpracy zupełnie nowy rozdział”, przyznaje mjr Tomasz Przecherski, szef sekcji planowania operacji powietrznych 33 Bazy, a zarazem nawigator w załodze herculesa. Żołnierze pierwszego rotacyjnego pododdziału z USA wylądowali w Powidzu w lutym 2013 roku. Reprezentowali 86 Skrzydło Lotnictwa Transportowego, które na co dzień stacjonuje w niemieckim Ramstein. Zostali w Polsce przez trzy tygodnie.

Początki nie były łatwe. Szkolenie utrudniał chociażby fakt, że samoloty Amerykanów znacząco różniły się od tych, z których na co dzień korzystają Polacy. Zmieniło się to wraz z pojawieniem się w Powidzu specjalistów ze 182 Skrzydła Lotnictwa Gwardii Narodowej



z Illinois. „Oni mają herculesy w wersji H, my w E, które są zbliżone”, tłumaczy mjr Przecherski. I tak jednak Amerykanie początkowo przylatywali do Polski przede wszystkim po to, by wykonywać własne zadania, postawione im jeszcze przed wyruszeniem z macierzystej bazy. „To naturalne, w końcu w Europie pojawiają się w ramach misji »Atlantic Resolve«, zainicjowanej po rosyjskiej aneksji Krymu”, zaznacza mjr Przecherski. „Z drugiej strony, potrzebowaliśmy trochę czasu, by się zgrać, poznać wzajemne oczekiwania”, dodaje.

Wkrótce do Powidza zaczęli przylatywać instruktorzy z Mobile Training Team i szkolenie ruszyło na dobre. „Dzięki Amerykanom mogliśmy potrenować loty w ugrupowaniach złożonych z większej liczby samolotów. Sami nie bylibyśmy w stanie tego zrobić, ponieważ mamy tylko pięć maszyn. A nigdy nie jest tak, że w powietrze mogą wzbici się wszystkie jednocześnie”, podkreśla mjr Przecherski. Taki element na polu walki może się okazać kluczowy. „Ugrupowanie dużych samolotów transportowych jest w stanie w stosunkowo krótkim czasie przerzucić we wskazany rejon naprawdę pokazną liczbę sprzętu czy żołnierzy”, podkreśla mjr Przecherski. „Przykład mieliśmy choćby w czerwcu 2016 roku, przy okazji ćwiczeń »Swift Response«, elementu »Anakondy«”.

Wówczas pod Toruniem z 30 samolotów desantowało się 2 tys. żołnierzy z kilku krajów,



Gen. bryg. pil. Mirosław Jemielniak, inspektor sił powietrznych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych:
„Razem z Amerykanami ćwiczymy planowanie i zabezpieczanie misji. Bez cenne oświadczenia mają okazję wymienić także specjalści od obsługi naziemnej”.



ZA ZAŁADUNEK C-130 JEST ODPOWIEDZIALNA ZAŁOGA, KTÓRA LICZY OD PIĘCIU DO SZEŚCIU OSÓB.

CZĘSTO POMAGAJĄ JEJ TEŻ ODPOWIEDNIO PRZESZKOŁENI TECHNICY

JAKUB STYPNIEWSKI

którzy następnie opanowali część poligonu w Kijowie i jeden z mostów na Wiśle. Maszyny nadleciały z amerykańskiego Fort Bragg, Ramstein oraz Krakowa. „W ćwiczeniach wzięły udział dwa nasze herculesy oraz kilka samolotów CASA”, wspomina mjr Przecherski. Podczas trzytygodniowych treningów w ramach Aviation Detachment amerykańscy instruktorzy bardzo często latają też w składzie polskich załóg. „Ogromne doświadczenie zdobyli w różnych częściach świata i się nim z nami dzielą. Ale są też otwarci na sugestie z naszej strony. Jesteśmy teraz jak jedna rodzina”, podsumowuje mjr Przecherski.

BEZCENNE DOŚWIADCZENIA

Szkolenia w ramach Aviation Detachment dotyczą nie tylko załóg C-130. W listopadzie 2012 roku w łaskiej 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego, gdzie stacjonuje część polskich samolotów wielozadaniowych F-16, uroczystie został powitany pododdział sił powietrznych USA. W jego skład wchodził pilot, technicy oraz specjaliści odpowiedzialni za logistykę i łączność – w sumie kilkunastu żołnierzy. Do Łasku przylecieli na mocy zawartego kilka miesięcy wcześniej polsko-amerykańskiego porozumienia „Memorandum of Understanding”. Mieli zostać na stałe i raz na kwartał organizować ćwiczenia z udziałem lotników obu krajów. Wkrótce w Polsce na przemian zaczęły

się pojawiać amerykańskie F-16 i herculesy. W ten sposób Amerykanie, wobec coraz bardziej napiętych stosunków z Rosją, rozpoczęli wzmacnianie wschodniej flanki NATO. Ale Polacy odnoszą też korzyści innego rodzaju. „Wiążą się one nie tylko z lotami w ugrupowaniach z wykorzystaniem wspólnych procedur. Razem z Amerykanami ćwiczymy również planowanie i zabezpieczanie misji. Bezcenne doświadczenia mają okazję wymieniać także specjaliści od obsługi naziemnej. Wszystko to oznacza minimalizację kosztów, które musielibyśmy ponosić, gdybyśmy wysyłali naszych żołnierzy za granicę”, podkreśla gen. bryg. pil. Mirosław Jemielniak, inspektor sił powietrznych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

Dzięki obecności Amerykanów treningi pilotów stały się bardziej intensywne i rozbudowane. Załogi C-130 nie tylko zaczęły regularnie latać w ugrupowaniach, lecz także desantować duże ładunki. „Dwutygodniowe szkolenia w ramach Aviation Detachment są przygotowywane ze sporym wyprzedzeniem. Możemy zasygnalizować Amerykanom nasze potrzeby”, tłumaczy generał. Teraz wstępnie planowane są już Aviation Detachment na 2019 rok. „Wiadomo, że dwukrotnie przylecą do nas piloci F-16, dwa razy też będziemy gościli załogi herculesów wraz z obsługą naziemną”, zaznacza inspektor sił powietrznych. ■



NIE ZWALNIAMY TEMPA

Z Wojciechem Marchwicą

o przygotowaniach do dyżuru w Siłach Odpowiedzi NATO oraz o nowej strukturze wojsk specjalnych rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Wojska specjalne od stycznia 2018 roku działają w nowej strukturze. Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało o połączeniu Inspektoratu Wojsk Specjalnych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych z Dowództwem Komponentu Wojsk Specjalnych. To dobra zmiana?

Bardzo dobra, bo zmienia postanowienia reformy wojsk specjalnych sprzed czterech lat, krytykowanej niejednokrotnie przez wielu specjalistów. Pracowaliśmy nad tą zmianą od ponad roku.

Rok 2014 zatem nie zapisał się zbyt dobrze w historii naszych specjalsów...

Dla wojsk specjalnych to był bardzo ważny rok. Przede wszystkim dlatego, że uzyskaliśmy zdolność do dowodzenia operacjami specjalnymi sił sojuszu, co pozwoliło nam pełnić roczny dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO. To było ogromne wyzwanie dla tak młodego rodzaju sił zbrojnych, bo trzeba pamiętać, że wyodrębnił się on w 2007 roku. Niestety 2014 rok przyniósł także negatywne rozwiązania. Wprowadzono reformę, która doprowadziła do niepotrzebnego rozdrobnienia kompetencji. Pojawiły się też problemy z podporządkowaniem jednostek: początkowo podlegały dowódcy generalnemu, a merytorycznie in-

spektoratowi wojsk specjalnych, dopiero w połowie 2015 roku wróciły do DKWS-u. To nie była dobra sytuacja, bo zawsze jedna instytucja była tą poboczną. Nasze drogi zaczęły się rozchodzić, mieliśmy inne oczekiwania, bo przeprowadzaliśmy osobno nabór do służby i wykonywaliśmy zadania zlecane przez bezpośrednich przełożonych – w tym wypadku DGRSZ i DORSZ. To wszystko było niekoniecznie zbieżne z tym, czego my w krakowskim Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych oczekiwaliśmy. Efektem takiego podziału było również to, że do służby w Dowództwie Generalnym nie były wymagane takie kwalifikacje, jakie są oczekiwane w krakowskiej placówce, więc w naszych szeregach znaleźli się ludzie spoza naszego rodzaju sił zbrojnych. Teraz po połączeniu muszę dla tych osób przeprowadzić odpowiednie kwalifikacje do służby.

WIZYTÓWKA

**GEN. BRYG.
WOJCIECH MARCHWICA**

Dowodzi Komponentem Wojsk Specjalnych od marca 2017 roku. Wcześniej pełnił obowiązki inspektora wojsk specjalnych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, był szefem Zarządu Wojsk Aeromobilnych w Dowództwie Generalnym RSZ. Dowodził też 6 Brygadą Powietrznodesantową.

Podział w wojskach specjalnych chyba nie był też zrozumiały dla zagranicznych partnerów.

Nasza struktura z połowy 2015 roku przestała być czytelna, bo nie było wiadomo, kto nadaje ton. Oczywiście formalnie powinien to robić inspektor, ale ten nie miał bezpośredniego przełożenia na żołnierzy, dlatego monitorował to, co się dzieje w DKWS-ie. Dowodził więc dowódca komponentu i to on był rozpoznawalny np. dla Amerykanów.



Ostatecznie jednak doszło do konsolidacji dwóch instytucji i przywrócono zasadę „force user – force provider”.

Poprzedni podział kompetencji zaseregował nas do szczebla operacyjnego, tymczasem większość naszych zadań ma charakter strategiczny. W ostatniej chwili przywróciliśmy jednak dobre, sprawdzone rozwiązania i znowu mamy zdolność dowodzenia. To znacząco wpływa na szybkość działania.

Czy to już koniec zmian w strukturze wojsk specjalnych?

Z pewnością nie, bo wszystkich nas czeka wielka reforma. Dopiero po jej ogłoszeniu będziemy mogli określić nasze miejsce w systemie kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP. Mam nadzieję, że przestaniemy być komponentem, a staniemy się ponownie Dowództwem Wojsk Specjalnych. Słowo „komponent” mylnie określa naszą rolę i odnosi się do szczebla operacyjnego. A my wykonujemy zadania o dużo szerszym spektrum: od strategii po taktykę. Uważam też, że takie dowództwo powinno znaleźć się możliwie wysoko w hierarchii. Dla nas najlepszym rozwiązaniem byłaby bezpośrednia podległość MON-owi czy SGWP. Przemawia za tym przede wszystkim charakter zadań i ich zakres. Ze względu na specyfikę naszych działań łańcuch dowodzenia powinien być jak najkrótszy, tym samym jak najmniejsza liczba ludzi powinna być wtajemniczona w nasze operacje.

Taka autonomiczność jest komfortowa...

Komfort jest raczej umiarkowany, za to odpowiedzialność zdecydowanie większa i nie można jej porównywać z żadnym innym rodzajem sił zbrojnych.

Już w nowej strukturze przygotowujecie się do kolejnych wyzwań. W 2020 roku ponownie będziecie pełnić dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO.

To będzie nasz drugi dyżur w SON, ale tym razem przed nami o wiele większe wyzwania. Musimy mieć na uwadze to, że za dwa lata zmieni się sytuacja geopolityczna w stosunku do 2015 roku. Ważne jest także to, że podczas dyżuru, który rozpocznie się 1 stycznia, a zakończy 31 grudnia 2020 roku, będziemy podlegać Sojuszniczemu Dowództwu Sił Połączonych

Będziemy gotowi do dowodzenia operacjami sił specjalnych sojuszu północnoatlantyckiego w dowolnym miejscu na świecie, w każdej strefie klimatycznej i we wszystkich warunkach terenowych

nych NATO w Brunssum, a nie jak wcześniej placówce w Neapolu. To rozwiązanie wydaje się bardziej sensowne, bo Brunssum odpowiada za operacje prowadzone we wschodniej części Europy, a Neapol dowodzi działaniami na Bliskim Wschodzie, w południowej Europie i północnej Afryce.

Do jakich zadań się przygotowujecie?

Założenie jest takie, że będziemy gotowi do dowodzenia operacjami sił specjalnych sojuszu północnoatlantyckiego w dowolnym miejscu na świecie, w każdej strefie klimatycznej i we wszystkich warunkach terenowych. Na bazie Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych zostanie sformowane Sojusznicze Dowództwo Komponentu Operacji Specjalnych [Special Operations Component Command – SOCC]. Do tego zadania przygotowuje się około 40–50% kadry DKWS-u. W skład dowództwa, oprócz Polaków, wejdą oficerowie z państw należących do NATO.

Czy do dyżuru poza DKWS-u przygotowują się także polskie jednostki specjalne?

Do udziału w SON nie będą wysyłane całe jednostki, a jedynie wybrane zespoły bojowe, tzw. SOTG [Special Operation Task Group]. Szkolenie operatorów trwa cały czas, znamy zdolność bojową swoich ludzi i jesteśmy ich pewni. To oczywiście nie znaczy, że poszczególne zespoły nie będą musiały przed dyżurem



Podczas dyżuru, który rozpocznie się 1 stycznia, a zakończy 31 grudnia 2020 roku, będziemy podlegać Sojuszniczemu Dowództwu Sił Połączonych NATO w Brunssum.

przejsć odpowiedniej certyfikacji. Na pewno do SON poza Polakami zespoły bojowe wystawią także Chorwacja, Węgry i Litwa.

Długo trwają takie przygotowania?

Pracujemy nad tym już od 2016 roku, czyli od zakończenia poprzedniego dyżuru. Przed nami natomiast jeszcze wiele treningów sztabowych, ćwiczeń, konferencji i warsztatów. Nasi żołnierze intensywnie szkolą się w kraju i za granicą, zdobywając potrzebne kompetencje i umiejętności. Ostatecznie jesienią 2019 roku Dowództwo Komponentu Operacji Specjalnych także będzie musiało zdać sprawdzian. Muszę przyznać, że dyżur SON-u w 2020 roku będzie skomplikowaną operacją. Jeszcze żaden kraj nie mierzył się z takim zadaniem.

Co ma Pan na myśli?

Chodzi mi o skalę przedsięwzięcia. W 2015 roku mogliśmy dowodzić małą operacją sił połączonych, tzw. SJO [Small Joint Operation], a teraz szykujemy się do MJO [Major Joint Operation]. Jest to kierowanie działaniami połączonymi wojsk specjalnych w konflikcie na dużą skalę. Pod naszym dowództwem znajdzie się znacznie większa liczba elementów bojowych. To wymaga innego podejścia do planowania działań i zreformowania naszego systemu dowodzenia na czas dyżuru. Pierwszy sprawdzian kierowania operacjami połączonymi – lądowymi, morskimi i powietrznymi na tak dużą skalę przetestujemy podczas ćwiczeń wojsk specjalnych „Kobra '18”.

W Polsce powstanie dowództwo przygotowane do kierowania dużymi operacjami połączonymi wojsk specjalnych NATO. Czy ma to związek z tym, że polskie siły specjalne były liderem w tej części Europy?

Polska jest siódmym krajem należącym do elitarnej grupy, który uzyskał status państwa ramowego. Należy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że do osiągnięcia zdolności do kierowania połączonymi operacjami specjalnymi sojuszu nie wystarczy dobrze przygotowane dowództwo. Trzeba m.in. mieć swój system dowodzenia, który zapewni wielokierunkową łączność, własne wsparcie lotnicze gwarantujące sprawny i skryty przerzut sił, zaplecze informacyjne sił specjalnych, a także odpowiednią liczbę zadaniowych zespołów bojowych. My te warunki już spełnialiśmy w 2015 roku, teraz mamy okazję pójść jeszcze dalej. To wszystko niewątpliwie stawia nas na pozycji lidera. Cały czas nie zwalniamy tempa.

Czy to oznacza, że polskie wojska specjalne zdobywają nowe zdolności, które wyróżniają nas na tle podobnych formacji w Europie?

Mam nadzieję, że tak. Chcemy być na przykład liderem w kompleksowym podejściu do medycyny pola walki. Komandosi muszą mieć ogromną wiedzę w tej dziedzinie, bo z racji wykonywanych operacji często są zdani sami na siebie. Niedawno w DKWS-ie organizowaliśmy konferencję na ten temat, na którą przyjechali najwybitniejsi eksperci z całego świata. Mam nadzieję, że zainicjowany w ten sposób kierunek rozwoju sprawi, że zbudujemy kolejne zdolności w tej dziedzinie. Będziemy inwestować w szkolenie medyków.

Rok temu w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” mówił Pan o pomysłach utworzenia centrum szkolenia wojsk specjalnych. Czy ten projekt zostanie zrealizowany?

Zdecydowanie tak. Teraz w czasie przygotowań do dyżuru w Siłach Odpowiedzi NATO widzę, jak wielu oficerów i podoficerów muszę wysyłać na zagraniczne kursy, które są dość kosztowne. Nie wykorzystujemy przy tym zdolności i umiejętności swoich żołnierzy i rezerwistów. Powstał pomysł, by stworzyć centrum szkolenia, gdzie mogliby się uczyć podoficerowie i oficerowie.

Gdzie ma powstać ten ośrodek?

Według planu placówka ruszy już w przyszłym roku. Początkowo będziemy korzystać z infrastruktury Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu, ale w skład centrum wejdą także inne obiekty wojsk specjalnych, np. ośrodki szkolenia spadochronowego w Krakowie oraz szkolenia poligonowego w północnej Polsce, którym od niedawna dysponujemy. Docelowo w centrum miałyby także funkcjonować szkoła podoficerska wojsk specjalnych.

W Lublińcu działa już Ośrodek Szkolenia Wojsk Specjalnych, który na kursach Jata szkoli cywilów na komandosów. Zagrożona jest jego przyszłość?

Przyglądamy się efektom tego szkolenia. Teraz trwa dopiero drugi kurs, na którym uczy się 30 żołnierzy. Zobaczymy, czy zasadne będzie utrzymanie tej formuły w ramach tworzonego centrum szkolenia.

Kto będzie prowadził zajęcia w nowym centrum?

Przed wszystkim nasi byli żołnierze i instruktorzy. Mamy doskonałych specjalistów z unikatowymi uprawnieniami i wiedzą. Chciałbym, aby oni przygotowywali następne pokolenia komandosów. Mamy też zapewnienie z Joint Special Operations University na Florydzie oraz szkoły Dowództwa Operacji Specjalnych NATO w Mons, że będą nas wspierać i będą szkolić naszych instruktorów oraz początkowo oddelegują swoich wykładowców, którzy poprowadzą zajęcia w polskiej placówce. ■

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

POCZUJĘ SMAK ZWYCIĘSTWA

Ta selekcja do Agatu
była inna niż wszystkie.
Już pierwsze
zadanie przyniosło
szybką weryfikację
uczestników.



Zdziwili się już pierwszego dnia sprawdzianu ci, którzy myśleli, że o selekcji do Agatu dowiedzą się wszystkiego z artykułów i forów internetowych. Zamiast krótkiego biegu na początek musieli w bardzo szybkim tempie zaliczyć długie i wyczerpujące marsze. „Widzieliśmy na twarzach kandydatów rosnące zaskoczenie. To dobrze, bo nie chcemy schematów. Dla nas to jasne, że mają być gotowi na olbrzymi wysiłek, na chodzenie po górach, na to, że będzie ciężko. Jeśli ktoś tego nie rozumie, to nie mamy o czym rozmawiać”, mówi „Nowy”, kierownik selekcji. Jaki dystans żołnierze pokonują w ciągu pierwszych godzin? „Nie chcemy tego zdradzać. Ale może wyjaśnimy założenia: pierwsza doba jest tak ciężka fizycznie, że każdy z kandydatów spali około

PIERWSZE DWA DNI SĄ DECYDUJĄCE. SŁABSI KANDYDACI ODPADAJĄ JEDEN ZA DRUGIM

10 tys. kalorii. Metabolizm zostanie podkreślony na maksa”, tłumaczy „Ocet”, zastępca kierownika selekcji. W poprzednich edycjach instruktorzy mieli problem z ludźmi, którzy korzystali z suplementów i po nich byli silniejsi, wytrzymalsi, bardziej skoncentrowani. „Dzięki wyczerpującemu wysiłkowi fizycznemu już pierwszego dnia organizm pozbywa się tego wszystkiego i dopiero wówczas możemy sprawdzić, ile naprawdę ktoś jest wart”, wyjaśniają instruktorzy.

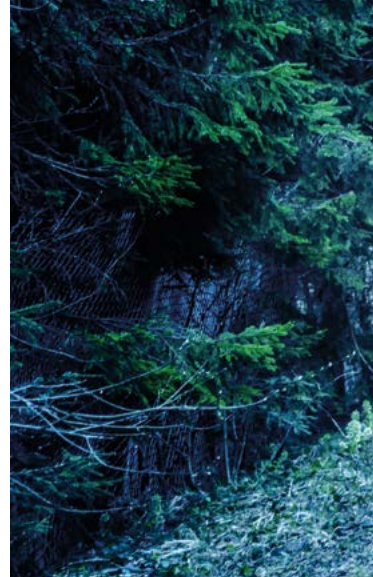
SŁABYM DZIĘKUJEMY

Rzeczywiście pierwsze dwa dni są decydujące. Słabsi kandydaci odpadają jeden za drugim. „To dobra i szybka weryfikacja uczestników. Cieszę się, bo naprawdę nie chciałbym w przyszłości pracować z osobą, która jest tak nieodpowiedzialna, że na selekcję przychodzi w nowych butach”, opowiada jeden z instruktorów. Komentarz dotyczy kandydata, który choć był dobrze przygotowany fizycznie, to poległ na doborze →

MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK



W TYM ROKU ZMIENIONO REGUŁY SELEK- CJI DO AGATU I DLA KANDYDA- TÓW PRZYGOTO- WANO SPORO NOWYCH ZADAŃ NA NIEMAL 200-KILOME- TROWEJ TRASIE



ekwipunku. „Podstawowy błąd. Trzeba ze sobą zabrać sprawdzony sprzęt: buty, które już nosiliśmy. Tak samo jak spodnie, skarpety czy odzież wierzchnią”, wyjaśnia Michał, jeden z instruktorów.

Kilka godzin po starcie z rywalizacji rezygnuje kolejna osoba. Nie da już rady iść dalej. Okazuje się, że chłopak nigdy wcześniej nie był w górach. Ma problem z szybkim podejściem pod wysokie wzniesienia. Owszem trenował, ale jedynie na siłowni. „Zawsze powtarzam, że do selekcji w górach można się przygotować wyłącznie w górach. Nigdzie indziej. Nieliczne wyjątki potwierdzają tylko tę regułę”, mówi „Nowy”.

Nie zawsze jednak вина leży po stronie kursanta. Czasem w grę wchodzi zwykły pech. Tak było w wypadku żołnierza, który podjął wyzwanie drugi raz. „Przedtem podpadł instruktorom i usunęliśmy go z selekcji. Ale kiedy znowu się zgłosił do nas, widziałem w nim pokorę. Zauważyłem, że solidnie przyłożył się do przygotowań”, wspomina „Nowy”. Kandydat był w bardzo dobrej kondycji i miał starannie dobrany sprzęt. To jednak nie wystarczyło. Gdy schodził z góry, wszedł w niewielką zaspę śnieżną, pod którą leżały stare gałęzie. Noga utknęła gdzieś między nimi. Uraz był na tyle poważny, że mężczyzna musiał zrezygnować z dalszej rywalizacji i trafił pod opiekę lekarzy.

Z kryzysem nie poradzili sobie również ultramaratoncyści, którzy biegają po górach, chociaż wydawałoby się, że są idealnie przygotowani. „Sam biegam w ultramaratonach i mam świadomość, że to nie to samo, co selekcja”, tłumaczy Sebastian, jeden z instruktorów. Biegacze pokonują trasę bez obciążenia, a kandydaci na żołnierzy wojsk specjalnych niosą około 15-kilogramowy plecak. Nie wspominając już o tym, że przez cały czas trwania sprawdzianu są niewyspani, a ich racje żywnościowe są minimalne. „Dźwigają ze sobą jedzenie na każdy dzień sprawdzianu. Nie ma tego wiele: konserwy mięsne, czekolada i trochę chrupkiego pieczywa. Woda również jest ograniczona do 2 l dziennie. A do tego nie wolno im używać żadnych izotoników

czy innych wspomagaczy”, wyjaśnia „Dziku”, jeden z instruktorów.

SIŁA WALKI

Za to świetnie spisywali się inni sportowcy. Na selekcji pojawił się m.in. były zawodowy kolarz. „Dziesiątka” (na czas selekcji kandydaci są określani numerami, imiona, nazwiska i stopnie nie istnieją) przez 12 lat uprawiał kolarstwo. Wspomina, że trenował siedem dni w tygodniu przez cały rok.

Kilka lat temu wygrał mistrzostwa Polski juniorów, a wkrótce potem wyjechał do Francji, gdzie jeździł w tamtejszych klubach kolarskich. „Już jako dziecko nauczyłem się działać na sto procent, dawać z siebie wszystko. Ale nadszedł taki moment, gdy postanowiłem, że muszę w życiu zrobić coś więcej. Lubię rywalizację sportową, ale przestało mi to wystarczać”, mówi. Przyznaje też, że jego charakter ukształtowało kolarstwo. Trzy lata się wahał, zanim z niego zrezygnował. Przed podjęciem ostatecznej decyzji skończył różnego rodzaju kursy, które miały mu pomóc zostać zawodowym żołnierzem. Szkolił się z krav magi i skoków spadochronowych. W końcu na ochotnika ukończył służbę przygotowawczą.

Bardzo dobrze wypadł także „Czwórka”. Skupiony, hardy, właściwie nie było widać po nim zmęczenia. Przez dziewięć lat był zawodowym bokserem. Opowiada, że tym sportem zainteresował się jako nastolatek, bo chciał się nauczyć walczyć. Zdobywał wiele tytułów, a karierę bokserką skończył jako srebrny medalista Pucharu Świata. „Odszedłem ze sportu zawodowego po poważnym złamaniu nosa. Moje leczenie i rehabilitacja trochę trwały, więc odpuściłem. Dziś trenuję innych”, tłumaczy. O Jednostce Wojskowej Agat dowiedział się od kolegi i od razu przystąpił do działania. Najpierw przeszedł szkolenie przygotowawcze do narodowych sił rezerwowych, potem złożył przysięgę wojskową, zgłosił się do kwalifikacji w jednostce specjalnej i wreszcie na selekcję. „Sport mnie wiele nauczył. Umieć i przegrywać, i wygrywać. Teraz wiem, że wygram”, mówi pewny siebie. Chociaż na ringu walczył



Ostatnim elementem sprawdzianu w górach był maraton, na który mężczyźni wyruszyli tuż po zdobyciu wszystkich punktów z mapy UTM.

MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK (2)

solo, nie ma problemów z działaniem w grupie. „W tym sporcie indywidualizm to wierzchołek góry lodowej. Tak naprawdę to ciężka praca zespołowa podczas zgrupowań, treningów i zawodów. Działamy razem, pomagamy sobie, tak jak teraz z kandydatami na selekcji”, podkreśla.

Wolę walki pokazał także „Piętnastka”. Jest kick bokserem – zdobył brąz i srebro w Pucharze Polski. Sport to jednak dla niego za mało. W 2017 roku ukończył kurs Jata w Ośrodku Szkolenia Wojsk Specjalnych, służy w Agacie w zabezpieczeniu, ale marzy mu się zespół bojowy. „Nielatwo mnie złamać. Lubię wyzwania i dlatego tu jestem”, mówi. Podczas kryzysów wspominał to, co czuł po zawodach. „Wiedziałem, że kiedy ukończę selekcję, znowu poczuję smak zwycięstwa”. Był jednym z siedmiu zwycięzców.

W GRUPIE ALBO WCALE

Pośród zadań, które przygotowali organizatorzy, była przeprawa wodna. Chociaż podobne wyzwanie jest w programie każdej selekcji, tym razem instruktorzy wysoko podnieśli poprzeczkę. „Nie możemy zdradzić szczegółów. Powiem tylko, że sprawdziliśmy, czy kursanci potrafią sobie poradzić z lękiem wysokości”, wyjawia „Roko”, instruktor. Zadania nie ułatwiały wysoki poziom wody i bardzo szybki nurt. Niektórzy kandydaci źle się przygotowali. „Polegli na podstawach. Jeden z nich w żaden sposób nie zabezpieczył plecaka, więc odzież i śpiwór miał od razu mokre. A wystarczyło owinąć rzeczy chociażby w worki na śmieci i zabezpieczyć taśmą klejącą”, tłumaczy „Nowy”. Nie poradził sobie też „Trzynastka”. Nie dał rady przejść na drugi brzeg rzeki, bo prąd wody był od niego silniejszy. „Nawaliłem”, komentował krótko. Był na selekcji trzeci raz (i ostatni, regulamin JWA dopuszcza tylko trzy podejścia). „Szkoda, że nie wyciągnął żadnych wniosków i źle się przygotował. Ale zauważałem jego hart ducha, silną motywację... Opuścił, niestety, w decydującym momencie”, podsumowuje kierownik selekcji.

Podczas wiosennej selekcji do Agatu instruktorzy najbardziej zwracali uwagę na umiejętność pracy w grupie.

„Nie jest tajemnicą, że w wojskach specjalnych służą ludzie, którzy potrafią współpracować. Skoncentrowani na sobie egocentrycy nie odnajdą się w zespole bojowym ani w żadnym innym miejscu tego rodzaju sił”, wyjaśnia „Nowy”. Jak sprawdzić, czy ktoś nie udaje, że zależy mu na dobru całego zespołu? „Jeśli ktoś jest zmęczony, nie ma szans okłamać kogokolwiek. Ekstremalny wysiłek obnaża wszystkie słabości”, stwierdza „Oceć”. Po wędrownie w górach albo nieprzespanej nocy mężczyźni przechodzili różnego rodzaju testy psychologiczne. Wykonywali też proste zadania, które miały sprawdzić, czy potrafią współpracować z innymi, czy też są wśród nich liderzy. „Szczególną uwagę poświęcamy oficerom i podoficerom, którzy w zespołach bojowych mogą zająć stanowiska dowódcze. Sprawdzamy, czy potrafią rozwiązywać problemy, jednoczyć drużynę, dzielić zadania. Tylko nie mylmy dowodzenia z pokazywaniem palcem, co kto ma zrobić”, mówi jeden z instruktorów.

Kandydaci musieli też wykazać się umiejętnością poruszania w terenie, mając do dyspozycji jedynie mapę w systemie UTM i kompas. „Dostali współrzędne miejsc, do których mieli dotrzeć. Tym razem to zadanie poszło wszystkim sprawnie. Zdecydowanie lepiej niż w ubiegłych latach”, przyznają instruktorzy. Ostatnim elementem sprawdzianu w górach był maraton, na który mężczyźni wyruszyli tuż po zdobyciu wszystkich punktów z mapy UTM. „Macie przed sobą maraton. Idźcie szybko, nie spacerujcie. Zbierzcie całą siłę, którą jeszcze macie, i naprzód! Po drodze nie rozmawiacie ze sobą, idźcie sami, zachowujecie odległość przynajmniej 2 m pomiędzy sobą”, grzmiał przed startem kierownik selekcji. Kandydaci byli wyposażeni w specjalne nadajniki, dzięki którym instruktorzy dokładnie wiedzieli, gdzie są. „Mam nadzieję, że uda się wszystkim, bo grupa jest naprawdę silna i dobra”, przyznaje „Nowy”.

Pierwszy na mecie pojawił się numer osiem – absolwent kursu Jata z Ośrodku Szkolenia Wojsk Specjalnych. „Świetne uczucie, bardzo się cieszę, że przeszedłem selekcję!”, mówił. Radość kandydata była tym większa, że rok temu odpadł z selekcji tuż przed jej finałem. „Ósemka” wspominał też o kryzysach, które spotkały go po drodze. „Może nie zasypiałem na stojąco, ale czułem, że nie mam już energii. Ale nie było opcji, by zrezygnować, nie na samym końcu. Zresztą na początku policzyłem sobie mniej więcej, ile godzin trwa selekcja i odejmowałem kolejne minuty. Kiedy pomyślałem, że za dwie czy trzy godziny wszystko się skończy, będę mógł wreszcie usiąść, dostawałem kopa i po prostu szedłem do przodu”, tłumaczy. „Poszedłbyś jeszcze dalej?”, pytamy. „Gdyby była taka potrzeba, to oczywiście”, zapewnia przyszły szturman Agatu. ■



Uderzenie młotka
oznacza rozpoczęcie
posiedzenia komisji.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Debata przy podzielonym stole

**Misja Polska do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych
w Korei to najdłuższa operacja, w której uczestniczą nasi żołnierze.**

Każde posiedzenie plenarne Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych odbywające się na linii demarkacyjnej oddzielającej Koreę Północną od Korei Południowej otwiera uderzenie młotkiem w pulpit stołu. Na jego czterech obuchach znajdują się godła państwowe członków komisji. Gdy obrady prowadzi polska delegacja, szef naszej misji tak uderza młotkiem, żeby orzeł był skierowany do góry. Bez tego gestu nie można rozpocząć obrad. Gdy w 1989 roku pewnego dnia

młotek zniknął, dalsze posiedzenia komisji stanęły pod znakiem zapytania. Wszyscy odetchnęli, gdy po wielkich poszukiwaniach odnalazł się w archiwum.

Misja Polska do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei to najdłuższa operacja, w której uczestniczą nasi żołnierze. Od 65 lat nadzorują zawieszenie broni między Koreą Północną i Koreą Południową. Prawdopodobnie jednak ta misja wkrótce będzie miała inny charakter. Poprzednia taka zmiana była w 1995 roku, gdy polska dele-



Od lewej: szef Misji Polskiej do KNPN – płk Andrzej Różyński, szef Misji Szwedzkiej do KNPN – rear admiral Aders Grenstad, szef Misji Szwajcarskiej do KNPN – major general Patrick Gauchat.

KRZYSZTOF POLIŃSKI (2)

gacja została zmuszona do opuszczenia obozu znajdującego się w północnej części Panmundżom i dojeżdżania na posiedzenia komisji. Nadal jednak żołnierze wypełniają swój mandat: czuwają nad przestrzeganiem zawieszenia broni oraz dbają o to, aby nie doszło do wznowienia konfliktu militarnego.

W lutym 2018 roku podczas igrzysk olimpijskich w Pjongczangu strefę zdemilitaryzowaną na granicy obu państw koreańskich odwiedził prezydent Andrzej Duda. W rozmowie z przedstawicielami Wojskowej Komisji Rozjemowej Dowództwa Organizacji Narodów Zjednoczonych zapewnił, że Polska chce na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ angażować się w działania mające na celu deeskalację napięcia na Półwyspie Koreańskim. Bezpieczeństwo w tym miejscu jest bowiem jednym z priorytetów naszego niestałego członkostwa w RB ONZ w kadencji 2018–2019.

„Poprzez nasz udział w pracach komisji pokazujemy, że nie jesteśmy jedynie beneficjentem pokoju, ale uczestniczymy w jego budowie nie tylko na Bliskim Wschodzie czy na Bałkanach, ale także w tak odległym kraju jak Korea”, uważa płk Andrzej Różyński, od 2016 roku szef Misji Polskiej do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych

w Korei. Skoro udział polskich żołnierzy w pracach komisji jest ważny dla utrzymania pokoju w tej części świata, to czy nasza misja nie powinna zostać wzmocniona?

Podczas rocznej odprawy kierowniczej kadry resortu obrony i sił zbrojnych prezydent Andrzej Duda mówił m.in. o tym, że czas zmienić charakter naszej misji z dojazdowej na stałą. Trwają konsultacje w tej sprawie, w rozmowy zaangażowane są Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Obrony Narodowej, Biuro Bezpieczeństwa Narodowego i Kancelaria Prezydenta RP.

Płk Różyński zwraca uwagę na to, że po tym, gdy Korea Północna dokonała kilkunastu prób rakietowych, w tym prawdopodobnie nuklearnej, został wznowiony dialog na rzecz pokoju. Państwa koreańskie m.in. wystawiły wspólną drużynę na zimowe igrzyska olimpijskie w Pjongczangu. W strefie zdemilitaryzowanej ożyła linia telefoniczna łącząca północną i południową część Panmundżom. Wykorzystano ją do wznowienia rozmów, które prawdopodobnie dotyczyły bezpieczeństwa w czasie olimpiady, a trzeba pamiętać, że od ponad 20 lat po północnej stronie nikt nie podnosił słuchawki. Ze względu na igrzyska zostały przesunięte amerykańsko-południowokoreańskie manewry wojskowe „Fool Eagle”. „Sądzę, że jest szansa na rozstrzygnięcie koreańskiego konfliktu w sposób pokojowy – i to jest jedyna droga”, dodaje płk Andrzej Różyński.

NIEWDZIĘCZNE POCZĄTKI

Od 1953 roku, gdy Korea Północna i Korea Południowa podpisały rozejm kończący działania wojenne, a w strefie zdemilitaryzowanej na 38. równoleżniku powstała kwatera główna Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych, wiele się zmieniło. Początkowo w jej skład wchodził przedstawiciel czterech państw: Korea Północna wybrała Czechosłowację i Polskę, Korea Południowa – Szwajcarię i Szwecję. W latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia służbę w misji pełniło 391 żołnierzy, dziś jest ich tam trzech.

Największe zmiany spowodował upadek muru berlińskiego. Rozpadła się Czechosłowacja, a Republika Czeska wycofała z komisji swoich przedstawicieli. Korea Północna uznała zaś, że KNPN jest już niepotrzebna i starała się ograniczać jej prace. Gdyby wówczas wycofała się także Polska, misja przestałaby istnieć, bo w komisji nie byłoby kraju zaproszonego przez Koreę Północną. Najpoważniejsza zmiana dokonała się jednak w 1995 roku.

W 1994 roku sześciu oficerów polskiej delegacji rezydowało w strefie zdemilitaryzowanej Półwyspu Koreańskiego po stronie północnej. „Stanowiliśmy bodaj jedyną grupę obcokrajowców przebywających na terenie Korei Północnej poza stolicą. Misja Polska była ulokowana w dwóch budynkach: »Olimp« zajmował szef i jego zastępca, w »Hadesie« znajdowały się pozostałe mieszkania,



biura, kuchnia i jadalnia. Obsługę logistyczną zapewniał nam gospodarze – Koreańska Armia Lądowa. Byli oni także odpowiedzialni za nasze bezpieczeństwo, co często wykorzystywali, aby ograniczać naszą aktywność. Mieszkaliśmy bowiem w luksusowym więzieniu. Swobodnie mogliśmy się poruszać jedynie w obrębie budynków oraz na 350-metrowym odcinku drogi dojazdowej do misji”, opowiada Maciej Wikło, ówczesny sekretarz Misji Polskiej do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei.

Były to czasy bez internetu, łączności satelitarnej i telewizji, najbliższy telefon znajdował się na poczcie w Kaesong. Maciej Wikło, z racji pełnionej funkcji, codziennie jechał do tzw. strefy wspólnego bezpieczeństwa, gdzie w niebieskich barakach urzędowały misje szwedzka i szwajcarska oraz przedstawiciele Wojskowej Komisji Rozejmowej. Wspomina, że Koreańczycy z Północy systematycznie ograniczali pracę polskiej delegacji, stosowali różne szykany, jak wyłączanie prądu oraz ogrzewania w budynkach misji. Do kulminacji takich działań doszło na przełomie lat 1994 i 1995.

„23 stycznia 1995 roku delegacja Koreańskiej Armii Lądowej przekazała nam decyzję swojego rządu o zaprzestaniu uznawania KNPN-u oraz usunięciu polskiej delegacji ze swego terytorium. 9 lutego odcięto nam dostęp do strefy wspólnego bezpieczeństwa. Od tego dnia utrzymywaliśmy jedynie alarmową łączność radiową z delegacją szwedzką – nie wiedzieliśmy, do czego jeszcze mogą się posunąć nasi gospodarze, tym bardziej że zażądali naszej rezygnacji z udziału w KNPN-ie i opuszczenia terenu KRLD z dniem 28 lutego 1995 roku. Usłyszeliśmy: »po tej dacie wasze paszporty dyplomatyczne nie będą dla nas nic znaczyć. Będziecie potraktowani zgodnie z naszym prawem, jako obcokrajowcy przebywający u nas nielegalnie«. Odrzucaliśmy te oświadczenia i wspólnie z delegacjami szwedzką, szwajcarską oraz przedstawicielami Wojskowej Komisji Rozejmowej podejmowaliśmy akcje protestacyjne wobec postawy KRLD”, wspomina Maciej Wikło.

NOWA ODSŁONA

Polska delegacja opuściła terytorium KRLD, lecz pozostała członkiem Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych. 4 maja 1995 roku odbyło się plenarne posiedzenie KNPN-u w nowej for-

OD 65 LAT ŻOŁNIERZE WOJSKA POLSKIEGO NADZORUJĄ ZAWIESZENIE BRONI MIĘDZY KOREĄ PÓŁNOCNĄ I KOREĄ POŁUDNIOWĄ

mule. Od tej pory polscy żołnierze nie przebywają na Półwyspie Koreańskim, lecz dojeżdżają na posiedzenia komisji.

„W 1996 roku rozpoczął się nowy etap naszej działalności w komisji. Początkowo polska delegacja dwa razy w roku przyłączyła się do Szwedów i Szwajcarów, którzy na co dzień wizytują linię demarkacyjną, a teraz robi to cztery razy w roku”, mówi płk Andrzej Różyński. Sesje plenarne komisji odbywają się w tym samym budynku, w którym były zwoływane w 1953 roku. Jest on podzielony – jedna część znajduje się po stronie północnej, druga – po południowej. Granica między krajami przebiega przez środek stołu. Wszyscy zajmują te same miejsca, co przed rokiem 1995, czyli Polacy siedzą po stronie północnej. W przedsionku po stronie północnej stoi regał z segregatorami i tam członkowie komisji zostawiają raporty – od 1953 roku jeden egzemplarz jest przeznaczony dla Korei Północnej.

W 2015 roku polska misja otrzymała własną siedzibę – barak T15 został pomalowany w biało-czerwone barwy. Od jesieni 2016 roku zaś liczy ona trzy osoby – zastępcą płk. Różyńskiego jest płk Paweł Ponczyński, a sekretarzem ppłk Krzysztof Poliński.

Zgodnie z układem rozejmowym z 1953 roku w strefie demarkacyjnej po obu stronach mogą stacjonować oddziały mające maksymalnie po tysiąc żołnierzy, a 1,5 mln jest rozmieszczonych na obszarze do 30 km od 38. równoleżnika poza



JAKUB SZYM CZUK / KPRP



W czasie zimowej olimpiady strefę zdemilitaryzowaną na granicy obu Korei odwiedził prezydent RP Andrzej Duda.



JÓZEF RÓWNICKI

Siedziba Misji Polskiej do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei, 1954 rok

strefą zdemilitaryzowaną. Na tym terenie znajduje się także około 1,5 mln min oraz są niezliczone zapory przeciwczołgowe, detektory ruchu i posterunki obserwacyjne. Artyleria i wyrzutnie wycelowane są w konkretne cele militarne i infrastrukturę krytyczną. W strefie po stronie północnej jest rozmieszczona broń chemiczna i biologiczna. Ze względów bezpieczeństwa członkowie KNPN-u przebywający w Panmundżom wyposażeni są nie tylko w kamizelki i hełmy, lecz także w maski przeciwgazowe.

Zdarzają się przypadkowe ostrzały, wejścia na miny. Do częstego naruszenia strefy dochodzi też na Morzu Chińskim, przy ujściu rzeki Han. W 2015 roku było 520 takich przypadków, kolejnych kilkaset odnotowano w 2016 roku. „To rzeka graniczna, niekontrolowana, jest bogata w ryby, więc przyciąga rybaków, głównie z Chin. Jedno z naszych zadań polega na łagodzeniu napięć w tamtym regionie”, tłumaczy płk Różyński. Przez strefę zdemilitaryzowaną z Północy na Południe biegną też podziemne tunele. Oficjalnie wiadomo o czterech, a nieoficjalnie o kilkunastu, które wykopała armia północnokoreańska. Niektóre zostały tak zbudowane, aby w ciągu godziny przeszło przez nie 30 tys. żołnierzy.

ROZSZERZONE ZADANIA

„Nasza misja polega głównie na nadzorowaniu i obserwacji strefy, umownie przyjętej wzdłuż 38. równoleżnika. Badamy przypadki łamania zawieszenia broni, prowadzimy inspekcje, kontrolujemy, ilu żołnierzy i jaki sprzęt znajduje się po obu stronach linii demarkacyjnej. Obserwujemy ćwiczenia ogniowe prowadzone przez Koreę Po-

łudniową, ale nie mamy możliwości śledzenia ruchów wojsk północnokoreańskich”, wylicza płk Różyński.

W 2016 roku potwierdzono zaangażowanie komisji w nadzorowanie układu z 1953 roku. Przedstawiciele ONZ, Wojskowej Komisji Rozjemczej oraz członkowie KNPN-u podpisali memorandum modyfikujące jej zadania adekwatnie do sytuacji bezpieczeństwa w strefie zdemilitaryzowanej. Pierwsze polega na obserwacji działań ONZ (zespołów dochodzeniowych, strefy zdemilitaryzowanej, ujścia rzeki Han, lotów wzdłuż południowej granicy strefy). Drugie – na wspieraniu Wojskowej Komisji Rozjemczej w prowadzonej działalności edukacyjnej. Kolejne dwa dotyczą obserwacji ćwiczeń wojskowych oraz rozmieszczenia sił koalicyjnych.

„Podczas jednego z ostatnich wyjazdów inspekcyjnych we wrześniu 2017 roku wizytowaliśmy koreańską 28 Dywizję. Naszym zadaniem była inspekcja posterunków w strefie zdemilitaryzowanej, sprawdzaliśmy, czy żołnierze pełniący tam służbę znają przepisy bezpieczeństwa obowiązujące w strefie i czy uzbrojenie znajdujące się na poszczególnych posterunkach jest zgodne z przepisami”, opowiada ppłk Krzysztof Poliński. Po każdej inspekcji powstaje raport, który trafia do Wojskowej Komisji Rozjemczej Dowództwa Narodów Zjednoczonych.

W myśl prawa międzynarodowego państwa koreańskie znajdują się w stanie wojny. Ważną rolę w doprowadzeniu do podpisania układu pokojowego może odegrać komisja. Oznaczałoby to zakończenie jej działalności. Dopóki jednak do tego nie dojdzie, posiedzenia będzie otwierało uderzenie 65-letnim młotkiem. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

CIERPLIWY JAK ZWIADOWCA

Desant nad wrogim terytorium to dopiero początek ich misji. Aby jej sprostać, żołnierze z 6 Brygady przechodzą cykl specjalnych szkoleń.

Za przelatującym samolotem rozsypały się białe czasze spadochronów. Zrzut wykonano na wysokości 4 tys. m, dlatego z ziemi tylko wprawne oko dostrzeże, jak w powietrzu skoczkowie łączą się w formacje odpowiadające ich pododdziałom. W zależności od stopnia doświadczenia i przydzielonego zadania żołnierze szybują w dwu-, trzy- lub pięcioosobowych grupach. Każdy z nich musi nie tylko pilnować swojego szyku, lecz także przez cały czas zachować pełną kontrolę nad tym, co dzieje się wokół. Około 400 m nad ziemią skoczkowie zaczynają budować bazę do lądowania. Obserwują znaki umieszczone na lądowi-

sku oraz wskaźniki wiatru, na których podstawie mogą określić stronę podejścia. Zła ocena sytuacji doprowadzi do zbyt dużego rozproszenia oddziału, ale też może zakończyć się lądowaniem w pobliskim lesie.

„Dzisiaj warunki nie są korzystne. Ze względu na ułożenie chmur, nasłonecznienie oraz zróżnicowanie terenu, jakie występuje w Bieszczadach, w powietrzu jest bardzo niestabilnie. Podczas lotu zdarzają się takie chwile, że zaczyna się gwałtownie spadać. Nawet z ziemi można zaobserwować, że czasami buja w powietrzu, a niektórzy opadają niżej niż reszta. Żeby utrzymać odpowiednią odległość w formacji, trzeba przez cały czas bardzo mocno



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

MAJĄC ODPOWIEDNIĄ WIEDZĘ, ŻOŁNIERZE MOGĄ WTOPIĆ SIĘ W OTOCZENIE W CIĄGU KILKU MINUT. UMIEJĘTNOŚCI TE OSIĄGAJĄ DZIĘKI SZKOLENIOM PROWADZONYM NA PODSTAWIE KURSÓW DLA STRZELCÓW WYBOROWYCH

pracować linkami sterowniczymi”, mówi por. Marcin Kowalczyk, który jest nie tylko dowódcą jednego z plutonów rozpoznawczych 6 Brygady Powietrznodesantowej, lecz także instruktorem spadochronowym.

Oficer zaznacza, że podczas jednego desantu skaczą osoby o różnym poziomie wyszkolenia. Dzięki temu mogą przez cały czas podnosić kwalifikacje i jednocześnie dzielić się doświadczeniem z kolegami młodszymi stażem. „Mamy grupę żołnierzy, którzy skaczą ze spadochronami desantowymi typu C i to oni są najbardziej doświadczeni. Dzięki swojemu wyposażeniu samodzielnie decydują o otwarciu czaszy, co umożliwia im

swobodne spadanie. Wiedzą już, jak odpowiednio wylądować, dlatego koncentrują się na tym, by w formacjach utrzymać jak najmniejsze odległości. W tym celu wykonują m.in. przeloty, które wynoszą do 10 km”, dodaje porucznik.

NAUKA STALKINGU

Pozostali zwiadowcy skaczą ze spadochronami desantowymi AD-2000. Przed zrzutem skoczkowie są podpinani do liny desantowej, za której pomocą następuje automatyczne otwarcie czaszy. Dzięki temu można w pełni skupić się na doskonaleniu swoich umiejętności w powietrzu oraz na zadaniach czekają-



cych po wylądowaniu. Bo to właśnie wtedy rozpoczyna się najważniejsza część ich pracy.

Chociaż posterunek obserwacyjny znajduje się w odległości zaledwie kilku metrów, trudno wskazać jego położenie. Po chwili okazuje się, że zwiadowcy kryją się w niewielkim stogu siana. A przecież na stanowisku przebywa czterech obserwatorów wraz z całym niezbędnym wyposażeniem. Mając odpowiednią wiedzę, żołnierze mogą wtopić się w otoczenie w ciągu kilku minut. Umiejętności te osiągają dzięki szkoleniom prowadzonym na podstawie kursów dla strzelców wyborowych.

„Można nie tylko pozostać zamaskowanym w bezruchu, lecz także przemieszczać się w ten sposób. Pomagają nam w tym naturalne elementy otoczenia, np. roślinność, ale także farby i siatki maskujące oraz narzutki. To jednak nie wszystko. Kiedy się poruszamy, tracimy część kamuflażu, dlatego przez cały czas należy się domaskowywać”, wyjaśnia st. sierż. Konrad Reszka, który przez wiele lat służył właśnie jako strzelec wyborowy. Teraz dzieli się swoją wiedzą z żołnierzami rozpoznania. Oprócz skutecznego kamuflażu uczy tzw. stalkingu. „Działamy na terytorium opanowanym przez przeciwnika, dlatego przed założeniem posterunku obserwacyjnego musimy przez ten teren przeniknąć. Stalking, czyli podchodzenie, wymaga dobrego odpowiedniej drogi oraz cierpliwości. Pokonanie 150-metrowego odcinka może zająć nawet kilka godzin. W tym czasie należy zwracać uwagę nie tylko na swoją sylwetkę, lecz także na hałas, który można spowodować podczas czołgania. Wykonania zadania nie ułatwia ekwipunek, w tym broń, dlatego każdy ruch musi być przemyślany i wykonany powoli”. Podczas szkolenia żołnierze mają wyznaczony pas przenikania o szerokości około 100 m. Samodzielnie podejmują decyzję dotyczącą wyboru drogi. Muszą jednak pamiętać, że w razie wykrycia jednego zwiadowcy, zdemaskowana zostaje cała drużyna.

W samej obserwacji żołnierzom pomaga specjalistyczny sprzęt, taki jak lornetki 7x45z, lunety z 60-krotnym powiększeniem oraz wyposażone w termowizję i dalmierz urządzenie JIM LR. Dzięki niemu można nie tylko prowadzić działania po zmroku, lecz także za pomocą wiązki laserowej określić współrzędne obserwowanego obiektu. Według st. szer. Adama Stasielowicza powodzenie misji zależy jednak przede wszystkim od indywidualnych i zespołowych umiejętności zwiadowców: „Jeżeli tylko jest taka możliwość, zajmujemy swoje pozycje pod osłoną nocy. W pierwszej fazie po zrzućcie jesteśmy przygotowani na trzy dni samodzielnych działań, następnie po dostarczeniu zaopatrzenia możemy



Szkolenie zwiadowców to proces bez końca. Żołnierze cały czas podnoszą swoje kwalifikacje, dostają nowy sprzęt, zmienia się również taktyka wojskowa.

spędzić na obserwacji nieograniczoną ilość czasu. Największe problemy sprawiają momenty, w których zmieniamy się na posterunkach. To właśnie wtedy trzeba zachować maksymalną ostrożność. Zarazem dbamy o to, żeby nie zostawić po sobie nawet najmniejszych śladów. Dodam, że przy drodze wystawione są dwa »oka obserwacyjne«. Nie mieliście o nich pojęcia, a one widziały was już dawno”.

Zwiadowcy z 6 Brygady Powietrznodesantowej cały czas pracują na wrogim obszarze, dlatego w czasie planowania misji określa się punkty poboru, w tym miejsca ewakuacji medycznej.

KOŃCA NIE WIDAĆ

W 6 Brygadzie Powietrznodesantowej szkolenia zwiadowców łączące skoki spadochronowe oraz taktykę są nowością. Formułę tę po raz pierwszy wprowadzono w 2017 roku. „Szkolimy wszystkie pododdziały rozpoznawcze służące w naszych batalionach, wraz z sekcją zabezpieczenia desantowania i drużyną rozpoznania inżynieryjnego. Na początku zgrupowania skoncentrowaliśmy się na szkoleniu ogniowym oraz działaniach dywersyjnych, np. zakładaniu ładunków wybuchowych na

PODCZAS JEDNEGO DESANTU SKACZĄ ŻOŁ- NIERZE O RÓŻNYM PO- ZIOMIE WYSZKOLENIA.

DZIĘKI TEMU MOGĄ
PRZEZ CAŁY CZAS
SIĘ UCZYĆ I JEDNOCZE-
ŚNIE DZIELIĆ SIĘ
DOŚWIADCZENIEM
Z KOLEGAMI MŁODSZY-
MI STAŻEM

szynach kolejowych. W drugim tygodniu przystąpiliśmy do skoków spadochronowych. Wykonujemy dwa rzuty dziennie, po których każdy z plutonów ma przydzielone zadania taktyczne. Może to być rozpoznanie rzutowisk lub lądowisk, prowadzenie obserwacji w terenie zurbanizowanym, a także zakładanie posterunków obserwacyjnych”. Kpt. Szymon Noworyta, dowódca zgrupowania poligonowe-

go w Trzciancu, zaznacza, że pododdziały rozpoznawcze mają duże doświadczenie. Jednocześnie na szkolenie przyjechali też młodzi stażem żołnierze. „Skupiają się oni na samym lataniu, czyli utrzymaniu wysokości, formacji, orientacji w terenie. Dopiero po opanowaniu tych umiejętności wykonuje się skoki z oporządzeniem, bronią i zasobnikami. W czerwcu organizujemy kolejne zgrupowanie – chcielibyśmy, żeby wtedy wszystkie pododdziały skakały na bojowo”.

Kapitan podkreśla, że szkolenie zwiadowców to proces bez końca. Żołnierze cały czas podnoszą swoje kwalifikacje, dostają nowy sprzęt, zmienia się również taktyka wojskowa. Niebagatelne znaczenie ma także współpraca z zagranicznymi sojusznikami, w tym z Amerykanami i Kanadyjczykami. Dlatego tak ważne jest, by ci doświadczeni ćwiczyli wspólnie z początkującymi. Dzięki temu młodzi zwiadowcy szybciej opanowują nowe umiejętności, a instruktorzy nie mają problemów z osiągnięciem założonego planu. ■

PIOTR RASZEWSKI

Siła powtórzeń

Dlaczego wśród zwiadowców tak bardzo cenione są umiejętności precyzyjnego desantowania?

SAM SKOK TO DO-
PIERO POCZĄTEK
DZIAŁANIA. GŁÓW-
NYM ZADANIEM
ZWIADOWCY JEST
ZDOBYWANIE
I PRZEKAZYWANIE
INFORMACJI

Tego rodzaju szkolenia prowadzi się w 2 Hrubieszowskim Pułku Rozpoznawczym od dziesięciu lat. W strukturze jednostki, oprócz kompanii ciężkich, czyli rozpoznawczych, są pododdziały objęte szkoleniem spadochronowo-desantowym: trzy kompanie dalekiego rozpoznania i pluton zabezpieczenia desantowania. „Ci żołnierze muszą spełniać dość restrykcyjne normy psychofizyczne i zdrowotne. Sporo kandydatów odpada już na etapie orzeczenia lekarskiego”, mówi mjr Artur Gosiewski, szef służby spadochronowo-desantowej w 2 Hrubieszowskim Pułku Rozpoznawczym. „Nie każdy żołnierz pułku rozpoznawczego może służyć w kompanii dalekiego rozpoznania. Jednak ci, którzy przejdą całą procedurę, mogą rozpocząć żmudne szkolenie, przygotowujące ich do takiej służby”.

PIERWSZE LEKCJE

Żołnierz, który trafia do kompanii dalekiego rozpoznania, musi przejść serię specjalistycznych szkoleń, m.in. spadochronowo-desantowych, często znacznie bardziej zaawansowanych niż w innych skaczących pododdziałach. „To jest zupełnie coś innego niż desant masowy na spadochronach grupy A, czyli okrągłych. U nas na tym sprzęcie szkolimy jedynie do tytułu skoczka. Dopiero później rozpoczynamy naukę na spadochronach szybujących. Chodzi o to, by zwiadowcy potrafili lądować tam, gdzie chcą lub mają wyznaczony rejon”, wyjaśnia kpt. Kamil Knap, oficer sekcji zabezpieczenia spadochronowo-desantowego 2 Pułku Rozpoznawczego. „Dopiero po około stu skokach możemy powiedzieć, że mamy odpowiednio wyszkoloną osobę na odpowiednim stanowisku, czyli żołnierza zwiadowcę, który wykonuje skoki ze spadochronem w kompanii dalekiego rozpoznania. A przecież jest u nas jeszcze jedna grupa, w 1 kompanii dalekiego rozpoznania, w której wszyscy żołnierze są przewidziani do skoków z wolnym systemem otwarcia, z dużych wysokości i z aparaturą tlenową. To jest kolejny poziom, na którym wymagane są dużo większe umiejętności oraz znacznie dłuższe szkolenie”, dopowiada mjr Artur Gosiewski, który jest także pomocnikiem do-

wódcy do spraw desantowania – szefem sekcji zabezpieczenia spadochronowo-desantowego.

Skoczek-zwiadowca rozpoczyna naukę od zajęć w ośrodku szkolenia naziemnego. Żołnierze z hrubieszowskiej jednostki ćwiczą m.in. z makietą śmigłowca. Mają również do dyspozycji najnowocześniejszą w wojskach lądowych wieżę spadochronową. „Jest to kompleksowy symulator skoku spadochronowego, który stwarza nam możliwości nie tylko odpowiedniego szkolenia, lecz także właściwej eksploatacji sprzętu, bo wewnątrz strzelistego budynku jest przystosowane do czyszczenia, wietrzenia i suszenia spadochronów desantowych”, przyznaje mjr Gosiewski. Z kolei kpt. Kamil Knap dodaje: „Chodzi o to, by żołnierze byli dobrze przygotowani do wykonywania swoich zadań w powietrzu. Jeśli już na tym etapie widzimy, że sobie nie radzi, możemy przenieść go do pododdziałów, które nie są objęte szkoleniem spadochronowym, czyli np. kompanii rozpoznawczych”.

Po zajęciach w ośrodku szkolenia naziemnego żołnierze kompanii dalekiego rozpoznania przechodzą serię kursów praktycznych. Na początku przewidziano skoki na spadochronach desantowych grupy A, czyli AD-95. „Nie jest to może najnowsza konstrukcja, ale korzystamy z niej, podobnie jak większość skaczących jednostek w Wojsku Polskim. Każdy żołnierz powinien zaliczyć minimum 12 takich skoków”, mówi mjr Gosiewski. Następnie zwiadowcy przechodzą kursy na spadochronach desantowych grupy B, czyli AD-2000. „Wtedy wykonujemy skoki z samoczynnym systemem otwarcia, gdy spadochron jest podpięty do liny desantowej i żołnierz nie musi go otwierać, a także z kombinowanym sposobem otwarcia. W takim wypadku po skoku z maszyny otwarty jest tylko spadochron stabilizujący i już samodzielnie trzeba otworzyć czaszę główną”, opisuje szef służby spadochronowo-desantowej w hrubieszowskiej jednostce.

TYLKO DLA ZAAWANSOWANYCH

Dlaczego wśród zwiadowców tak bardzo pożądane są zaawansowane umiejętności skoczka spadochronowego? „Żołnierze z kompanii dalekiego rozpoznania będą wykonywać skoki z pokładu samolotu właśnie z tymi systemami otwarcia, bo one pozwalają robić to





PIOTR RASZEWSKI

ŻOŁNIERZE MOGĄ DZIAŁAĆ NA TERYTORIUM WROGA, NAWET DO 150 KM ZA LINIĄ FRONTU

z dużej wysokości i z pełnym oprzyrządowaniem. Co więcej, dzięki przedłużonej stabilizacji można otworzyć spadochron dopiero na zadanej wysokości, czyli np. 700 m, a wyskoczyć np. z 4 tys. m. Wtedy jest większa szansa na to, że samolot nie zostanie zestrzelony przez przeciwnika i zwiadowca niepostrzeżenie dostanie się w rejon działań”, wyjaśnia mjr Artur Gosiewski i dodaje: „Docelowo, każdy żołnierz w naszym pułku ma wykonywać skoki na spadochronie szybującym, czyli tzw. latającym skrzydle. Na razie mamy 196 etatów objętych szkoleniem spadochronowo-desantowym”.

Elitą wśród hrubieszowskich zwiadowców-spadochroniarzy jest grupa HALO/HAHO, sformowana w 2010 roku i działająca w ramach 1 kompanii dalekiego rozpoznania. To trzy sześciuosobowe sekcje, które mogą się desantować za linię frontu na wysokości przelotowej nawet 10 tys. m. „Skaczemy z aparaturą tlenową, pełnym oporządzeniem i bronią. Mamy również konsole nawigacyjne i GPS-y, bo musimy przelecieć kilkadziesiąt kilometrów, nie widząc lotniska. Jesteśmy przeznaczeni do zadań specjalnych, np. by zabezpieczyć lądowisko dla innych wojsk”, mówi przedstawiciel grupy, st. szer. Marcin Kołtun z 1 kompanii dalekiego rozpoznania.

„Jeśli chodzi o skoki z tlenem, to niezbędne są dodatkowe umiejętności. Ponadto żołnierze z tej grupy muszą przejść specjalistyczne badania w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej”, wyjaśnia kpt. Kamil Knap i dodaje: „Dotychczas wykonywaliśmy takie skoki za granicą, m.in. w Hiszpanii, ale czekamy na specjalne zestawy, dzięki którym jeszcze w tym roku będziemy mogli prowadzić tego rodzaju szkolenia również w Polsce”.

Na każdym etapie instruktorzy szczególną uwagę zwracają na to, by żołnierze dobrze wykonywali te zadania, które z dużym prawdopodobieństwem będą mu-

sieli wypełniać w czasie działań bojowych. „Bardzo ważne jest, by poszczególne sekcje dalekiego rozpoznania potrafiły lądować w jednym rejonie, blisko siebie i mogły płynnie przejść do działań na lądzie. Przyjmujemy, że sekcja sześciuosobowa powinna wylądować w kwadracie 100x100 m. Na lotniskach po prostu zaznaczamy taką figurę, ale jeśli chodzi o teren przygodny, to żołnierze dostają tylko zdjęcie miejsca, w którym mają wylądować, następnie zostają zrzućeni i muszą się tam znaleźć”, zdradza tajniki szkolenia kpt. Kamil Knap.

NACZYNIA POŁĄCZONE

Z kolei plut. Daniel Leszczyński zaznacza: „Jesteśmy przewidziani do zrzutu na terytorium wroga, nawet do 150 km za linią frontu, więc szkolenie spadochronowe jest niezwykle istotne. Choć jako zwiadowcy nie zapominamy również o innych naszych zadaniach. Dlatego zwykle szkolenia spadochronowe łączymy z ćwiczeniami z taktyki. To są naczynia połączone, bo sam skok to dopiero początek naszego działania. Głównym zadaniem zwiadowcy jest przecież zdobywanie i przekazywanie informacji”, wyjaśnia zastępca szefa sekcji dalekiego rozpoznania.

Co zatem decyduje o dobrym wyszkoleniu skoczka-zwiadowcy? Jak w każdej innej dziedzinie, najważniejsza jest liczba powtórzeń, czyli praktyka. Wykorzystujemy na przykład duży wiatr, bo żołnierze uczą się w takich warunkach sterować. Bardzo często trenujemy nocą, bo wtedy wykonuje się bojowe zadania zwiadowcze”, zwraca uwagę kpt. Kamil Knap. Z kolei mjr Artur Gosiewski podkreśla: „Tegoroczny plan przewiduje wykonanie około 4 tys. skoków, ale jeżeli wszystko się dobrze ułoży, a szkolenie będzie tak intensywne, jak do tej pory, to zrobimy korekty, bo myślę, że jesteśmy w stanie przeprowadzić tych szkoleń dużo więcej niż zakładaliśmy”.

EWA KORSAK

Bojowe raki

W 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej wciąż są testowane moździerz samobieżne. W czasie ćwiczeń „Wilk '18” sprawdzano je na przykład w strzelaniu sekwencyjnym.

Kiedy w czerwcu 2017 roku raki trafiły do 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, rozpoczęły się ich badania eksploatacyjno-wojskowe. „Zanim sprzęt stanie się naszym etatowym wyposażeniem, musimy go bardzo dokładnie sprawdzić. Badania polegają na skontrolowaniu absolutnie wszystkiego, począwszy od tego, czy producent w zapisach instrukcyjnych dostosował sprzęt do wymogów działania taktycznego, przez to, czy fotele umożliwiają nam pracę przez dłuższy czas, aż po to, jak skuteczne są raki w strzelaniu na różne odległości”, mówi kpt. Michał Iwaszkiewicz, dowódca kompanii wsparcia 1 Batalionu „Ziemi Rzeszowskiej”. Wszystkie wnioski żołnierzy przekazuje się Zarządowi Wojsk Rakietowych i Artylerii oraz Inspektoratowi Uzbrojenia. Dostaje je również producent Huta Stalowa Wola SA.

Wojskowi o konkretach na razie nie mogą mówić, ale zależy im na tym, by system kierowania ogniem był prosty i intuicyjny. W kompanii wsparcia nie ma czasu, by się zastanawiać, gdzie znajduje się odpowiedni przycisk. Procedury, które trzeba zastosować podczas operacji, muszą być takie, aby na jak najkrócej odrywać dowódcę od kierowania pododdziałem. „Przy czym system w dużym stopniu mi to ułatwia, bo podaje informacje w czasie rzeczywistym. Wiem na przykład, gdzie w danej chwili znajdują się poszczególne działa, wozy dowodzenia i inne elementy kompanijnego



SZYBKO I SKUTECZNIE

Moździerz samobieżny Rak kalibru 120 mm został zaprojektowany w Centrum Produkcji Wojskowej Huty Stalowa Wola w wersji na podwoziu gąsienicowym (SMG 120) i kołowym (SMK 120). Czteroposobowa załoga może w ciągu dwóch minut przygotować sprzęt do otwarcia ognia, a w ciągu 15 s zmienić stanowisko ogniowe. Pojazd wyposażono w cyfrowy system kierowania ogniem, składający się m.in. z kamery termalnej i dalmierza laserowego.

modułu ogniowego oraz mam informacje o stanie wykonania postawionych zadań”, wyjaśnia kpt. Iwaszkiewicz.

JEDEN CEL, SIEDEM DZIAŁ, 21 POCISKÓW

Najważniejsze testy dotyczą jednak prowadzenia ognia. Żołnierze z kompanii wsparcia przeprowadzili je w trakcie ćwiczeń „Wilk '18”, będących jednocześnie certyfikacją 1 kompanii piechoty zmotoryzowanej przed misją w Rumunii. „Takie działania odbyły się po raz pierwszy. Certyfikowane pododdziały podczas walki wezwały wsparcie artylerii, które zapewniała wyposażona w 120-milimetrowe moździerze samobieżne Rak kompania wsparcia. Były to jedne z pierwszych ćwiczeń, na których realnie wykorzystano możliwości tego modułu ogniowego. Dowódcom zależało, aby sprawdzić ich mobilność i precyzję w naprowadzaniu ognia”, mówi

por. Weronika Milczarczyk, rzecznik prasowy 17 Brygady Zmechanizowanej.

Użycie moździerzy wprowadzono do scenariusza taktycznego ćwiczeń kompanii piechoty zmotoryzowanej. Wsparcie ogniowe wzywano zatem w dzień i w nocy. „Strzelanie w nocy nie jest problemem dla załóg raków. Wszyscy są wyposażeni w noktowizję”, mówi kpt. Iwaszkiewicz. Innych wyzwań jednak nie brakowało.

Jednym z zadań ogniowych raków było MRSI (Multiple Rounds Simultaneous Impact), czyli strzelanie





Mobilności sprzętu sprawia, że wystarczy zatrzymać wóz, by znalazł się on na stanowisku ogniowym.

sekwencyjne. Załogi miały ostrzelać jeden cel możliwie dużą liczbą pocisków. Każdy z siedmiu moździerzy oddał trzy strzały, ale zmieniał się kąt podniesienia lufy i ładunek. „Dzięki temu, że wystrzeliwane jeden po drugim pociski leciały do celu różnymi trajektoriami, różny był także czas ich lotu. Odpowiednie ustawienie sekwencji strzałów sprawiło, że mimo opóźnienia w ich wystrzeleniu, wszystkie 21 pocisków trafiło w cel dokładnie w tym samym momencie. Z tego co wiem, jeszcze nikt nigdy tego nie robił z użyciem raków”, przyznaje kpt. Michał Iwaszkiewicz.

Żołnierze sprawdzali również możliwość tworzenia celów pomocniczych. Taki sposób się stosuje, gdy m.in. nie wiadomo, jakie warunki atmosferyczne panują na maksymalnej wysokości toru lotu pocisku. Najpierw żołnierze wyznaczyli rejon tymczasowy, z którego prowadzili ogień. W ten sposób nie zdradzili swojego głównego położenia. Następnie wybrali charakterystyczny punkt, do którego

strzelili. Pocisk nie trafił w cel i na podstawie tego, w jakiej odległości się znalazł, żołnierze wyliczyli korekty, które uwzględnią przy wsparciu ogniowym pododdziałów piechoty.

Żołnierze ćwiczyli też strzelania z zakrytych stanowisk ogniowych, czyli w takiej sytuacji, gdy celowniczy nie widzi celu, ma jedynie jego współrzędne. „Sprawdziliśmy również maksymalne zasięgi raków. Strzelaliśmy na odległość około 6 km. Jest to donośność raków zbliżona do maksymalnej dla tego typu amunicji”, tłumaczy kpt. Iwaszkiewicz.

DOWODZENIE OGNIEM

Sercem systemu dowodzenia kompanią wsparcia, której etatowo będą przypisane raki, jest wóz dowodzenia, a narzędziem pracy dowódcy kompanii – pulpit sterujący systemem kierowania ogniem. Widać tu całą sytuację pola walki: wykryte cele czy wozy z rakami. W systemie dowódca może też zmienić priorytety rażenia celów, przekierować ogień czy

Były to jedne z pierwszych ćwiczeń, na których realnie wykorzystano możliwości moździerzy samobieżnych.



ARKADIUSZ DWULAKIEWICZ / COMBAT CAMERA DORSZ (2)

KPT. MICHAŁ IWASZKIEWICZ DOWODZI KOMPANIĄ WSPARCIA 1 BATA- LIONU „ZIEMI RZESZOWSKIEJ”. MA ZA SOBĄ MISJĘ W AFGANISTA- NIE W 2011 ROKU

ześrodkować uderzenie całej kompanii na jeden cel. Aby zminimalizować emisję fal radiowych, wszystkie rozkazy wydaje przez specjalny komunikator.

W wozie dowodzenia pracuje też oficer rozpoznania. „Bierze udział w organizowaniu rozpoznania na rzecz batalionu. Ma sekcję wysuniętych obserwatorów, która wykrywa cele, obsługuje strzelania, ale może też przekazywać informacje z bezzałogowca”, wyjaśnia dowódca kompanii. Ostatnim elementem systemu dowodzenia jest szczebel dowódcy plutonów mających identyczny wóz, tylko bez stanowiska oficera rozpoznania. „Dzięki temu w prosty sposób mogę postawić zadanie dowódcy plutonu. Mój system ma możliwość wykonywania zadań z wykorzystaniem ośmiu moździerzy, a system dowódcy plutonów – czterech, czyli tyle, ile znajduje się w jednym plutonie ogniowym”, dodaje dowódca.

GOTOWI NA JUŻ

Takie rozwiązania sprawiają, że czas reakcji ogniowej zmniejszył się pięciokrotnie w stosunku do tego, który był niezbędny w przypadku używanych wcześniej moździerzy M-98. Teraz żołnierze potrzebują jedynie

dwóch minut do osiągnięcia gotowości do oddania ognia. „Sprzęt właściwie nieporównywalny. M-98 to była artyleria z przełomu XVIII i XIX wieku. Przy moździerzach stał oficer ogniowy i manualnie ukierunkowywał działa. Jeżeli dowódca kompanii piechoty zmotoryzowanej potrzebuje wsparcia ogniowego, to znaczy, że nie jest w stanie sobie sam poradzić z jakimś zadaniem albo ma możliwość obserwacji priorytetowych celów. Potrzebuje zatem wsparcia już, a nie za dziesięć minut”, mówi kapitan.

Wspomina również o mobilności sprzętu, która sprawia, że wystarczy zatrzymać wóz, by znalazł się on na stanowisku ogniowym. Można więc prowadzić ogień właściwie skąd się chce. Co więcej, wóz może równie szybko opuścić stanowisko. „To zwiększa nasze szanse na polu walki. Przecież po pierwszym wystrzale przeciwnik wie, gdzie jesteśmy. Musimy więc jak najszybciej opuścić stanowisko ogniowe, by nie narazić się na jego reakcję”, wyjaśnia Iwaszkiewicz. Dzięki temu, że raki zostały umieszczone na podwoziu rosamaka, bez problemu mogą nadążać za piechotą zmotoryzowaną wyposażoną w takie transportery. ■

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTACIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWLÓTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Kultura ratuje życie

W kieleckim Centrum szkolili się wszyscy żołnierze, którzy wyjeżdżali na misje do Iraku i Afganistanu.



MICHAŁ NIWICZ

Nasza jednostka jest niewielka, ale naprawdę wyjątkowa”, zapewnia płk Paweł Chabielski, komendant Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. W 2017 roku na kieleckiej Bukówce przeszkolono na różnego rodzaju kursach 2786 osób. Można tam zdobyć specjalistyczną wiedzę na temat działań niekinetycznych, m.in. współpracy cywilno-wojskowej (CIMIC). Jest to jedyne w Siłach Zbrojnych RP centrum szkolenia, które specjalizuje się w tej dziedzinie.

NIE TYLKO NEGOCJACJE

Sala numer 4 wygląda jak afgańska izba. Na wieszaku wisi błękitna burka i zielono-niebieski uzbecki płaszcz – podobny nosił były prezydent Afganistanu Hamid Karzaj. Na ścianach kolorowe dywany – a na nich meczety ze strzelistymi wieżami minaretów oraz papirusy z cytatami ze świętej księgi islamu. Koran leży także na zawieszonej pod sufitem półce. W skrzyni ułożono afgańskie stroje, mundury policji i armii, obok rozłożono biżuterię, nakrycia głowy, rzeczy codzienne, flet pasterski i dzwonki używane przez plemiona Kuczi. Flaga Afganistanu sugeruje, że to domostwo przedstawiciela miejscowej władzy.

Do sali wchodzi kilku żołnierzy. Przyjechali do starszyzny wioski na negocjacje, bo patrol sił koalicji potracił na drodze dziecko. Pod ścianą na dywanie siedzą mężczyźni ubrani w afgańskie stroje i rozmawiają. Żołnierze rozglądają się po izbie. Za pośrednictwem tłumacza rozpoczyna się wymiana zdań. Całą sytuację z sąsiedniego, oddzielnego szybu pomieszczenia obserwuje grupa żołnierzy. To uczestnicy kursu dla oficerów odpowiedzialnych za działania CIMIC w jednostkach bezpośrednio podporządkowanych Dowództwu Generalnemu Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Odegranie takiej sceny uczy prowadzenia rozmowy i współpracy z tłumaczem. Celem naszych żołnierzy jest nie tylko wynegocjowanie sumy odszkodowania za potrącenie dziecka, lecz także załagodzenie całej sytuacji. Afgańczycy muszą odczuć, że żołnierzom zależy na utrzymaniu dobrych relacji”, tłumaczy ppłk Marcin Matczak, szef Wydziału Szkolenia Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. Dlatego uczestnicy takich zajęć poznają także lokalną kulturę np. Afganistanu. Dowiadują się, jak ważne są różne szczegóły, bo czasem taka wiedza może im uratować życie.

KURS NA ŚWIADOMOŚĆ

Do stolicy regionu świętokrzyskiego przyjechało 30 oficerów i podoficerów. W swoich jednostkach zajmują się na co dzień (nieetatowo) współpracą cywilno-wojskową. Wspierają dowódców w kontaktach z władzami samorzą-



dowymi, np. podczas organizowania uroczystości patriotycznych czy w likwidacji skutków klęsk żywiołowych. Na kursie przez kilka dni poznawali m.in. podstawy prawne takiej działalności, zadania oficerów współpracujących z cywilami w trakcie pokoju oraz wojny, a także w czasie misji stabilizacyjnych poza granicami państwa.

„Celem kursu było przygotowanie oficerów do planowania i wykonywania zadań dotyczących współpracy cywilno-wojskowej. Skupiliśmy się na tematyce CIMIC, kształceniu kulturowym, sztuce negocjacji, międzynarodowym prawie humanitarnym konfliktów zbrojnych oraz ochronie dóbr kulturalnych. Nasz kurs przygotował uczestników do działania w kraju oraz w wielokulturowym środowisku misji”, wyjaśnia ppłk Marcin Matczak, który przygotował program tego szkolenia.

Na Bukówkę przyjechali żołnierze wojsk lądowych, obrony terytorialnej i marynarki wojennej. Wśród nich znalazł się m.in. ppor. Mirosław Nakielny, oficer wychowawczy 51 Batalionu Lekkiej Piechoty, oddelegowany do sekcji komunikacji społecznej 5 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej w Ciechanowie. Na co dzień zajmuje się współpracą z cywilami, których zachęca do zasilenia szeregów WOT-u. Na XIII zmianie PKW Afganistan współpracował z miejscową ludnością podczas budowy linii światłowodowej w bazie Ghazni. Umiejętność nawiązywania takich kontaktów jest ważna również w kraju. „Mam nadzieję, że wiedza zdobyta na kursie pomoże mi w jeszcze lepszej współpracy z samorządowcami i różnymi stowarzyszeniami”, dodaje.

Mjr Kamil Głąb z 5 Pułku Artylerii w Sulechowie dowiedział się na szkoleniu w Kielcach, że przed ćwicze-

CENTRUM SZKOLI ŻOŁNIERZY WOJSK LĄDOWYCH WYJEŻ- DZAJĄCYCH NA MISJE I MARYNARZY, MAJĄ- CYCH DO CZYNNIENIA Z UCHODźCAMI

niami dowódczo-sztabowymi musi zdobyć jak najwięcej informacji na temat środowiska, w którym żołnierze będą działać, struktury administracji, zróżnicowania etnicznego i wyznaniowego. „Na pewno wykorzystam tę wiedzę w swojej pracy”, zapewnia.

SZEROKA OFERTA

Wykładowcami na kursie byli oficerowie nie tylko z Wydziału Szkolenia CPdMZ, lecz także z Wydziału CIMIC. Ten zespół nigdy nie jest na miejscu w komplecie, bo zawsze część żołnierzy przebywa na misjach – teraz kilkunastu z nich służy w polskim kontyngencie w Kosowie. „Nie tylko wyjeżdżamy za granicę, lecz także wspieramy jednostki wojskowe w kraju oraz szkolimy kursantów”, mówi mjr Tomasz Śniec, szef tej sekcji. Jako wykła-



TRZY PYTANIA DO

Pawła Chabielskiego

Na czym polega specyfika jednostki, którą Pan dowodzi?

Jesteśmy jedyną jednostką w Polsce, której zadaniem jest specjalistyczne przygotowanie wysoko wykwalifikowanych kadr do służby w polskich kontyngentach wojskowych, a także szkolenie oficerów

z wielu państw świata w charakterze międzynarodowych obserwatorów. Realizujemy unikatowe na skalę wojskową kursy współpracy cywilno-wojskowej oraz kursy ze świadomości kulturowej. Nasi żołnierze wydzielają swoje zespoły do sojusznich sił szybkiego reagowania NATO oraz grup bojowych w ramach UE. Wielu

żołnierzy ma na swoim koncie misje m.in. w Iraku, Czadzie, na Bałkanach, w Republice Środkowoafrykańskiej i Afganistanie, a także misje pokojowe ONZ w wielu państwach na różnych kontynentach. Obecnie specjaliści z Centrum są w składzie polskiego kontyngentu w Kosowie. Od 2015 roku szkolimy także mło-



Żołnierze szkolący się w Kielcach mają okazję zobaczyć, jak wyglądają np. symulowane negocjacje ze starszyzną afgańską.



Koranowi, świętej księdze islamu, należy okazać najwyższy szacunek.

dowca na szkoleniach organizowanych przez Centrum łączy teorię z praktyką. Na kursie „CIMIC w procesie decyzyjnym” uczył oficerów odpowiedzialnych za współpracę cywilno-wojskową, jak przygotować dokumenty podczas pracy sztabowej. Jak ważna jest to praca, doskonale wie mjr Krzysztof Dubaniewicz z 4 Pułku Przeciwlotniczego w Czerwieńsku, odpowiadający za przygotowanie dla dowódcy dokumentacji z rejonu, w którym odbywają się ćwiczenia. „Zanim na poligonie drawsko-po-

morskim rozpoczną się ćwiczenia, musimy rozpoznać sytuację i możliwe zagrożenia”, wyjaśnia. W programie kursu znalazły się m.in. zajęcia na temat mniejszości narodowych i religijnych na terenie Polski. Wykładowca tłumaczył, że przy organizowaniu ćwiczeń wojskowych lub imprez o charakterze patriotycznym należy zwracać uwagę na specyfikę mieszkańców danego regionu. W wielu jednostkach tak się dzieje. Ppor. Mirosław Nakielny opowiada, że na przysięgę 5 Mazowieckiej Brygady WOT



dych adeptów żołnierskiego rzemiosła – kandydatów do służby w narodowych siłach rezerwowych, a od 2011 roku uczymy rocznie od 2,5 do 3 tys. osób: żołnierzy, uczniów szkół ponadgimnazjalnych i mundurowych, członków organizacji proobronnych, dziennikarzy, obserwatorów wojskowych.

W jaki sposób kandydaci mogą stać się żołnierzami Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych? Jakie procedury obowiązują?

Trzeba być żołnierzem zawodowym lub pracownikiem resortu obro-

ny narodowej. Trzeba także znać język angielski, oficerowie na poziomie zaawansowanym, podoficerowie – średniozaawansowanym, a szeregowi – podstawowym. Szeregowi muszą także mieć prawo jazdy kategorii C oraz E. Obecnie mamy w Centrum sporo wakatów. Zgodę na zatrudnienie u nas musi wyrazić dotychczasowy dowódca żołnierza, który stara się o przeniesienie. Cywile, którzy chcieliby podjąć u nas pracę, muszą zaliczyć służbę przygotowawczą.

Jakie wymagania stawia Pan kandydatom?

Każde stanowisko wykładowcy, zależnie od specjalności, jest obciążone konkretnymi wymogami. Wykładowca musi być specjalistą w danej dziedzinie. Każdy przełożony marzy o tym, aby osoba ubiegająca się o stanowisko była zaangażowana, kreatywna, ale przede wszystkim aby kwalifikacje przedstawione w CV znalazły odzwierciedlenie w pracy. Przyjmując takie osoby, rozwijamy potencjał jednostki. ■

Płk PAWEŁ CHABIELSKI jest komendantem Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach.

oprócz księdza zaproszono także popa, chociaż żaden żołnierz nie był wyznania prawosławnego. „Musimy być przygotowani na taką okoliczność”, podkreśla.

Agnieszka Krasowska, instruktor sekcji szkolenia do spraw kulturowych, uczyła kursantów, jak należy zaplanować operację, aby nie zniszczyć zabytków. „Oficerowie CIMIC muszą wiedzieć, gdzie na ich terenie znajdują się kościoły, muzea, zespoły urbanistyczne, a także np. stuletnia kapliczka ważna dla lokalnej społeczności”, mówi. O tym, że wojsko musi chronić dobra kultury, wie z własnego doświadczenia ppor. Mirosław Nakielny, bo dowództwo jego brygady mieści się w starych koszarach: „Niemal

100 lat temu stacjonowali w nich żołnierze 32 Pułku Piechoty, potem 11 Pułku Ułanów Legionowych. Dziś budynki objęte są ochroną konserwatora”.

W godzinach popołudniowych, gdy instruktorzy kończą wykłady, a kursanci rozchodzą się do swoich pokojów, koszarzy nie pustoszeją. Z placu apelowego dobiega marszowy stukot – to elewi z turnusu przygotowawczego do narodowych sił rezerwowych ćwiczą musztrę. Do Centrum przyjechała także grupa kobiet na szkolenie z samoobrony. Wojskowy instruktor sztuk walki uczy je technik przydatnych w sytuacji niespodziewanego ataku lub innego zagrożenia.

Oferta szkoleniowa CPdMZ jest bogata. Centrum szkoli żołnierzy wojsk lądowych wyjeżdżających na misje czy np. marynarzy, którzy pływają po Morzu Śródziemnym. Jak tłumaczy ppłk Matczak, muszą oni wiedzieć, jak się zachować, gdy np. na pokładzie ich okrętu znajdą się uchodźcy. W ośrodku odbywają się też kursy dla obserwatorów wojskowych, organizacji proobronnych czy korespondentów wojennych.

Placówkę tę doceniają przedstawiciele innych krajów NATO, których żołnierze szkolą się w Kielcach. Centrum organizuje m.in. kurs

NAWIĄZANIE PRZEZ ŻOŁNIERZY DOBRYCH RELACJI Z MIESZKAŃCAMI KRAJU, W KTÓRYM TRWA MISJA WOJSKOWA, JEST DECYDUJĄCE DLA POWODZENIA ICH OPERACJI



współpracy cywilno-wojskowej NATO CIMIC Field Worker Course oraz NATO

CIMIC Staff Worker Course. „Chcemy wprowadzić szkolenia związane z podniesieniem świadomości obronnej przedstawicieli administracji realizujących swoje zadania poza granicami kraju”, dodaje płk Chabielski. Garnizon w Bukówce utrzymuje dobre kontakty z kieleckimi samorządowcami, współpracuje również ze szkołami, zwłaszcza tymi, które mają klasy mundurowe.

WIZYTÓWKA CENTRUM

W Centrum pracują jedni z najlepszych w Polsce specjalistów z zakresu szkoleń kulturowych dla żołnierzy. To ważne, bo nawiązanie dobrych relacji z mieszkańcami kraju, w którym trwa wojskowa misja, może decydować o życiu lub śmierci. W programie szkolenia dla oficerów odpowiedzialnych za CIMIC były także zajęcia „Zadania współpracy cywilno-wojskowej w składzie PKW”.

„Kultura muzułmańska jest różnorodna. Uczymy żołnierzy, jak się w niej poruszać”, wyjaśnia kpt. rez. Wojciech Mąkół, instruktor sek-



SPRZĘT

W wyposażeniu jednostki znajdują się humery, honkery i różnego typu pojazdy ciężarowe wysokiej mobilności oraz specjalistyczne pojazdy patrolu rozminowania. Broń strzelecka to głównie UKM 2000P, beryle i pistolety Wist-94. ■



TRADYCJA

W 1997 roku decyzją ministra obrony narodowej jednostce nadano imię gen. Władysława Sikorskiego. Placówka przejęła tradycje polskich kontyngentów wojskowych działających pod flagą ONZ. Doroczne święto obchodzi 6 września – na pamiątkę wysłania do Syrii XXXV zmiany PKW UNDOF. ■

cji szkolenia ds. kulturowych. To jeden z najbardziej doświadczonych wykładowców..

Mjr Tomasz Wilk z 5 Pułku Chemicznego w Tarnowskich Górach nie był na misji, więc z zainteresowaniem uczestniczył w zajęciach poświęconych tematyce kształcenia kulturowego. „To było dla mnie nowe i ciekawe doświadczenie. Dowiedziałem się, że na misji nie pomagamy bezpośrednio cywilom, lecz budujemy z nimi przyjazne relacje, przez co wspieramy naszych żołnierzy. Czasem wchodzimy niczym do ula – nie wiemy, jak zachowują się miejscowi, ale problemy rozwiązujemy pokojowo. Musimy znać kulturę kraju, w którym się znaleźliśmy, aby gestem, ruchem czy słowem nikogo nie obrazić”, podkreśla.

Mjr Wilk chwali wykładowców: „Nie tylko przekazali nam część swojej wiedzy, lecz także zaciekawili poruszaną tematyką. Nikt nie patrzył na zegarek”. Dla ppor. Mirosława Nakielnego zajęcia ze świadomości międzykulturowej były przypomnieniem doświadczeń z afgańskiej misji, a dla tych, którzy nie służyli poza granicami kraju – kompendium wiedzy o tym, jak rozmawiać z tubylcami, jak się przywitać czy zwracać do starszyny.

Mjr Kamil Głęb był dwukrotnie na misji w Kosowie, ale jako dowódca plutonu nie miał wielu kontaktów z Albańczykami. Jego także zaciekawili zajęcia ze świadomości międzykulturowej, opowieści o kulturze paszuńskiej, przywiązaniu tego plemienia do tradycji i obowiązującej hierarchii. Szkolenia kulturowe są wizytówką CPdMZ. Za opracowanie kursu „Planowanie i realizacja zadań współpracy cywilno-wojskowej w środowisku wielokulturo-

wym” ppłk Matczak został wyróżniony przez „Polskę Zbrojną” nagrodą Buzdygan. „To szkolenie uzmysławia oficerom, jak ważna jest świadomość międzykulturowa i współpraca cywilno-wojskowa w planowaniu działań. O ile inne nasze kursy przygotowują żołnierzy do udziału w misjach poza granicami kraju, o tyle ten pokazuje znaczenie świadomości międzykulturowej także dla obrony własnego kraju”, podkreśla ppłk Matczak.

Wojskowi wyjeżdżający na misje muszą wiedzieć, jak się zachować, jak rozmawiać, jak organizować spotkania. Niestety wygląda to różnie. „Współpraca cywilno-wojskowa w procesie planowania zadań jest przez dowódców spychana na dalszy plan”, zwraca uwagę komendant Centrum. A przecież niewłaściwe zachowanie lub podejście do miejscowej ludności może spowodować zagrożenie. Gdy w 2012 roku Amerykanie w bazie Bagram spalili Koran, wieść o tym rozniosła się błyskawicznie, a zamieszki wybuchły w każdej afgańskiej prowincji.

Płk Chabielski opowiada historię pokazującą, jak ważna jest znajomość kultury kraju, w którym przebywamy. Na IV zmianie PKW Afganistan był dowódcą grupy CIMIC w Ghazni. Uczestniczył w spotkaniu z władzami prowincji poświęconemu bezpieczeństwu w regionie. Gdy nadszedł czas modlitwy, jeden z policjantów wstał i krzyknął: Allah akbar! „Nie wiedziałem, co zrobić. Trzy metry dzieliły mnie od tego człowieka. Czekałem. Nic się nie wydarzyło. Policjant trzy razy powtórzył: »Allah akbar!«, potem usiadł. Jestem przekonany, że wielu żołnierzy na misjach zetknęło się z podobnymi sytuacjami”, wspomina. ■

ŁUKASZ
ZALESIŃSKI

Świat pod powierzchnią

Kiedy technicy wyznaczają profil, który trzeba przesondować, motorówka rusza, żeby dopłynąć do końca wyznaczonego akwenu i zawrócić. Robi tak pas po pasie. W pracy hydrografów trudno o fajerwerki, ale bez niej nie sposób wyobrazić sobie żeglugi na Bałtyku.



Obraz jest niezły, choć trochę zamazany. Kiedy operator pojazdu podwodnego włącza na chwilę reflektor, światło odbija się od wirujących wokół drobinek i momentalnie pogarsza się widoczność. Taka jest specyfika Bałtyku. Lepiej więc zdać się na słońce. Pogoda dziś piękna, więc jego blask bez problemu dociera na tę głębokość. Pojazd sunie nieco ponad 4 m pod powierzchnią, o czym zaświadczały cyfry na monitorze konsoli. Pozostałe wartości, które przelatują nam przed oczami, oznaczają kurs i temperaturę wody. Operator delikatnie przesuwając joystick i naraz z zielonej poświaty wynurza się czarny, obły kształt. Na dnie basenu portowego zalega jakiś obiekt. Zaraz spróbujemy ustalić, co to właściwie jest.

TRANSMISJA Z GŁĘBI

Wszedłem na pokład motorówki hydrograficznej MH-1. Na razie jeszcze stoi ona zacumowana przy jednym z nabrzeży portu wojen-

nego w Świnoujściu. Załoga przygotowuje się do prac sondażowych, które za chwilę ruszą pełną parą. Dziś po zimowej przerwie marynarze testują pojazd podwodny zwany VideoRay Pro 4. To niewielkie urządzenie, które jest połączone z pokładem za pomocą przewodu, zwanego czasem pępowiną. Może się oddalić od motorówki nawet na 300 m, przez cały czas przesyłając na górę obraz na żywo. Operator steruje za pomocą konsoli, która mieści się w niewielkiej walizce. „Pojazd ze względu na swoje rozmiary jest urządzeniem niezwykle czułym. Używa się go w akwenach, gdzie prędkość prądów nie przekracza 1–2 w.”, wyjaśnia kmdr Witold Stasiak z Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej, który pełni dziś funkcję instruktora. W praktyce zatem najczęściej używa się go w portach.

Wrzuca się VideoRay Pro 4 do wody po to, by dokładniej przyjrzeć się obiektom namierzonym przez inne urządzenia, których na motorówce jest całkiem sporo. „Przed wszystkim



MARCIN PURMAN / 8 FOW (3)

HYDROGRAFOWIE SPRAWDZAJĄ, CZY NA SZLAKACH PRZEMIE- RZANYCH PRZEZ STAT- KI, KUTRY I OKRĘTY NIE POJAWIŁY SIĘ PRZESZKODY, KTÓRE MOGŁYBY ZAGRAŻAĆ BEZPIECZEŃSTWU ŻEGLUGI

załoga ma do dyspozycji echosondę wielowiązkową”, wyjaśnia kmdr ppor. Mariusz Sadowski z Wydziału Hydrograficznego 8 Flotyli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu. Jej sercem jest specjalna głowica, którą opuszcza się do wody przez otwór w środkowej części pokładu. Wysyła ona łącznie 400 wiązek w impulsie. A każdy z nich odbity od dna albo spoczywających na nim obiektów wraca do urządzenia, czas zaś, w jakim to robi, dostarcza informacji o głębokości. Podczas tzw. sondażu batymetrycznego echosonda jednocześnie bada sektor odpowiadający szerokości wiązki o kącie 140 stopni. „Wraz z nią zwykle używa się sonaru holowanego. Nie określa on głębokości, ale pozwala lepiej zobrazować wykryte pod wodą obiekty. Dostarcza informacji o ich kształcie i pozycji”, tłumaczy kmdr ppor. Sadowski. Na pokładzie znajdziemy też sonar dookólny. „To urządzenie z kolei opuszcza się na dno wraz z trójnożem, na którym jest osadzone. Pełni ono podobną funkcję jak sonar holowany. Używamy go na przykład w miejscach, nad którymi nie może przepłynąć motorówka:

przy falochronach czy narożnikach basenów portowych”, informuje komandor podporucznik.

Motorówka jest też wyposażona w magnetometr. Rejestruje on zmiany w polu magnetycznym na wybranych akwenach. Mogą wskazywać

na to, że na dnie spoczywa mina albo niewybuch. „Oczywiście poszukiwanie i klasyfikacja takich obiektów to zadanie wyspecjalizowanych sił przeciwmicznych, ale marynarki wojenne na całym świecie dążą do tego, by jednostki obu typów ściśle ze sobą współpracowały. Niektóre z nich mają nawet do dyspozycji okręty wielozadaniowe, przeznaczone zarówno do zadań hydrograficznych, jak i prowadzenia wojny minowej”, podkreśla kmdr ppor. Sadowski.

STO PROCENT DNA

Tymczasem podwodny pojazd powoli opływa znalezione. Namierzony wcześniej obiekt widzimy nie tylko na monitorze konsoli, lecz także na dwóch ekranach z czterech ustawionych w rogu kabiny. Pierwszy, powiązany





z echosondą wielowiązkową, wypełniają żółte i czerwone pasy o odcieniach uzależnionych od głębokości. Na ich tle tkwi szary prostokąt motorówki, a w pobliżu czarny walec. Ten obiekt można zobaczyć także na sąsiednim monitorze, który jest przypisany do sonaru holowanego. Tyle że to obraz z wczoraj, zarejestrowany, kiedy łódź przemierzała portowy basen. Wróćmy jednak do pojazdu ROV (Remotely Operated Vehicle) i transmisji na żywo.

„Wygląda na to, że mamy tutaj jakiś słup, najpewniej betonowy”, ocenia kmdr Stasiak, który steruje pojazdem. Jak się tu znalazł? Trudno powiedzieć. Być może osunął się z nabrzeża, kiedy prowadzono przy nim jakieś prace. Ale to w sumie kwestia drugorzędna. Najważniejsze pytanie brzmi: czy wystaje ponad dno na tyle wysoko, że mógłby zagrażać żegludze? Na pierwszy rzut oka na to nie wygląda...

Tymczasem to zaledwie wycinek codziennej pracy hydrografów. Każdego roku wyruszają oni na polskie wody Bałtyku, by badać morskie dno. Sprawdzają, czy na szlakach przemierzanych przez statki, kutry i okręty nie pojawiły się przeszkody, które mogłyby zagrażać bezpieczeństwu żeglugi. „Dno morskie nieustannie się zmienia. Prądy potrafią nanieść sporo piasku i mułu albo odsłonić obiekty, które przez lata były w nim zakopane”, tłumaczy kmdr Stasiak. Do tego zmienia się sprzęt, z którego korzystają hydrografowie. „Do niedawna używaliśmy echosond jednowiązkowych, więc między zlustrowanymi profilami mieliśmy dokładnie 10 m odstępu. Teraz na interesujących nas akwenach możemy przeskanować dno ze stuprocentowym pokryciem”, podkreśla kmdr ppor. Sadowski. Sondaże w wielu miejscach przynoszą zupełnie nowy obraz. „Dno Bałtyku nieopodal polskiego wybrzeża przypomina gdzieś tam łańcuch niewielkich, piaszkowych wzgórz. Wcześniej nie mieliśmy o tym pojęcia”, przyznaje kmdr Stasiak.

Na kluczowych szlakach hydrografowie muszą powtarzać sondaże co kilka lat. Najważniejszą sprawą jest sprawdzenie międzynarodowych tras HELCOM. Na pełnym morzu robią to okręty hydrograficzne OORP „Arcowski” i „Heweliusz”, które wchodzi w skład Dywizjonu Zabezpieczenia Hydrograficznego 3 Flotylli Okrętów w Gdyni. Bliżej brzegu i w portach pracują motorówki hydrograficzne. Trzy lata temu białoczerwona bandera została podniesiona na czterech nowych motorówkach Wildecat 40/2. Trzy z nich zostały skierowane do gdyń-

ZAŁOGA MOTORÓWKI SKŁADA SIĘ Z CZTERECH OSÓB: DOWÓDCY, MOTORZYSTY I DWÓCH TECHNIKÓW, KTÓRZY PROWADZĄ POMIARY. WYKONUJĄ ZADANIA NA AKWENACH ODDALONYCH DO 20 MM OD WYBRZEŻA

skiej flotylli, czwarta to właśnie MH-1 służąca w Świnoujściu.

„Załoga motorówki składa się z czterech osób: dowódcy, motorzysty i dwóch techników, którzy prowadzą pomiary. Wykonujemy zadania na akwenach oddalonych do 20 Mm od wybrzeża. Możemy działać nawet w miejscach, gdzie głębokość wody ledwie przekracza półtora metra”, wyjaśnia st. chor. mar. Tomasz Szajek, dowódca MH-1. Zwykle odbywa się to tak, że technicy wyznaczają profil, który trzeba przesondować, dokument przedkładają dowódcy, ten zaś go zatwierdza, po czym motorówka rusza naprzód z prędkością 4–5 w. Do końca wyznaczonego

akwenu, zwrot i znów do końca. Tak pas po pasie, godziną po godzinie. „W ciągu roku sondujemy akweny o łącznej powierzchni około 150 km²”, informuje dowódca MH-1. Podobną pracę wykonują pozostałe motorówki.

Zebrane w ten sposób dane są opracowywane i trafiają do Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej. Tam stają się podstawą do sporządzania morskich map. „Mapy cyfrowe aktualizowane są na bieżąco, a raz na kilka lat wydajemy zestaw papierowych”, informuje kmdr Stasiak. „Poza tym raz w tygodniu publikujemy »Wiadomości Żeglarskie« z aktualną korektą do map papierowych”, dodaje.

KIERUNEK KOŁOBRZEG

W tym roku załogę MH-1 czeka sondowanie szlaku żeglugowego ze Świnoujścia do Kołobrzegu, który zalicza się do systemu torów wodnych HELCOM oraz podejścia do portu w Dziwnowie. „Autonomiczność motorówki, czyli jej zdolność do operowania na morzu bez zawijania do portu, została obliczona na cztery doby. Możemy zabrać na pokład wystarczającą na ten czas ilość pożywienia, wody, materiałów pędnych. Mamy kabiny, w których można się przespać, no i podwójny kadłub pozwala przetrwać, nawet gdy stan Bałtyku sięgnie pięciu–sześciu [stopni w dziesięciostopniowej skali Douglasa; przy pięciu stopniach wysokość fal może sięgnąć 4 m, przy sześciu zaś – 6 m], wylicza st. chor. mar. Szajek. „Z reguły jednak badania prowadzimy za dnia, przez osiem godzin, po czym wracamy do portu”, dodaje. I tak od kwietnia do nadejścia zimy, z przerwą na urlop. Dowódca MH-1 przyznaje, że to praca dość monotonna i mało efektowna. „Ale bez niej trudno sobie wyobrazić żeglugę po Bałtyku”, podsumowuje. ■

ST. KPR. RADOSŁAW WOJDA



Data i miejsce urodzenia: 2 grudnia 1982 roku, Grudziądz.

Tradycje wojskowe:

tata Andrzej Wojda był żołnierzem zawodowym w stopniu starszego sierżanta. Zmarł podczas misji pokojowej w Libanie 14 lipca 1995 roku.

W wojsku

służy od:
1 września 2007 roku.

Zajmowane stanowisko:

dowódca obsługi wyrzutni ppk Spike w 3 Batalionie Zmechanizowanym w Trzebiatowie 7 Brygady Obrony Wybrzeża.

EDUKACJA WOJSKOWA:

Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Toruniu.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO:

to było moje marzenie od dziecka. Poza tym chciałem kontynuować rodzinne tradycje.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

śmierć ojca i narodziny dzieci.

MISJE I ĆWICZENIA:

brałem udział m.in. w „Anakondzie”, „Dragonie” czy w cyklicznych ćwiczeniach 12 Dywizji Zmechanizowanej „Rosomak”.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

ujednoliciłbym normy egzaminów z WF-u dla wszystkich żołnierzy, niezależnie od zajmowanego stanowiska służbowego.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBA MI SIĘ:

mundur polowy, ze względu na jego funkcjonalność.



**NAJLEPSZA BROŃ:
DOBRZE ZGRANA I WYSZKOŁONA
OBSŁUGA LUB DRUŻYNA.**

HOBBY:



sport



motoryzacja



majsterkowanie



film



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. PIOTR SPÓŁNY / 7 BOW

Uczestnicy rajdu przez
USA: (od lewej) Adam
Lewkowski, Michał
Paćko, Sebastian
Stępniak

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

MILE pamięci

**Przejadą na rowerach
ponad 8,2 tys. km,
aby uczcić pamięć
kolegów poległych
w Iraku i Afganistanie.**



MICHAŁ NIWICZ

Ruszył ze Szczecina „Rajd pamięci 22 poległych w Iraku”. Kpr. Maciek Kot z 1 Pułku Saperów z Brzegu oraz sierż. Sebastian Grodzicki z 21 Bazy Lotnictwa Taktycznego przejadą 2,6 tys. km, po drodze zapalą znicze na grobach 22 żołnierzy, którzy nie wrócili z Iraku. 10 czerwca 2018 roku do USA polecą z kolei plut. Michał Paćko z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, st. kpr. Sebastian Stępniak z 32 Dywizjonu Obrony Przeciwlotniczej oraz plut. Adam Lewkowski z 6 Brygady Powietrznodesantowej. W „Rajdzie pamięci 44 poległych w Afganistanie” wyruszą z zachodniego wybrzeża, aby po pokonaniu 5,6 tys. km dotrzeć na rowerach na wschodnie wybrzeże.

Organizatorem obu rowerowych wypraw jest Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. „Oba rajdy uważam za ciekawą inicjatywę. Pokazują one, jak ważne jest pielęgnowanie pamięci o poległych. Żołnierzom, którzy

zginęli w Iraku i Afganistanie, oddajemy w ten sposób cześć. To jest ważne dla ich rodzin. Zdecydowaliśmy się na rajd przez USA, bo chcemy podkreślić rangę naszego sojuszu z Amerykanami”, mówi płk Piotr Kaczmarek, szef oddziału służby poza granicami państwa w DGRSZ.

IRAK – 22 POLEGŁYCH

W 2011 roku na misji w Afganistanie zginął sierż. Szymon Sitarczuk z 1 Pułku Saperów w Brzegu. W szóstą rocznicę jego śmierci kpr. Maciek Kot jechał na rowerze z Brzegu do Głogówka, gdzie został pochowany Szymon. Jak co roku chciał zapalić znicz na grobie kolegi. „Miałem do pokonania 72 km i czas na myślenie”, wspomina. Wtedy wpadł na pomysł, żeby zorganizować rajd rowerowy upamiętniający poległych żołnierzy. „Na jednym z turnusów rehabilitacyjnych poznałem Michała Paćko, który planował podobną wyprawę w USA”, wspomina kpr. Kot.

Przed wyprawą kpr. Maciek Kot i sierż. Sebastian Grodzicki pojechali do Szczecina na grób ppłk. Hieronima Kupczyka, pierwszego żołnierza, który zginął w Iraku. Stamtąd wyruszyli 6 maja. Około dziewięciu godzin zajęło żołnierzom przejechanie 190 km do Międzyrzecza. To pierwszy przystanek rajdu. Dalsza droga wiedzie przez Poznań, Opole, Bielsko-Białą, Brodnicę, Elbląg, Węgorzewo, Warszawę, Lublin, Cieszanów do Rzeszowa, gdzie dotrą 28 maja. Trasa rajdu obejmuje wszystkie miejscowości, w których zostali pochowani żołnierze polegli na misji w Iraku. Do pokonania jest 2,6 tys. km.

Każdy dzień „Rajdu pamięci 22 poległych w Iraku” jest poświęcony jednemu z żołnierzy. Przy ich grobach kpr. Kot i sierż. Grodzicki spotkają się z przedstawicielami jednostek wojskowych, opiekunami indywidualnymi oraz rodzinami poległych. Obaj zgodnie uważają, że taki kontakt jest ważny nie tylko dla członków rodzin, lecz także dla weteranów, starających się służyć pomocą tym, którzy nie mogą już liczyć na wsparcie swoich synów, mężów czy ojców. „Nasz rajd sprzyja także integracji środowiska weteranów oraz umacnia relacje opiekunów indywidualnych z jednostkami wojskowymi z rodzinami poległych żołnierzy. Chodzi także o to, aby ludzie widzieli, że nie zapominamy o kolegach, którzy zginęli”, podkreśla kpr. Maciek Kot.

AFGANISTAN – 44 POLEGŁYCH

„One Team One Mission” – takie hasło przyświecało żołnierzom pełniącym służbę w PKW Afganistan. Na pomysł zorganizowania rajdu upamiętniającego 44 żołnierzy, którzy nie wrócili z misji w tym kraju, wpadł plut. Michał Paćko, który służy w DGRSZ na stanowisku zdolny z ograniczeniem. Płk Piotr Kaczmarek poparł inicjatywę, a minister obrony narodowej objął rajd swoim patronatem.

15 czerwca 2018 roku z Los Angeles wystartuje rowerowy team w składzie: plut. Michał Paćko, st. kpr. Sebastian Stępnia oraz plut. Adam Lewkowski. Podczas rajdu przez Stany Zjednoczone weterani będą mieli do przebycia 5,6 tys. km na trasie z Los Angeles do Nowego Jorku. Każdego dnia muszą przejechać 130 km. Najbardziej wyczerpujące będą odcinki wiodące przez pustynię (około 2 tys. km) oraz przez góry na wysokości 3 tys. m n.p.m. Każdy dzień jazdy zostanie poświęcony jednemu żołnierzowi, który zginął w Afganistanie. Jako pierwszy zostanie upamiętniony kpr. Grzegorz Bukowski z Żandarmerii Wojskowej (15 czerwca minie ósma rocznica jego śmierci). „Nasza inicjatywa ma także dodatkowe cele”, dodaje plut. Paćko. „Chcemy pokazać, że sport i aktywność fizyczna pozytywnie wpływają na rehabilitację”.

Uczestnicy rajdu będą nocować w namiotach lub domach weterana w okolicznych miejscowościach. Mogą też liczyć na wsparcie amerykańskich weteranów. Niektórzy

z nich dołączą do polskiego teamu na poszczególnych etapach i podczas przejazdu przez miejscowości, gdzie są pochowani amerykańscy żołnierze, będą odwiedzać ich groby. „Chcemy pokazać, że się z nimi solidaryzujemy”, podkreśla inicjator rajdu.

Plut. Michał Paćko został ranny w Afganistanie w 2010 roku, gdy pod pojazdem, którym dowodził podczas patrolu, wybuchł ajdik. Żołnierz miał uszkodzony kręgosłup, a po powrocie do kraju przez kilka lat zmagał się z PTSD. „Pomogła mi wówczas jazda na rowerze, bo dzięki niej złe emocje znajdowały ujście. Tak złapałem sportowego bakcyła”, przyznaje. Dwa lata temu wzdłuż Łazurowego Wybrzeża pokonał 1300 km z Nicei do Barcelony. Namówił też żonę na rowerową eskapadę z północnych Włoch na Sycylię – 1640 km.

Plut. Adam Lewkowski, uczestnik rajdu, został ranny w 2009 roku w Afganistanie, gdy w trakcie ostrzału próbował pomóc rannemu koledze. Stosunkowo szybko wrócił do zdrowia dzięki temu, że zawsze prowadził aktywny tryb życia. „Moim zadaniem są kontakty ze stroną amerykańską. Podczas przejazdu przez USA zamierzamy promować polskich weteranów i na spotkaniach z amerykańskimi będę opowiadał o naszej inicjatywie. Dla mnie udział w rajdzie ma także wymiar osobisty – w Afganistanie zginęło dwóch żołnierzy z mojej kompanii: st. kpr. Szymon Słowik – jestem indywidualnym opiekunem jego rodziny – oraz kpr. Piotr Marciniak”, mówi weteran.

Ostatnie miesiące uczestnicy rajdu spędzają na przygotowaniach. Michał Paćko na przykład w tym roku przejechał już ponad 4 tys. km. Obaj jednak nie tylko jeżdżą na rowerach, lecz także ćwiczą na siłowni. Zgodnie twierdzą, że przejechanie 130 km dziennie nie będzie dla żadnego z nich problemem. Jedyne, czego się obawiają, to monotonia związana z pokonywaniem tylu kilometrów przez kolejne 44 dni. Przyznają, że będzie to dla nich spore wyzwanie.

Na końcowym etapie rajdu do uczestników dołączą członkowie rodzin poległych żołnierzy, chcący upamiętnić w ten sposób swoich bliskich. Wśród nich jest Natalia Ambrozińska, której mąż, kpt. Daniel Ambroziński z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, zginął na V zmianie PKW Afganistan w 2009 roku. Do rajdu chce się także włączyć Renata Szlązak-Matynia. Jej mąż chor. Karol Szlązak, technik śmigłowca, zginął w 2004 roku w Iraku w katastrofie maszyny. Ich córka nie pamięta ojca. „Dla mnie najważniejsze jest pokazanie Amelii, że jej tata zginął śmiercią bohatera. Musi także wiedzieć, że koledzy o nim pamiętają”, mówi Renata Szlązak-Matynia.

Ostatni etap rajdu prowadzi z Niagara Falls do Nowego Jorku – to 796 km. 28 lipca jako ostatni zostanie upamiętniony sierż. Paweł Poświat, w siódmą rocznicę śmierci. ■



P



iotr Wróbel

Dlaczego zostałem krwiodawcą?

MICHAŁ NIWICZ
Idzie nasza minusowa zerówka, nasz bohater – witały mnie panie z punktu krwiodawstwa w Nowej Dębie. W tym mieście rozpoczęła się moja droga honorowego krwiodawcy. Kroczę nią już 25 lat. Po raz pierwszy oddałem krew w 1993 roku, zachęcony przez kolegę. Odbywałem wówczas zasadniczą służbę wojskową w Ośrodku Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Nowej Dębie. Nie myślałem, że mogę komuś bezinteresownie pomóc, tylko że za oddanie

450 ml dostanę dwa dni dodatkowego urlopu. W 1994 roku podczas kolejnej wizyty w punkcie krwiodawstwa dowiedziałem się, że moja krew uratowała życie mężczyźnie, który był ofiarą wypadku. Wtedy dopiero dotarło do mnie, że ofiarowując małą część siebie, mogę dać komuś szansę na drugie życie. W gabinecie lekarskim czekała na mnie starsza pani, to jej syn otrzymał moją krew. Wręczyła

mi tabliczkę czekolady. Przez pierwsze lata oddawałem krew nieregularnie. W 2011 roku trafiłem do 3 Sandomierskiego Batalionu Radiotechnicznego i od tego czasu robię to pięć razy w roku, a raz nawet udało mi się oddać krew sześć razy. Dalej będę się dzielił częścią siebie, o ile pozwoli mi na to zdrowie.

Wojskowy Klub HDK PCK nr 111, który reaktywowałem w 2013 roku, włącza się do wielu akcji, m.in. „Wakacyjna kropla krwi”, „Dawniej oni za nas, teraz my dla nich” – z okazji Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, „W boju i potrzebie krwi nie szczędząc” – z okazji Dnia Weterana. W 2016 roku, gdy obchodziliśmy 60-lecie sformowania naszego batalionu, zorganizowaliśmy całoroczną zbiórkę krwi „60 litrów na 60-lecie”. Udało się zebrać ponad 110 l krwi, czyli prawie dwa razy więcej. Kapituła Odznaki Honorowej w uznaniu zasług na rzecz PCK nadała naszemu batalionowi Odznakę Honorową PCK I stopnia. Niewiele klubów może poszczycić się takim odznaczeniem. ■

**HONOROWY
KRWIODAWCA**

**MŁ. CHOR. PIOTR
WRÓBEL**

**Służba: 3 Sandomierski Batalion
Radiotechniczny**
 – krwiodawca od 1993 roku
 – oddał 18 l krwi
 – prezes Wojskowego Klubu HDK
PCK nr 111 przy
 3 Sandomierskim Batalionie
Radiotechnicznym

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

ŚWIADCZENIA PIENIĘŻNE

W sierpniu 2017 roku, po ukończeniu szkoły oficerskiej, zostałem wyznaczony na pierwsze stanowisko służbowe w desancie – jako podporucznik, dowódca plutonu. Komisja lekarska kilka dni przed moim przyjęciem do nowej jednostki orzekła u mnie niezdolność do służby w desancie i tym samym nie mogłem przejąć obowiązków służbowych. Czy wtedy powinno mi przysługiwać świadczenie mieszkaniowe? Od nowego roku pełnię służbę w innej jednostce. Czy tu z kolei należy mi się dodatek za przesiedlenie i za zmianę garnizonu?

→ Postawione przez autora pytanie dotyczy kilku różnych uprawnień żołnierza zawodowego, co wymusza oddzielne odniesienia się do każdego z nich. **Kwestię prawa żołnierza zawodowego do świadczenia mieszkaniowego reguluje ustawa o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych RP.** Jej przepisy stanowią, że przysługuje ono przez czas pełnienia służby w danym garnizonie w wysokości iloczynu stawki podstawowej i współczynnika świadczenia mieszkaniowego zależnego od garnizonu. Jednocześnie w ustawie wymienione są sytuacje, kiedy ono nie przysługuje.

W tym wypadku żołnierz niewątpliwie pełnił służbę, a jedynie nie mógł objąć obowiązków z uwagi na niedopuszczenie go do służby w jednostce powietrznodesantowej przez komisję lekarską. Ustawodawca, wymieniając

enumeratywnie sytuacje, w których świadczenie mieszkaniowe nie przysługuje, nie wskazał tej dotyczącej żołnierza. Tym samym takie świadczenie mu przysługiwało.

Co do pytania o zwrot kosztów przesiedlenia, to zgodnie z ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych żołnierzowi wyznaczonemu na stanowisko służbowe poza miejscowością stanowiącą siedzibę jednostki wojskowej lub wydzielonego pododdziału, w której zajmował on dotychczas stanowisko służbowe, przysługują: ryczałt z tytułu przeniesienia; diety za czas przejazdu i pierwszą dobę pobytu w nowym miejscu pełnienia służby; ryczałt na pokrycie kosztów przejazdu z miejsca stałego zamieszkania do nowego miejsca pełnienia służby, a ponadto w wypadku przesiedlenia (o którym mowa w ust. 1) przysługują mu zasiłek osiedleniowy i zwrot kosztów przewozu urządzeń domowych.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej z 22 czerwca 1995 roku (DzU nr 86 poz. 433 z późn. zm.), tekst jednolity z 8 grudnia 2017 roku (DzU z 2018 poz. 133) – art. 21 ust. 2 pkt 3, art. 48d ust. 1 i 2; ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 80 ust. 1, art. 86 ust. 1 i 2; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie należności pieniężnych żołnierzy zawodowych za przeniesienia, przesiedlenia i podróże służbowe z 16 lipca 2014 roku (DzU z 2014 poz. 1003).

WYNAGRODZENIE W POŁOWIE

Byłem tymczasowo aresztowany na niecałe trzy miesiące. Sąd uchylił mi areszt i wróciłem do pracy na starych warunkach, na swoje stanowisko i w normalnym wymiarze pracy. Kiedy byłem w areszcie, dostawałem połowę pensji zgodnie z art. 92 ustawy. Po powrocie do pracy nadal tyle dostaję. Nie jestem zawieszony i nie byłem. Jedynym dokumentem jest wyciąg z rozkazu wystawiony zaraz po moim aresztowaniu, że w związku z tym powinienem otrzymywać połowę pensji. Czy nie powinienem zaraz po wyjściu z aresztu dostawać pełnej wypłaty? A jeśli nie teraz, to kiedy?

→ **Podstawą do zawieszenia uposażenia jest dyspozycja art. 92 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych** (...), który stanowi, że: „żołnierzowi zawodowemu, który został zawieszony w czynnościach służbowych albo tymczasowo aresztowany, zawiesza się od najbliższego terminu płatności połowę ostatnio otrzymanego uposażenia zasadniczego oraz wypłatę dodatków o charakterze stałym, a także wypłatę należności pieniężnych, o których mowa w art. 94 oraz art. 95 pkt 1 i 3”.

Przepis art. 92 ust. 2 cytowanej ustawy wskazuje, kiedy zawieszoną część uposażenia wypłaca jednostka wojskowa. Następuje to

w razie umorzenia postępowania karnego lub dyscyplinarnego albo uniewinnienia prawomocnym wyrokiem sądu lub orzeczeniem dyscyplinarnym. Zawieszone należności pieniężne żołnierz otrzymuje wraz z odsetkami ustawowymi za opóźnienie od dnia, w którym uposażenie lub inna należność pieniężna stały się wymagalne, choćby umorzenie lub uniewinnienie nastąpiło po zwolnieniu żołnierza z zawodowej służby wojskowej.

W pytaniu brak jest informacji, czy w stosunku do żołnierza toczy się nadal postępowanie sądowe, co uniemożliwia w pełni odniesienie się do tej kwestii. Podanie punktu do rozkazu dziennego dowódcy jednostki wojskowej dotyczącego wypłaty połowy pensji można utożsamiać z wydaniem rozkazu/decyzji w przedmiocie zawieszenia wypłaty połowy uposażenia. Zgodzić się jednak należy, że z uwagi na fakt, że na mocy takiej „decyzji” dochodzi do wypłaty jedynie połowy uposażenia – organ powinien wydać decyzję administracyjną, od której zainteresowanemu przysługiwałoby prawo wniesienia odwołania, a także kontroli sądowo-administracyjnej (podobny wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego z siedzibą w Warszawie z 15 grudnia 2011 roku, II SA/Wa 1459/11).

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna:
ustawa z 11 września 2003 roku
(DzU z 2010 nr 90
poz. 593 z późn. zm.)
– art. 6 ust. 2 pkt 2,
art. 92 ust. 1 i 2.

DYŻURY NA TELEFON

W naszej jednostce funkcjonują tzw. dyżury na telefon pełnione przez żołnierzy wyznaczonych do służby w składzie pododdziału alarmowego, która jest jedną ze służb porządkowych (podobnie jak służba oficera dyżurnego jednostki wojskowej czy pomocnika oficera dyżurnego). Czy istnieje podstawa prawna do funkcjonowania dyżurów domowych żołnierzy zawodowych? Czy oni powinni mieć wypłacany ekwiwalent za pełnienie nieetatowej służby wewnętrznej, która de facto trwa 24 godziny?

➔ **Dodatek finansowy (ekwiwalent) nie przysługuje.**

Enumeratywny spis dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierza zawodowego zawiera § 4 rozporządzenia w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 28 grudnia 2016 roku. Ustawodawca nie przewidział dodatku finansowego za pełnienie tzw. dyżurów nieetatowej służby w składzie pododdziału alarmowego. W przeszłości wyjątek stanowili żołnierze zawodowi lekarze oraz inni posiadający wyższe wykształcenie i wykonujący zawód medyczny. Stosownie bowiem do przepisów rozporządzenia ministra obrony narodowej z 10 października 2000 roku w sprawie wysokości oraz szczegółowych warunków i trybu wypłaty wynagrodzenia za wykonywanie czynności zleconych wykraczających poza zwykłe obowiązki służbowe – tym żołnierzom, zobowiązanym przez komendanta (kierownika, dyrektora) zakładu opieki zdrowotnej do pozostawania poza nim w gotowości do udzielania świadczeń zdrowotnych, przysługiwało za każdą godzinę pozostawania w tej gotowości dodatkowe wynagrodzenie (por. wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego z siedzibą w Gorzowie Wlkp. z 14 lipca 2010 roku, II SA/Go 335/10).

Osobnego wyjaśnienia wymaga jednak podanie analizie rodzaju pełnionej służby. Zgodnie z art. 60 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych wymiar czasu ich służby jest określony zadaniami służbowymi. Do czasu służby zgodnie z rozporządzeniem ministra obrony narodowej zalicza się również czas pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru, ale trwających nie więcej niż osiem godzin.

Zgodnie z definicją dyżuru i służby dyżurnej zawartą w rozporządzeniu jest to „trwająca od dwunastu do dwudziestu czterech godzin służba garnizonowa, wewnętrzna, wartownicza, patrolowa, konwojowa i asystencyjna lub operacyjna”. Rozważeniu podlega, czy czas pozostawania w kontakcie telefonicznym stanowi dyżur lub służbę, o której mowa w tym przepisie. Jej istota polega na tym, że pełni się ją w jednostce wojskowej lub w miejscu zagrożenia i służy ona zagwarantowaniu ciągłości dowodzenia oraz kontroli funkcjonowania jednostki wojskowej. Pojawia się zatem uzasadnione pytanie, czy „dyżur/służbę pod telefonem” można uznać za „służbę dyżurną” w rozumieniu przepisów rozporządzenia.

Wykładnia obowiązujących w tej materii przepisów skłania jedynie do wniosku, że żołnierz może wnosić o udzielenie czasu wolnego za tego rodzaju służbę alarmową, choć też może spotkać się z różnym podejściem ze strony przełożonych. Podobne kwestie były już przedmiotem rozważań MON-u, a nawet kontroli sądowej. Ostatecznie, z braku konkretnych regulacji prawnych, żołnierz pozostaje na pozycji niekorzystnej, jeśli chodzi o prawo do dodatkowego uposażenia czy też udzielenia dni wolnych za tego rodzaju służbę. Pod rozwagę należałoby poddać równość traktowania żołnierzy lekarzy z pozostałą grupą żołnierzy zawodowych w kontekście art. 32 ust. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej RP. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne:
ustawa z 11 września 2003 roku
(DzU z 2010 nr 90
poz. 593 z późn. zm.) –
art. 60 ust. 1 i 5;
rozporządzenie mini-
stra obrony narodowej
w sprawie czasu służ-
by żołnierzy zawodo-
wych z 26 czerw-
ca 2008 roku
(DzU nr 122 poz. 786)
– § 2, § 4, § 8.



GOTOWI DO OBSŁUGI

- modernizacja
- modyfikacja
- serwisowanie na poziomie przemysłowym
- serwisowanie w miejscu lokalizacji sprzętu

WISŁA

GOTOWI DO STARTU

- technika raketowa
- ziemia - powietrze
 - ziemia - ziemia

Nasze kompetencje: obrona przeciwlotnicza i przeciwraketowa

Twoja: ochrona

www.wzu.pl

Z WOKANDY

PROBLEMY Z REFUNDACJĄ

Czy należy się zwrot kosztów za studia rozpoczęte w trakcie służby wojskowej?

Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, który po zwolnieniu ze służby wojskowej złożył do dyrektora wojskowego biura emerytalnego (WBE) wniosek o pokrycie kosztów przekwalifikowania zawodowego. Chodziło o refundację studiów II stopnia w łącznej kwocie 6508,00 zł. Żołnierz rozpoczął naukę, kiedy jeszcze był w służbie czynnej.

Dyrektor WBE wyraził zgodę na częściową refundację do kwoty 2416,00 zł, ponieważ wniosek dotyczył dwóch różnych okresów studiów. Jeden z nich obejmował opłatę czesnego za ponad dwa lata, czyli okres ujęty w przepisach.

Zainteresowany nie zgodził się z taką wykładnią przepisów i wniósł odwołanie. Podkreślił w nim, że do zachowania terminu wystarczy, aby wniosek został złożony w ustawowo określonym okresie i nie ma przy tym znaczenia, że w późniejszym czasie opłata czesnego dotyczy ponad dwóch lat od zwolnienia ze służby.

Dyrektor Departamentu Spraw Socjalnych Ministerstwa Obrony Narodowej uchylił decyzję dyrektora WBE i nakazał ponownie rozpoznać sprawę. Podkreślił też, że rolą Biura będzie ustalenie, czy w czasie, kiedy zainteresowany rozpoczynał studia, miał zgodę dowódcy jednostki wojskowej na nie w ramach pomocy rekonwersyjnej. Dopiero wówczas ustali należą wysokość kwoty refundacji opłaty za przekwalifikowanie zawodowe.

Z taką decyzją zainteresowany się nie zgodził, ponieważ uważał, że pogarsza ona jego pozycję prawną w postępowaniu odwoławczym. Ponadto podkreślił, że już w trakcie służby pisemnie informował dowódcę jednostki wojskowej o rozpoczęciu nauki. Wybrany kierunek studiów nie był do końca zbieżny z zajmowanym stanowiskiem służbowym, więc nie występował do dowódcy jednostki wojskowej o zwrot kosztów nauki.

Po rozpoznaniu zarzutów żołnierza sąd uznał, że skarga zasługuje na uwzględnienie. 26 stycznia 2018 roku Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie (sprawa o sygn. akt II SA/Wa 584/17) wydał wyrok, na mocy którego uchylił w całości decyzję dyrektora spraw socjalnych MON wydaną w przedmiocie odmowy zwrotu kosztów przekwalifikowania zawodowego w ramach pomocy rekonwersyjnej. Sąd podzielił stanowisko, że organ drugiej instancji naruszył zakaz „reformationis in plus”, który stanowi, że w toku postępowania odwoławczego pozycja prawna odwołującego nie może ulec zmianie na jego niekorzyść. Sąd dostrzegł również, że organ odwoławczy powinien ocenić sprawę merytorycznie i wydać rozstrzygnięcie, co do istoty sprawy przez opowiedzenie się za zasadnością zarzutów odwoławczych lub przeciwko nim. Sprawa ma trafić do ponownego rozpoznania do dyrektora Departamentu Spraw Socjalnych MON. ■

ROBERT KŁOŚIŃSKI

Błędy komisji lekarskiej

**Żołnierz wniósł odwołanie od orzeczenia komisji wojskowej.
Uznał, że nie przeprowadziła ona wszelkich wymaganych badań.**

Sprawa dotyczyła żołnierza zawodowego, który został skierowany do komisji lekarskiej w celu ustalenia dalszej zdolności do służby. Po przeprowadzonych badaniach lekarskich rejonowa wojskowa komisja lekarska uznała go za trwale niezdolnego do służby. Tego samego zdania była Centralna Wojskowa Komisja Lekarska w Warszawie, która potwierdziła, że orzeczenie RWKL zostało wydane po prawidłowo przeprowadzonym postępowaniu na podstawie obowiązujących przepisów, a w trakcie jego redagowania nie pominięto istotnych faktów. CWKL podtrzymała stanowisko RWKL o konieczności dalszej obserwacji i ewentualnego leczenia w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia.

Zainteresowany wniósł do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie skargę od ostatecznego orzeczenia CWKL. Podkreślił w niej m.in., że w toku procedury orzeczniczej komisja lekarska nie przeprowadziła wszelkich wymaganych badań, jak również dokonała wadliwej kwalifikacji schorzeń. Skarżący zarzucił też braki we właściwym uzasadnieniu zajętego przez komisję stanowiska.

WSA w Warszawie uznał, że skarga nie zasługuje na uwzględnienie, bo komisje lekarskie na podstawie zebrane-

go w sprawie materiału dowodowego prawidłowo oceniły, że skarżący nie może pełnić zawodowej służby wojskowej i z tego powodu należało zakwalifikować go do kategorii N, jako trwale niezdolnego do służby wojskowej.

Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie stwierdził jednak, że sąd I instancji w sposób wadliwy dokonał kontroli prawidłowości procedury orzeczniczej. Zwrócił uwagę, że skarżący faktycznie nie cierpi na schorzenie, które stanowiło podstawę do uznania go za niezdolnego do służby, a stosowanie kwalifikacji zastępczej, w sytuacji gdy schorzenia różnią się w stopniu znacznym, należy uznać za poważną wadę postępowania. NSA uznał ponadto, że istota sprawy jest dostatecznie wyjaśniona i nie ma podstaw do przekazywania jej do ponownego rozpoznania sądowi I instancji.

12 stycznia 2018 roku Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie (sprawa o sygn. akt I OSK 409/16) po rozpoznaniu skargi kasacyjnej byłego żołnierza zawodowego od wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 22 października 2015 roku uchylił go w części oraz orzeczenie RWKL i CWKL w Warszawie w przedmiocie zdolności do służby wojskowej. ■

ROBERT KŁOŚIŃSKI

Uprawnienia kierowców

Kierowcą pojazdu uprzywilejowanego może być osoba, która ukończyła 21 lat, ma odpowiednią kategorię prawa jazdy oraz orzeczenia lekarskie i psychologiczne o braku przeciwwskazań zdrowotnych do kierowania takim pojazdem. Wymagane są także ukończony kurs oraz posiadanie zezwolenia – w przypadku żołnierzy jest

ono wydawane przez jednostkę, w której pełnią służbę.

W praktyce jednak, zgodnie z obowiązującymi przepisami, ci, którzy w wojsku zdobyli uprawnienia do prowadzenia pojazdów uprzywilejowanych, nie mogą wykorzystywać swoich kwalifikacji poza służbą bez ukończenia specjalnego kursu. Chodzi tu m.in. o żołnierzy, którzy w armii służą na etatach kierowców-ratowników medycznych (zgodnie z przepisami mogą oni na zlecenie podejmować pracę np. w pogotowiu). Tymczasem prawo do prowadzenia cywil-

nych pojazdów uprzywilejowanych na podstawie uprawnień nabytych w służbie mają na przykład strażacy i policjanci. Na to, że żołnierze zostali pominięci w przepisach, zwrócił uwagę poseł Paweł Szramka. Interpelację w tej sprawie złożył do MON-u.

Udzielający odpowiedzi Wojciech Skurkiewicz, sekretarz stanu w MON-ie, przyznał, że ministerstwo uznaje za zasadne podjęcie prac legislacyjnych nad zmianami w tym zakresie. Potrzebne jest do tego jeszcze zajęcie stanowiska przez ministra infrastruktury. PG/PZ ■

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD



PAWEŁ BEHRENDT

Marzenia Japończyków o własnym lotniskowcu

IZUMO
został zwodowany
6 sierpnia 2013 roku,
w rocznicę zrzucenia
bomby atomowej
na Hiroszimę.

stają się coraz bardziej realne.
Jest to jeden ze znaczących
kroków w kierunku
remilitaryzacji Japonii.

PRZYMIARKI DO ODBUDOWY POTEŃGI

REUTERS/TORU HANAI/FORUM

D

ługą i wyboistą drogę musiały pokonać powojenne Morskie Siły Samoobrony (MSDF), żeby zdobyć okręty lotnicze. Lotniskowce, symbol potęgi i skuteczności cesarskiej marynarki wojennej, nie mogły bowiem trafić pod banderę pacyfistycznej Japonii. Problemem były nie tyle zapisy konstytucji, ile decyzje polityczne i zmienna interpretacja ustawy zasadniczej. Prowadziło to często do paradoksalnych sytuacji. Jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia lotniskowce uznano za okręty ofensywne, więc niedozwolone. Zastrzeżeń takich nie było wobec okrętów podwodnych. Co ciekawe, Chiny głośno protestują, gdy chodzi o każdą, nawet najmniejszą wzmiankę o japońskich lotniskowcach, tymczasem chińscy admirałowie nieoficjalnie przyznają, że za najgroźniejszy komponent MSDF uważają właśnie okręty podwodne.

Przyjęta nowa doktryna obrony oraz rozwój techniczny wymusiły jednak na siłach morskich Japonii pozyskanie okrętów lotniczych. W wyniku doświadczeń II wojny światowej za główne zadania MSDF przyjęto obronę wysp macierzystych przed inwazją oraz zapewnienie bezpieczeństwa morskich szlaków komunikacyjnych. W efekcie podstawową jednostką Morskich Sił Samoobrony stała się flotylla eskortowa. Takie działania wspierali Amerykanie. W razie wybuchu III wojny światowej podjęcie przez japońskie okręty eskorty konwojów na Pacyfiku pozwoliłoby bowiem skierować więcej sił US Navy do działań ofensywnych.

FORTEŁ Z NISZCZYCIELAMI

Tutaj na arenę wchodzi okręty lotnicze. W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia okazało się, że najskuteczniejszą bronią prze-

ciwko okrętom podwodnym są śmigłowce. Wtedy Japonia nie miała jednostek, które mogłyby przenosić wiroplaty, co znacznie ograniczało zdolności zwalczania okrętów podwodnych poza wodami przybrzeżnymi. Jednocześnie uznano, że zaokrętowanie pojedynczych śmigłowców nie zapewni dostatecznego potencjału. Z kolei budowa śmigłowcowców była wykluczona ze względów politycznych.

Kwestią dyskusyjną jest to, do jakiego stopnia inspiracją dla Japończyków były krążowniki śmigłowcowe budowane w tym czasie we Francji i Włoszech, faktem jest bowiem, że wybrane rozwiązanie okazało się bardzo podobne. Zdecydowano się na budowę niszczycieli śmigłowcowych. Od dziobu do śródokręcia były to zwykłe niszczyciele, w drugiej części znajdował się duży hangar, a na rufie – lądowisko. W latach 1973–1981 wcielono do służby po dwa okręty typów Haruna i Shirane, każdy przenoszący trzy–cztery śmigłowce.

Mimo wielu zalet niszczyciele śmigłowcowe miały wady. Do najważniejszych zaliczano ograniczoną liczbę zabieranych śmigłowców oraz utrudnione prowadzenie operacji lotniczych przy wysokich stanach morza. W 1998 roku rozpoczęły się zatem prace koncepcyjne nad okrętami nowej generacji. Określono, że muszą zabierać na pokład co najmniej pięć śmigłowców. Rozszerzono też spektrum zadań – o odgrywanie roli jednostek flagowych oraz uczestnictwo w misjach humanitarnych i usuwania skutków klęsk żywiołowych. Wymuszało to budowę dużo większych jednostek. Wyporność standardową już na wstępnym etapie ustalono na 13,5 tys. t, czyli niemal dwa razy więcej niż wynosi pełna wyporność jednostek typu Haruna i Shirane. Wraz z ujawnieniem pod koniec roku 2000 pierwszych wizualizacji nowych okrętów wrócił temat powrotu lotniskowców pod banderę wschodzącego słońca. Udowodniano, że



**Minister obrony
ITSUNORI
ONODERA**
zdementował
wszystkie donie-
sienia na temat
Izumy, ale dodał,
że „należy rozwa-
żyć różne opcje”.



ZA GŁÓWNE ZADANIA MSDF PRZYJĘTO OBRONĘ WYSP MACIERZY- STYCH PRZED INWAZJĄ ORAZ ZA- PEWNIENIE BEZPIECZEŃSTWA MOR- SKICH SZLAKÓW KOMUNIKACYJNYCH

japoński rząd dąży do budowy okrętów z ciągłym pokładem lotniczym, czyli lotniskowców.

Japonia miała już wtedy za sobą pierwszą burzliwą dyskusję na temat okrętów lotniczych. W roku 1999 do służby weszła pierwsza z trzech jednostek desantowych-doków typu Ōsumi – pierwsza od czasów II wojny światowej z ciągłym pokładem lotniczym. Wówczas powołano się na pochodzącą jeszcze z lat osiemdziesiątych wykładnię, według której ewolucja okrętów lotniczych doprowadziła do wyłonienia się dwóch podklas: ofensywnej i defensywnej. Do tej pierwszej zaliczono klasyczne lotniskowce, a druga obejmuje wszystkie mniejsze jednostki z ciągłym pokładem lotniczym przeznaczone do działań eskortowych i szeroko rozumianego wsparcia.

Nowe niszczyciele śmigłowcowe zaliczono zatem do kategorii okrętów defensywnych, aczkolwiek zamieszanie wokół projektu było jedną z przyczyn dymisji gabinetu premiera Yoshirō Moriego. Argumenty podnoszone przez opozycję nie były jednak bezpodstawne. Projekto-

wane okręty okazały się na tyle duże, że mogły przyjąć na swoje pokłady samoloty V/STOL (Vertical/Short Take Off and Landing). Ostatecznie Hyūga i bliźniaczy Ise weszły do służby w latach 2009–2011. W tym czasie trwały już prace nad kolejnym typem niszczycieli śmigłowcowych, które wywołały jeszcze więcej kontrowersji.

SPEKULACJE WOKÓŁ IZUMO

Od początku zakładano, że okręty typu 22 DDH będą miały 248 m długości i wyporność pełną ponad 24 tys. t. Dzięki temu mogły stanąć w jednym rzędzie z włoskim lekkim lotniskowcem Cavour, hiszpańskim uniwersalnym okrętem desantowym Juan Carlos I i francuskimi mistrałami. Cechą wspólną włoskiej i hiszpańskiej jednostki jest zdolność do przenoszenia samolotów V/STOL AV-8B Harrier II, a docelowo F-35B. Pojawiły się podejrzenia pod adresem projektowanych japońskich okrętów, że deklarowaną na 14 śmigłowców pojemność hangaru uznaje się za zaniżoną.



Japońskie ministerstwo obrony stale demontowało wszelkie spekulacje na temat wykorzystania F-35B. Duże rozmiary 22DDH uzasadniano szerokim wachlarzem stawianych przed nimi zadań. W stosunku do typu Hyūga rozszerzono je o obserwację japońskich terytoriów spornych z sąsiadami, przy czym otwarcie wskazywano na sporny z Chinami archipelag Senkaku, transport wojsk (do 400 żołnierzy i 50 pojazdów), a nawet podjęcie roli zaopatrzeniowców floty. Resort obrony podkreślał także, że projekt nie przewiduje skoczni startowej, a pokłady lotniczy i hangarowy są zbyt słabe dla samolotów.

Z czasem jednak dyskusje na ten temat zostały zepchnięte na dalszy plan przez inne kontrowersje. Prototypowy „Izumo” został zwodowany 6 sierpnia 2013 roku, w rocznicę zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę. Władze uznały tę zbieżność za przypadkową, o terminie wodowania miały zadecydować korzystne pływy. Drugi okręt został zwodowany 27 sierpnia 2015 roku. Tym razem konsternację wywołał wybór nazwy – „Kaga”. Tak samo nazywał się jeden z japońskich lotniskowców z okresu II wojny światowej.

JAPOŃSKIE MYŚLIWCE?

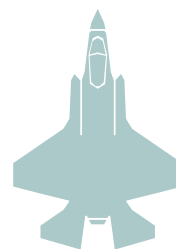
O możliwości przebudowy japońskich śmigłowców na prawdziwe lotniskowce było cicho aż do grudnia 2017 roku. Wówczas dziennik „Tokyo Shimbun” poinformował, że rozważany jest zakup F-35B. Oficjalnie myśliwce miałyby operować z lotnisk położonych w pobliżu wysp Senkaku. Tamtejsze obiekty mają jednak zbyt krótkie pasy startowe na potrzeby F-15 czy F-35A. Kwestia samolotów V/STOL jednak wywołała skojarzenia z Izumo i Kagą. Dziennik „Yomiuri Shimbun” dotarł do informacji, według których japońskie okręty miałyby współpracować z eskadrami US Marine Corps wyposażonymi w F-35B. Taka forma kooperacji jest już przygotowywana między Stanami Zjednoczonymi a innymi sojusznikami mającymi okręty lotnicze. Dziennikarze szybko uznali przebudowę „Izumo” za pewnik, a nawet spekulowali o przymiarce do budowy prawdziwych lotniskowców.

Debata publiczna i zainteresowanie mediów zaczęły zataczać coraz szersze kręgi. Dziennik „Mainichi Shimbun” podał, że pomysł przebu-

W JAPOŃSKIEJ DEBACIE PUBLICZNEJ NA TEMAT BEZPIECZEŃSTWA POJAWIAJĄ SIĘ GŁOSY PRZEDSTAWIAJĄCE EWENTUALNOŚĆ PREWENCYJNEGO UDERZENIA LOTNISKOWCÓW NA PÓŁNOCNOKOREAŃSKIE INSTALACJE JĄDROWE I RAKIETOWE JAKO DZIAŁANIE DEFENSYWNE

dowy „Izumo” na lotniskowiec wyszedł z grona urzędników ministerstwa obrony, którzy z entuzjazmem podeszli do prowadzonej przez premiera Shinzō Abe rewizji polityki obronnej. Minister obrony Itsunori Onodera zdemontował jednak wszystkie doniesienia na temat „Izumo”, ale dodał, że „należy rozważyć różne opcje”.

W tej dyskusji powrócił także pomysł „defensywnych lotniskowców”. Tym razem kategoria ta miałyby objąć także okręty przenoszące samoloty. W połowie lutego dziennikarze „Yomiuri Shimbun” dotarli do planów rozwoju i modernizacji japońskiego lotnictwa do roku 2030. Rozważanym wariantem jest zakup od 20 do 40 egzemplarzy F-35B, które miałyby zastąpić część F-15. Dostawy nowych myśliwców miałyby ruszyć w 2024 roku. Plany dotyczą też niszczycieli śmigłowców. Według dziennika, już w 2017 roku resort obrony miał zamówić analizę przystosowania „Izumo” i „Kagi” do bazowania samolotów. Procedura przebudowy na lotniskowce miałyby być podzielona na trzy fazy. W pierwszej okręty



Japończycy rozważają zakup od 20 do 40 egzemplarzy F-35B, które miałyby zastąpić część F-15.

odgrywałyby rolę jednostek wsparcia logistycznego dla wysuniętych baz położonych w rejonie obszarów spornych z Chinami, w drugiej – przyjęłyby na pokład eskadry amerykańskiej piechoty morskiej wyposażone w F-35B. Dzięki temu MSDF zdobyłaby niezbędne doświadczenie w eksploatacji i obsłudze samolotów pokładowych. W trzeciej fazie na pokłady okrętów trafiłyby japońskie eskadry.

Śledztwo prowadzone przez tę samą gazetę potwierdziło wcześniejsze spekulacje ekspertów. Okazało się, że hangar i podnośniki lotnicze okrętów typu Izumo projektowano z myślą o F-35B i mają odpowiednie rozmiary oraz nośność. Z kolei pokład lotniczy od początku miał być pokryty wykładziną odporną na działanie gazów wylotowych o wysokiej temperaturze. Jeden z wysokich rangą oficerów powiedział dziennikarzom, że na etapie projektowania w dowództwie MSDF wypracowano konsensus, zgodnie z którym jednostki miano przygotować do ewentualnej konwersji na lotniskowce. Uznano to za jedyne sensowne rozwiązanie, mające zapewnić jak najdłuższą eksploatację okrętów oraz przystosowanie ich do zmieniających się warunków i wymagań. Oficer zastrzega przy tym, że od początku podjęcie decyzji o przebudowie pozostawiano w gestii rządu.

Nie jest to zresztą pierwszy taki wypadek w dziejach Japonii. W okresie międzywojennym powstała cała seria szybkich zbiornikowców floty oraz transportowców wodnosamolotów, zaprojektowanych z myślą o szybkiej przebudowie na lotniskowce. Powstałe w ten sposób okręty stały się w pewnym momencie trzonem sił uderzeniowych cesarskiej floty. Na początku marca minister Onodera podał, że specjalna komisja analizuje możliwość zaokrętowania F-35B na niszczyciele śmigłowcowe typu Izumo. Szef resortu zastrzegł przy tym, że jest to jedynie „zbieranie podstawowych informacji”, a nie „przesłanka do wprowadzenia do służby F-35B”.

Kwestią modernizacji niszczycieli śmigłowcowych typu Izumo zainteresowali się eksperci z amerykańskiego ośrodka badawczego Stratfor i uznali, że w obecnej sytuacji geopolitycznej pozyskanie lotniskowców przez taką potęgę morską jak Japonia jest tylko kwestią czasu. Odnieśli się również do możliwości modernizacji niszczycieli śmigłowcowych typu Hyūga. Według ekspertów, „Izumo” po modernizacji będzie mógł zabrać na pokład do 20 F-35B i śmigłowców, a do tej pory w japońskich mediach padała liczba dziesięciu myśliwców, co wydaje się wielkością zaniżoną. Mający zbliżone rozmiary włoski „Cavour” ma zabierać do 15 maszyn Lightning II. A to i tak zdecydowanie mniej niż chińskie lotniskowce „Liaoning” i „Shandong”, nie wspominając już o rozpoczętym niedawno okręcie typu 002. Ośrodek szacuje li-

czebność grupy pokładowej tego ostatniego na 55 maszyn. Po stronie chińskiej należy też doliczyć śmigłowcowce desantowe typu 075, zbliżone rozmiarami do „Izumo”. Zmodernizowane japońskie okręty nie będą więc pod względem liczebności grupy lotniczej równorzędnym przeciwnikiem dla chińskich lotniskowców. Mimo to, zdaniem autorów analizy, ich przebudowa istotnie zwiększy potencjał MSDF. Takie działanie przyczyni się też do dalszego nakręcenia wyścigu zbrojeń w Azji Wschodniej. Już w grudniu 2017 roku zainteresowanie F-35B wyraziła Korea Południowa.

GOTOWI NA LOTNISKOWCE

Jest jednak taka dziedzina, w której Japończycy zachowują bezwzględną przewagę nad Chińczykami – wykształcenie. MSDF od lat intensywnie ćwiczą, duże zespoły okrętów uczestniczą w wielostronnych ćwiczeniach na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. Są to operacje na dużo większą skalę niż te podejmowane przez chińską marynarkę wojenną.

Ewentualnemu wprowadzeniu lotniskowców sprzyja także organizacja japońskich sił morskich. Flotyllę eskortową MSDF to de facto lotniskowcowe grupy uderzeniowe. Każda jest skupiona wokół niszczyciela śmigłowcowego, któremu towarzyszą dwa niszczyciele z systemem AEGIS i trzy–cztery mniejsze (fregaty). Tym samym Japończycy mają już wypracowane procedury operacyjne dla zespołów floty zorganizowanych wokół okrętów lotniczych, a Chińczycy dopiero zdobywają takie kompetencje. Ponadto MSDF może korzystać z bardzo bogatych doświadczeń US Navy w tej dziedzinie.

Asertywna polityka Chin oraz agresywna postawa Korei Północnej sprawiły, że realne stały się kwestie, które niedawno wydawały się niemożliwe. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia temat pozyskania przez Japonię lotniskowców był podejmowany jedynie w wąskim gronie analityków, urzędników ówczesnej agencji obrony oraz oficerów MSDF. Dzisiaj w japońskiej debacie publicznej na temat bezpieczeństwa pojawiają się nawet głosy przedstawiające ewentualność prewencyjnego uderzenia lotniskowców na północnokoreańskie instalacje jądrowe i rakietowe jako działanie defensywne. Rozbudowa potencjału militarnego przez Chiny wywołała w Azji wyścig zbrojeń. Państwa takie jak Filipiny czy Indonezja, które wcześniej nie wydawały zbyt wiele na obronność, zaczęły w ostatnich latach radykalnie zwiększać finansowanie swoich sił zbrojnych. Wzrost napięcia i niepewna sytuacja międzynarodowa stworzyły także idealną sytuację dla zwolenników remilitaryzacji Japonii. ■

PAWEŁ BEHRENDT jest redaktorem portalu Konflikty.pl.



INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH AIR FORCE INSTITUTE OF TECHNOLOGY

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96, POLAND
tel.: +48 261 851 300; fax: +48 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl



Prowadzimy działalność innowacyjną w zakresie:

- Badania naziemne i w locie
- Systemy diagnostyczne dla techniki lotniczej
- Wspomaganie sterowania eksploatacją
- Symulacja i modelowanie
- Awionika
- Uzbrojenie lotnicze
- Systemy rozpoznania, dowodzenia i szkolenia
- Integracja systemów C4ISR
- Bezzałogowe statki powietrzne
- Diagnostyka powierzchni roboczych lotnisk
- Badania paliw i cieczy roboczych
- Testy i certyfikacja wyrobów

Posiadamy:

- Koncesję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji Nr B-404/2003
- Natowski Kod Podmiotu Gospodarki Narodowej (NCAGE) 0481H
- Wewnętrzny System Kontroli Nr W-45/8/2015 w zakresie naukowo-badawczego wspomaganie eksploatacji lotniczej techniki wojskowej
- Akredytowane przez PCA laboratoria badawcze
- Certyfikat systemu zarządzania jakością, spełniający wymagania NATO AQAP-2110 i PN-ISO 9001
- Uprawnienia do nadawania tytułu naukowego doktora habilitowanego

**ULEPSZYMY KAŻDĄ
TECHNOLOGIĘ**



KRZYSZTOF WILEWSKI

Niewidzialne drony

Polscy naukowcy pracują nad unikatowymi w skali światowej podwodnymi bezzałogowcami w technologii stealth.

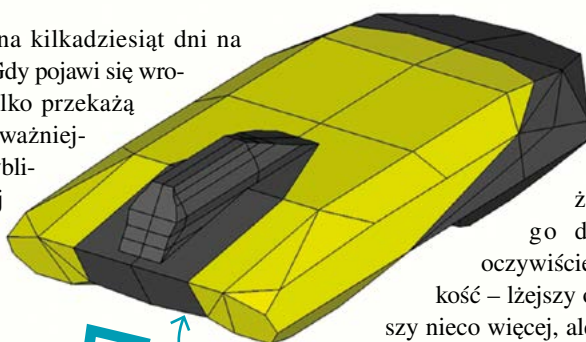
Można je ukryć na kilkadziesiąt dni na morskim dnie. Gdy pojawi się wrogi okręt, nie tylko przekażą dowództwu najważniejsze informacje, takie jak przybliżona wyporność wykrytej jednostki, lecz także będą mogły ją unieszkodliwić.

POMYŚL NA RODZINĘ

Grupa naukowców z Politechniki Gdańskiej pod kierunkiem dr. hab. inż. Mirosława Gerigka pracuje nad unikatowymi na skalę światową podwodnymi dronami w technologii stealth. „Są to maszyny o znacząco obniżonym poziomie wykrywalności”, opisuje obiekt swoich prac profesor, podkreślając, że inżynierowie musieli się zmierzyć z podobnymi wyzwaniem jak konstruktorzy samolotów stealth: „Musieliśmy zredukować do minimum wytwarzane przez pojazdy szumy hydrodynamiczne, hałas i drgania pokładowe, emitowane przez pojazd ciepło lub pole elektromagnetyczne”.

Inżynierowie z Politechniki Gdańskiej chcą opracować nie jeden typ niewidzialnych, podwodnych bezzałogowców, lecz całą rodzinę. Na razie obejmuje ona trzy typy podwodnych robotów AUV-S (Autonomous Underwater Vehicle S-Stealth). Podstawowa wersja przy długości ponad 2 m, metrze szerokości i około 40 cm wysokości będzie ważyła mniej więcej 350 kg. Dzięki elektrycznym silnikom osiągnie prędkość 2 m/s, co jest wystarczające w wypadku zwiadowczego robota. Dron w trybie czuwania może spędzić pod wodą około sześciu godzin, a w trybie misji – gdy będzie się poruszał i często zmieniał głębokość zanurzenia – około dwóch godzin. Czas pracy można oczywiście wydłużyć, zarówno przez zainstalowanie dodatkowych konforemnych zbiorników energii, jak i inteligentne zarządzanie jej zużyciem.

Większy model podwodnego drona (ponad 4 m długości, 2 m szerokości i wysokość około 70 cm) zostanie



PODWODNY
ROBOT
AUV-S

opracowany w dwóch wariantach – rozpoznawczym i bojowym. Zwiadowca będzie jednak znacznie lżejszy (około 900 kg) od ważącego ponad tonę uzbrojonego drona. Waga warunkuje oczywiście również maksymalną prędkość – lżejszy osiągnie ponad 2 m/s, a cięższy nieco więcej, ale z możliwością chwilowego znacznego przyspieszenia. Inżynierowie zapowiadają, że czas pracy pod wodą będzie się wahał od trzech do czterech godzin podczas aktywnej misji i od ośmiu do dwunastu w stanie czuwania.

Inżynierowie z Politechniki Gdańskiej pracują też nad uzbrojeniem do tych dronów, czyli nad minitorpedami superkawitacyjnymi o kryptonimie MTSK. Tego rodzaju pociski poruszają się w gazowym bąblu o zmiennym kształcie, dzięki czemu nie marnują energii na pokonywanie oporu wody. „Sprawia to, że płyną znacznie szybciej”, wyjaśnia prof. Gerigk. Torpedy, nad którymi naukowcy z Wybrzeża pracują razem z inżynierami z Wojskowej Akademii Technicznej, mają być pociskami klasy mini. Przy 170 cm długości i około 70 mm średnicy będą osiągały prędkość około 50 m/s. Ładunek w nich zawarty nie będzie za duży, ale wystarczający do tego, aby uszkodzić sonar okrętu albo jego śrubę napędową.

KOLEJNY KROK

Demonstrator technologii drona AUV-S w wersji podstawowej już istnieje. Politechnika Gdańska zbudowała go za pieniądze z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Aby kontynuować badania i zbudować prototyp oraz by rozszerzyć gamę AUV-S, uczelnia potrzebuje środków. Polskie wojsko jest bardzo zainteresowane podwodnymi dronami typu stealth. W starania o finansowanie prac badawczo-rozwojowych włączył się Inspektorat Implementacji Innowacyjnych Technologii (I3TO). Niewykluczone, że dzięki jego pomocy uda się pozyskać na ten projekt środki z NCBiR. ■

ARCHIWUM PG

**BRÓŃ
LASEROWA,**
nad którą pracują
rosyjskie laboratoria
wojskowe.

ROBERT SENDEK

Nowe prawa logiki

Władimir Putin twierdzi, że rosyjscy żołnierze mają już do dyspozycji pierwsze bojowe systemy laserowe.

Tegoroczne orędzie Władimira Putina ogłoszone 1 marca 2018 roku przed Zgromadzeniem Federalnym Federacji Rosyjskiej miało wyjątkowy charakter. Zwykle takie wystąpienie prezydenta było podsumowaniem mijającego roku oraz wizją rozwoju kraju w najbliższej perspektywie. Tym razem mocno jednak pobrzmiwały akcenty militarne.

Zainteresowanie światowej prasy wzbudziły deklaracje Putina dotyczące nowych typów broni opracowywanych w Rosji. Wspomnił on m.in. o systemach laserowych i choć nie wchodził w szczegóły, podkreślił, że pod tym względem Rosjanie są o krok przed innymi. Niestety niewiele wiadomo o nowych rosyjskich badaniach nad bronią laserową. Komentatorom pozostają przypuszczenia oraz szczegółowa analiza już dostępnych informacji.

PRZYPUSZCZENIA ZAMIAST DANYCH

W wypowiedzi Putina na temat broni laserowej pojawiło się tajemniczo brzmiące sformułowanie. Materiał zamieszczony na polskojęzycznych stronach rosyjskiego Sputnika, którego wielu krytyków uważa raczej za agencję propagandową niż informacyjną, zawiera stwierdzenie, że chodzi o „broni opartą na nowych zasadach fizyki”. Wprawdzie jest to dosłowny przekład słów wypowiedzianych przez Putina, niemniej jednak to sformułowanie brzmi nieco

osobliwie. W sieci występuje ono przede wszystkim w kontekście żartobliwym lub w tekstach, które w jakiś sposób powiązane są z materiałami rosyjskojęzycznymi. Takiego bowiem terminu używają oficjalnie rosyjskie instytucje wojskowe i rządowe. Stosuje się go wobec nowych systemów broni, nad którymi pracują rosyjskie laboratoria wojskowe, m.in. w odniesieniu do broni laserowej, impulsowej EMP, elektromagnetycznej i innych.

Ilustracją do słów prezydenta był zaprezentowany w czasie orędzia film, przedstawiający bojowy system laserowy. Choć była to zaledwie około dwudziestosekundowa migawka, to nawet tak skromny materiał pozwolił analitykom wysnuć pewne wstępne wnioski dotyczące ogólnej charakterystyki tej broni. Na filmie można zobaczyć kontenerowy zestaw ułożony na kołowym podwoziu holowanym przez samochód ciężarowy. Element, który najprawdopodobniej jest emiterym, umieszczony został w obrotowej wieżyczce, mającej zdolność obracania się o 360 stopni i regulowania kąta nachylenia w dużym zakresie. Można zatem sądzić, że ten system przewidziano do użycia przeciwko celom naziemnym i powietrznym.

Putin wspomnił w orędziu o tym, że bojowe systemy laserowe są wprowadzane do wyposażenia wojsk rosyjskich już od 2017 roku. Ta informacja stoi jednak w sprzeczności z wypowiedzią innego polityka, który z racji



„To nie egzotyka ani egzemplarze testowe czy próbne – już teraz przyjmujemy do wyposażenia pierwsze egzemplarze broni laserowej”, powiedział w orędziu prezydent Rosji Władimir Putin.

sprawowanej funkcji powinien się dobrze w tym temacie orientować. Otóż na początku sierpnia 2016 roku rosyjskie media cytowały wiceministra obrony Jurija Borisowa, który na spotkaniu z okazji 70. rocznicy utworzenia rosyjskiego Instytutu Badawczego Fizyki Eksperymentalnej stwierdził, że pierwsze systemy broni laserowej właśnie trafiły do rosyjskiej armii. Borisow użył wówczas słów, które pojawiły się potem w orędziu Putina: „To nie egzotyka ani egzemplarze testowe czy próbne – już teraz przyjmujemy do wyposażenia pierwsze egzemplarze broni laserowej”.

Istnieje zatem rozbieżność między wskazanymi przez Putina i Borisowa terminami wprowadzenia broni laserowej do uzbrojenia Federacji Rosyjskiej – jeden z polityków mówił o roku 2016, drugi zaś o 2017. Da się to jednak wyjaśnić: niewykluczone, że orędzie było gotowe przed zwykłym, czyli grudniowym terminem jego wygłoszenia. Później zostało – m.in. w związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi – przesunięte na początek kolejnego roku. W oryginalnym tekście wystąpienia prezydenta zmiany nie wprowadzono, zostawiając sformułowanie o „ubiegłym roku”. To jednak tylko przypuszczenie.

W POWIETRZU...

Niewiele wiadomo na temat cech bojowych laserowej broni, która trafiła do uzbrojenia wojsk Federacji Rosyjskiej. Analitycy zwrócili uwagę na sformułowanie użyte przez Borisowa, które jednak pozwala wysnuć pewne przypuszczenia. Wiceminister powiedział mianowicie, że odpowiednie technologie istniały już wcześniej, ale dopiero w 2016 roku zaczęto je stosować do produkcji broni. Można się zatem domyślać, że nie chodzi o systemy opracowane od podstaw, lecz projekty z czasów ZSRR, później zarzucone, m.in. z powodu problemów finansowych. Przy okazji międzynarodowego forum wojskowo-technicznego „Armia 2016” Borisow powiedział także, że przyjęta do wyposażenia broń laserowa obejmuje systemy powietrzne i naziemne.

Skoro mówi się o systemie powietrznym, może zatem chodzić o udoskonaloną wersję projektu oznaczonego kryptonimem A-60, nad którym prace prowadzono w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Zbudowano wówczas powietrzne laboratorium, umieszczone na pokładzie specjalnie dostosowanego do tego celu samolotu transportowego Il-76MD. Pierwszy lot tak skonstruowanego systemu odbył się w sierpniu 1981 roku. Trwające niemal całe lata osiemdziesiąte badania nie były jednak szczególnie zadowalające, ponieważ ostatecznie udało się jedynie uzyskać możliwość oślepienia układów elektrooptycznych obiektów znajdujących się w powietrzu. Zało-

żenia natomiast obejmowały także niszczenie takich obiektów.

Co więcej, w 1989 roku pierwsze latające laboratorium z laserem na pokładzie miało zostać zniszczone w wyniku wypadku, do którego doszło podczas prób. W 1991 roku przysposobiono drugi samolot, ale w 1993 roku i tak cały projekt zamrożono na dekadę. W nowej odsłonie otrzymał nazwę „Sokół Eszelon”. W 2006 roku została podpisana umowa między firmą Berijew w Taganrogu a koncernem wojskowym Almaz-Antej na modernizację istniejącego projektu A-60. Badania rozpoczęto już rok później, lecz nabrały one tempa w związku z zaostrzeniem się sytuacji międzynarodowej po przyłączeniu przez Rosję Krymu.

Od 2015 roku badania prowadzono tak intensywnie, że w prasie zaczęły się pojawiać nowe doniesienia na ten temat. Szczególnie często wątek broni laserowej rosyjskie media podejmowały w drugiej połowie 2016 roku, w związku z wypowiedziami szefa tamtejszego ministerstwa obrony o wprowadzeniu tego typu broni do wyposażenia wojsk rosyjskich. Wspominano wówczas, że nowa technologia laserowa będzie w stanie nie tylko oślepić, lecz także niszczyć obiekty przeciwnika, np. satelity.

... I NA ZIEMI

Nie ma dokładnych informacji na temat badań nad naziemnym systemem laserowym, dlatego analitycy postawili własne hipotezy. Wskazywano kilka projektów, nad którymi podejmowano prace jeszcze w czasie istnienia ZSRR – 1K11 Stiliet czy 1K17 Szatie. To były jednak systemy mniejsze, zamontowane na podwoziu gąsienicowym, tymczasem w prezentacji filmowej z orędzia prezydenta pokazano duży system kontenerowy na podwoziu kołowym. Ze względu zapewne na podobieństwa zewnętrzne niektórzy zwrócili zatem uwagę na to, że istniał podobny projekt, oznaczony MLTK (mobilny technologiczny kompleks laserowy). Badania nad nim prowadził na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia Troicki Instytut Badań Innowacyjnych i Termojądrowych.

Zbudowano wówczas laser bojowy o mocy 1 MW, przeznaczony do niszczenia satelitów oraz rakiet balistycznych. Przeprowadzone próby podobno były obiecujące, ale ze względu na kłopoty finansowe projekt wojskowy przerwano. Kontynuowano natomiast prace nad projektem cywilnym, który oznaczono MLTK-50. Miał on być wykorzystywany m.in. do cięcia konstrukcji metalowych i żelbetowych, choć jedynie na niewielkim dystansie. Czy ma on cokolwiek wspólnego z bronią, o której wspominał prezydent Putin w orędziu – tego, niestety, nie wiadomo. ■



NIEMCY

Cztery stocznie

Pięć kolejnych korwet typu **K130** będzie budowanych przez cztery niemieckie stocznie. Informację taką podała 6 kwietnia Grupa Robocza 130, którą tworzą firmy stoczniove Lürssen, ThyssenKrupp Ma-

rine Systems i German Naval Yards. Sekcje dziobowe dwóch jednostek powstaną w należącej do Lürssen stoczni w Bremie, a trzech – w stoczni Kiel-Gaarden, należącej do German Naval Yards. Wszystkie

części rufowe zbuduje stocznia Peene w Wolgastie, która jest własnością Lürssena. Z kolei montaż okrętów i ich wyposażanie będą się odbywały w innej jego stoczni, Blohm + Voss w Hamburgu. WT



WIELKA BRYTANIA

Znowu boxer

Ministerstwo obrony ogłosiło 31 marca, że ostatecznie wybrało dla armii brytyjskiej kołowy wóz bojowy Boxer, którego producentem jest ARTEC GmbH, konsorcjum utworzone w 1999 roku przez firmy Krauss-Maffei Wegmann GmbH & Co. KG, Rheinmetall MAN Military Vehicles GmbH i Rheinmetall MAN Military Vehicles Nederland BV. Brytyjski resort obrony podał, że pojazdy Boxer wejdą do służby w armii w **2023 roku** ale nie określili, ile sztuk zostanie kupionych. To drugi sukces tej konstrukcji w ciągu kilku tygodni. W połowie marca wybrała ją bowiem dla swych wojsk lądowych Australia, która zamierza zamówić 211 wozów za 5,2 mld dolarów australijskich.

INDIE

NOWE PODEJŚCIE

Uruchomiona została procedura wyboru dostawcy 110 nowych myśliwców, które będą kosztować 19,5 mld dolarów.

Siły powietrzne Indii 6 kwietnia zwróciły się o dostarczenie informacji do głównych firm lotniczych mających w swej ofercie maszyny bojowe. Hindusi chcą kupić 82 samoloty w wersji jednomiejscowej i 28 w dwu-



Dowódca sił powietrznych Indii

MARSZAŁEK LOTNICTWA NIRDOSH TYAGI

Najnowsze zapytanie ma na celu uniknięcie błędów poprzednich zamówień, w szczególności przetargu na MMRCA.

miejscowej. To nie jest pierwsze takie posunięcie. W rozpoczętym w 2007 roku przetargu wybrano myśliwiec Rafale, ale negocjowanie z firmą Dassault Aviation szczegółów kontraktu, w tym dotyczących produkcji licencyjnej, zakończyło się niepowodzeniem. W tej sytuacji przetarg anulowano, ale kupiono potem 36 maszyn Rafale wyprodukowanych we Francji. W odróżnieniu od poprzednich zapytań nie zdefiniowano, czy samolot ma być jednomiejscowy, czy dwumiejscowy, co rozszerzyło Hindusom możliwości wyboru. W grę wchodziły F-16 Block 70, Gripen E, Typhoon, MiG-35, F/A-18E/F Super Hornet. TW

Hindusi kupili 36 maszyn Rafale wyprodukowanych we Francji.



DAMIAN FIGAJ

WOJSKOWY INSTYTUT TECHNICZNY UZBROJENIA



www.witu.mil.pl

witu@witu.mil.pl

KRZYSZTOF WILEWSKI

Pokoleniowa wymiana

Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych przygotowują się do wymiany obecnie używanych śmigłowców. Oznacza to, że za kilka lat wycofane zostaną między innymi legendarne black hawki i apache.

Amerykańska armia to śmigłowcowa potęga. Nasi sojusznicy zza oceanu nie tylko mają tych maszyn najwięcej w służbie, bo około 5 tys., lecz także dysponują aż około 30 ich odmianami i wersjami. Teraz planują wiroplatową rewolucję i zastąpienie obecnie używanych śmigłowców pięcioma typami uniwersalnych konstrukcji o roboczej nazwie Joint Multi-Role (JMR): Light (lekkie), Medium-Light (średnio lekkie); Medium Utility (średnie); Heavy (ciężkie transportowe) oraz Ultra (supercieżkie transportowe). Pokoleniowa wymiana ma się rozpocząć już w 2025 roku od dwóch ikon amerykańskiej armii – black hawków oraz apache'ów.

Boeing CH-47 Chinook – rok 1962. Bell 206 – 1967. Bell OH-58 Kiowa – 1969. Hughes MD 500 Defender – 1976. Sikorsky UH-60 Black Hawk – 1979, a Boeing AH-64 Apache – 1984 rok. Liczb nie da się oszukać.

Podstawowe i najliczniej używane śmigłowce amerykańskiej armii (około 90% wszystkich maszyn, którymi dysponują siły zbrojne USA) to konstrukcje mocno wiekowe. Jeśli dodamy do powyższej listy weterana wojny w Wietnamie, Bella UH-1 Iroquois (1959 rok), którego kilkadziesiąt sztuk jest używanych jako maszyny szkoleniowe, zestawienie to będzie się prezentowało jeszcze bardziej dramatycznie. Co prawda, współczesne black hawki czy apache mają niewiele wspólnego z maszynami z początku produkcji, gdyż przez ostatnie cztery dekady przeszły głęboką modernizację, jednak myśl konstrukcyjna, założenia i idee, które przyświecały twórcom, pozostały niezmienione, czyli nie pasują do nowej koncepcji.

O tym, jak ważne są śmigłowce dla amerykańskich sił zbrojnych, chyba nikogo nie trzeba przekonywać. Nie brakuje opinii, że wiroplaty są obok czołgów podstawowym narzędziem walki sił lądowych, a dla Korpusu Pie-

PK/DZIAŁ GRAFICZNY

choty Morskiej najważniejszym i najszybciej gotowym do użycia, oprócz lotnictwa samolotowego, środkiem bezpośredniego wsparcia ogniowego. Śmigłowce to jednak również jedna z największych słabości tamtejszej armii. Dlaczego? Dlatego że generują ogromne koszty logistyczne. Liczba i różnorodność odmian oraz typów, jakimi dysponują Amerykanie, to efekt bardzo głębokiej i niekiedy nieuzasadnionej niezależności poszczególnych rodzajów wojsk. Własne wersje tych samych maszyn mają więc nie tylko wojska lądowe (US Army), lecz także Siły Powietrzne (US Air Force), Marynarka Wojenna (US Navy) i Korpus Marines (US Marine Corps) oraz siły specjalne.

JEDEN DLA WSZYSTKICH

Dzisiaj nawet Amerykanie, których budżet obronny to około 600 mld dolarów, muszą ograniczać wydatki zbrojeniowe. Dlatego też kilka lat temu Pentagon ogłosił program redukcji kosztów utrzymania śmigłowców. Ma on być realizowany w ramach pokoleniowej wymiany obecnie używanych maszyn na nowe typy, a sprowadza się do prostej w swoim założeniu koncepcji, polegającej na tym – w ogromnym uproszczeniu – że nowe typy wiroplątów będą maszynami uniwersalnymi dla wszystkich rodzajów wojsk. Program, który otrzymał nazwę „Joint Multi-Role”

(JMR), przewiduje, że amerykańskiej armii wystarczy pięć typów śmigłowców: najlżejsze, nazwane JMR Light (w zamian za obecnie używane niewielkie śmigłowce rozpoznawcze, m.in. maszyny OH-58 Kiowa), średnio lekkie – JMR Medium-Light (zastąpią maszyny takie jak Bell 206 czy Hughes MD 500 Defender), średnie – JMR Medium Utility, ciężkie – JMR Heavy (za śmigłowce transportowe CH-47 Chinook) oraz superciężkie – JMR Ultra (zamiast transportowych C-130J lub Airbus A400M). Jako pierwsza ma wejść do służby maszyna JMR Medium Utility, która ma zastąpić prawdziwe ikony amerykańskiej armii – śmigłowce UH-60 Black Hawk oraz AH-64 Apache. Szefostwo US Army oczekuje, że wprowadzanie JMR Medium Utility, który ma latać szybciej niż 500 km/h i zabierać na pokład 12 w pełni wyekwipowanych żołnierzy, rozpocznie się już za siedem lat, czyli w 2025 roku.

A ponieważ mówimy o kontrakcie wartym setki miliardów dolarów – bo JMR Medium Utility mają zostać zakupione w liczbie około 4 tys. (!) – nad swoimi pro-

pozycjami pracują wszystkie liczące się koncerny lotnicze zza oceanu. Boeing i Sikorsky Aircraft (obecnie część Lockheeda Martina) – nad modelem SB-1 Defiant, a Bell – nad V-280 Valor. I nie należy zakładać, że będą to podobne do siebie konstrukcje. Inżynierowie z obu zespołów postawili bowiem na zupełnie inne rozwiązania prowadzące do uzyskania wymaganych przez amerykańską armię osiągnięć. Specjaliści z Boeinga i Sikorsky’ego Aircraft wybrali klasyczny wiropląt, który po to, aby latał szybciej i wyżej, wyposażono w dwa wirniki oraz śmigło pchające zamiast tradycyjnej belki ogonowej. Konstruktorzy z Bella postawili zaś na zmiennowirnikowiec, czyli konstrukcję, w której wirniki mogą się obracać w pionie, przekształcając w czasie lotu śmigłowiec w samolot.

Choć do rozstrzygnięcia przetargu na JMR Medium

Utility jeszcze bardzo daleka droga – na razie bowiem amerykańskie wojsko finansuje budowę prototypów – bliżej jego zdobycia jest Bell. Jego maszyna już po prostu istnieje, nie tylko na papierze. Pionierskiego oblotu dokonano w grudniu 2017 roku. Jak podkreślają konstruktorzy V-280, w valorze, w odróżnieniu od już będącego w wyposażeniu amerykańskiej armii zmiennopłata V-22 Osprey, poruszają się tylko śmigła, a nie cała gondola silnika. V-280 ma być nie tylko prawie dwa razy szybszy od obecnie używanych przez

amerykańskie siły zbrojne śmigłowców, lecz także – co nawet ważniejsze z punktu widzenia operacyjnego – będzie miał dwa razy większy zasięg.

ŚMIGŁOWCOWY RYNEK WTÓRNY

A co z SB-1 Defiant? Konstrukcja ta nadal istnieje tylko na deskach kreślarskich, ale przedstawiciele Boeinga i Sikorsky’ego Aircraft zapewniają – i zdecydowanie można im wierzyć ze względu na tysiące wyprodukowanych już maszyn – że jej prototyp (a właściwie demonstrator technologii) zostanie oblatany na przełomie 2018 i 2019 roku.

Wymiana obecnie używanych przez amerykańskie siły zbrojne śmigłowców na nowe typy ma znaczenie nie tylko dla tamtejszych żołnierzy, lecz także dla armii na całym świecie. Po pierwsze, na rynku pojawi się ogromna liczba maszyn z drugiej ręki. Po drugie, zadziała efekt domina i na zakup nowych śmigłowców na pewno zdecyduje się niejedno państwo, a w pierwszej kolejności uczynią to kraje z rejonu Zatoki Perskiej. ■

80 lat

HUTA STALOWA WOLA S.A.



Zwiedzanie jednej z hal Zakładów Południowych
Na pierwszym planie prezydent RP Ignacy Mościcki



Huta Stalowa Wola S.A. kontynuuje dzieło Centralnego Okręgu Przemysłowego

W czasie wycieczki inwestycyjnej patrzyliśmy, jak się mnoży nowy gatunek ludzi – ludzie ze Stalowej Woli. Oni tworzą nową, potężną Polskę. COP będą budować pokolenia, my budujemy tylko zaczątki”, tak o największej inwestycji w całym projekcie tworzenia polskiego potencjału przemysłowego w Centralnym Okręgu Przemysłowym, czyli budowie Zakładów Południowych i powstaniu miasta Stalowa Wola, mówił wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski w Sejmie RP 2 grudnia 1938 roku.

Wśród tych nowo powstałych 51 zakładów państwowych i prywatnych opartych na nowoczesnej technologii, dających zatrudnienie około 110 tys. ludzi, to właśnie Zakłady Południowe zajmowały szczególne miejsce. Ich powstanie miało wydatnie zwiększyć zdolności obronne II Rzeczypospolitej. W 1936 roku opracowano bowiem sześcioletni plan modernizacji i rozbudowy polskiego wojska, który zakładał uzbrojenie go i wyszkolenie do poziomu przodujących armii europejskich. COP wraz ze swoimi kilkudziesięcioma firmami miał zasadnicze znaczenie w realizacji większości planów modernizacji polskiej armii. Zakładano, że te firmy byłyby w stanie uzbroić w nowy sprzęt dwie dywizje piechoty w ciągu miesiąca.

Budowa Zakładów Południowych przyciągnęła rzesze ludzi, którzy kierowani patriotyzmem, motywowani możliwościami rozwoju zawodowego, perspektywą awansu i chęcią zrobienia czegoś dla Polski zjeżdżali tu ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Wśród nich był Bronisław Chudzyński – jeden z trzech najważniejszych

budowniczych dzisiejszej Huty Stalowa Wola, obok najbardziej znanych postaci, takich jak Eugeniusz Kwiatkowski i Marceli Siedlanowski. Z wykształcenia był inżynierem-technologiem, później zdobył bogate doświadczenie zawodowe. Powstające pod jego kierownictwem Zakłady Południowe były jego 13. budową przemysłową, ale pierwszą tworzoną od podstaw nowoczesną fabryką broni artyleryjskiej. Chudzyński był oddany zakładom nie tylko swoim zaangażowaniem i doświadczeniem zawodowym, lecz także postawą moralną i obywatelską: uczciwy, pracowity, dbający o precyzję i staranność wykonania powierzonych zadań. O jego niebywałym talencie świadczy fakt, że budowa dzisiejszej huty, od ścięcia pierwszego drzewa do otwarcia, trwała 625 dni roboczych, tj. 26 miesięcy i 26 dni.

Na początku w Zakładach Południowych były montowane działa z elementów pochodzących m.in. z Zakładów Hipolita Cegielskiego w Rzeszowie, ale z czasem zwiększała się własna produkcja. Równolegle powstawało tam wiele podzespołów i części dla innych odbiorców, m.in. lufy licencyjnych armat przeciwpancernych kalibru 37 mm i przeciwlotniczych 40-milimetrowych. Na początku 1939 roku zdołano uruchomić produkcję seryjną dział kalibru 100 mm – powstawało 16 sztuk miesięcznie. Odbywał się tu również montaż końcowy dział 75- i 105-milimetrowych.

Huta Stalowa Wola S.A. kontynuuje dzieło COP oraz rozwija zaplecze i bazę dla polskiej obronności. Można powiedzieć, że w 80. rocznicę istnienia HSW S.A. historia zatoczyła koło. ■

TADEUSZ WRÓBEL

BUKARESZT SIĘ ZBROI

Rumunia będzie miała jedne z najsilniejszych sił zbrojnych na Bałkanach.

W pierwszych miesiącach 2018 roku Rumunia podjęła wiele ważnych decyzji dotyczących modernizacji technicznej sił zbrojnych. W lutym zatwierdzono na przykład zapowiadany program zakupu czterech nowoczesnych korwet, które mają być dostarczone do 2024 roku. Ich koszt oszacowano na 1,6 mld euro. Warunki, jakie postawiono dostawcy, na uprzywilejowanej pozycji stawiają Damen Shipyards, wykonawca musi bowiem pochodzić z kraju należącego do Unii Europejskiej lub NATO oraz dysponować stoczną na terytorium Rumunii. Holenderska firma zaś od 1999 roku ma zakład w Gałacz. Inny warunek to przekazanie w ramach offsetu technologii potrzebnych do modernizacji dwóch fregat rumuńskiej marynarki wojennej typu 22R.

Minister obrony Mihai-Viorel Fifor ujawnił też plany zakupu trzech okrętów podwodnych. Rumunia ma tylko jedną jednostkę typu Kilo i na dodatek „Delfinul” wykorzystywany jest jedynie do szkolenia. Dowódca marynarki wojennej wiceadm. Alexandru Mirsu stwierdził, że nowe okręty są konieczne do wzmocnienia zdolności operacyjnych na Morzu Czarnym. Przewiduje się też zakup nadbrzeżnego systemu rakiet przeciwokrętowych.

Beneficjentami wielkiego programu modernizacji będą też pozostałe rodzaje sił zbrojnych. W lutym rząd w Bukareszcie zaaprobował zakup w Stanach Zjednoczonych trzech dywizjonów rakietowych systemu HIMARS, po 18 wyrzutni każdy, i 81 pocisków GMLRS. Koszty tego programu są wyceniane na około 1,5 mld dolarów. Wcześniej z kolei podpisano kontrakt z General Dynamics European Land Systems o wartości 895 mln euro na dostawę 227 kołowych pojazdów pancernych Piranha 5 w sześciu wersjach. Pierwszych 30 wozów dostarczy zakład Mowaga ze Szwajcarii, a pozostałe powstaną w wojskowych zakładach Uzina Mecanica w Bukareszcie. Równocześnie wspólnie z niemieckim Rheinmetallem Rumuni pracują nad pływającym pojazdem pancernym Agilis 8x8. Potrze-

by rumuńskiej armii oszacowano na około 400 wozów, pierwsze dostawy rozpoczną się w 2020 roku. A już w tym roku do wojska trafią 173 ciężarówki włoskiej firmy Iveco.

Rumunia zmodernizuje też siły powietrzne. Potrzebuje 48 myśliwców F-16 i już kupiła 12 egzemplarzy od Portugalii. Znaczącym wzmocnieniem obrony powietrznej będzie system Patriot. Rumuni zwrócili się do USA o zgodę na sprzedaż siedmiu jednostek ogniowych w konfiguracji PAC-3 za 3,9 mld dolarów. Mają one trafić do wojska do 2026 roku.



**227
KOŁOWYCH
POJAZDÓW
PANCERNYCH
PIRANHA 5**

Miedzy firmami lotniczymi trwa z kolei ostra rywalizacja o kontrakt śmigłowcowy. W czasie zimnej wojny Rumunia jako jedyny kraj Układu Warszawskiego produkowała na licencji francuskiej maszyny Alouette IIIB i Puma. Kilka lat temu Airbus Helicopters, będący spadkobiercą ówczesnej Aérospatiale, przeniósł do zakładu IAR w Ghimbav koło Braszowa linię produkcyjną wielozadaniowego śmigłowca H215 (wcześniej znany jako AS 332 Super Puma).

W październiku 2017 roku pojawiły się informacje, że zostaną kupione cywilne i wojskowe wersje „dwieście piętnastki” dla resortów obrony i spraw wewnętrznych. W ostatnim czasie do gry o kontrakt wszedł Lockheed Martin, proponując Rumunom konkurencyjną wobec H215 maszynę Sikorsky S-70. Do jej wyboru ma zachęcić umowa na utworzenie regionalnego centrum serwisowego i wyposażania tych śmigłowców w zakładzie Romaero w Bukareszcie. 4 sierpnia 2017 roku rząd rumuński podpisał list intencyjny z Bell Helicopter dotyczący produkcji w IAR 45 szturmowych maszyn AH-1Z.

W czasie wizyty 20 marca 2018 roku w Ghimbav przewodniczący Senatu Călin Popescu-Tăriceanu zasugerował, że zamówienie na śmigłowce dostanie tylko jeden dostawca. Niculae Banea, dyrektor generalny IAR Ghimbav, stwierdził, że Airbus i Bell Helicopter oferują maszyny o różnym przeznaczeniu, więc nie ma tu konfliktu. ■



RAFAŁ
CIASTOŃ

Król szybowców



Antoni Kocjan urodził się 12 sierpnia 1902 roku we wsi Skalskie pod Olkuszem. Pod koniec I wojny światowej wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, 20 sierpnia 1920 roku zaś zaciągnął się do 11 Pułku Piechoty. Służbę wojskową zakończył 2 maja następnego roku i wrócił do gimnazjum. W 1923 roku zdał maturę, a jesienią rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Nie zaliczył pierwszego roku i przeniósł się na Wydział Leśny SGGW, gdzie studiował do 1927 roku.

Dwa lata wcześniej przyszły konstruktor poznał studentów Sekcji Lotniczej Wydziału Mechanicznego PW, wśród nich Stanisława Wigurę i Stanisława Rogalskiego, z którymi się zaprzyjaźnił i przez wiele lat pracował. Już w 1926 roku Antoni Kocjan koordynował budowę dwumiejscowego samolotu JD-2 konstrukcji Jerzego Drzewieckiego.

W 1929 roku Kocjan został pełnoetatowym pracownikiem warsztatów Sekcji. Jego główną pasją stały się jednak szybowce. W 1931 roku zostały oblatane jego pierwsze konstrukcje, Czajka I i Czajka II, zamówione przez Aeroklub Lwowski. W następnym roku szybko rozwijające się Warsztaty Szybowcowe zostały przeniesione z Okęcia na Pragę, by w 1933 roku trafić w okolice Pola Mokotowskiego, gdzie pozostały już do wojny. Tu powstawały kolejne konstrukcje: Wrona, Komar, Sroka, Sokół, Orlik, Mewa, motoszybowiec Bąk. Jak podaje w swoim opracowaniu Andrzej Glass, na 1400 szybowców zbudowanych w Polsce w latach trzydziestych ubiegłego wieku, aż 700 było konstrukcji Antoniego Kocjana (!). Ustanowiono na nich 40 rekordów krajowych i jeden międzynarodowy, a na motoszybowcu Bąk – dwa międzynarodowe.

Po wybuchu wojny konstruktor brał udział w ewakuacji Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych i Warsztatów Szybowcowych do Lublina, a po upadku stolicy zdecydował, żeby tam wrócić. Nawiazał współpracę z konspiracyjną organizacją Muszkieterowie, jednak epizod ten został przerwany aresztowaniem we wrześniu 1940 roku. Kocjan trafił do KL Auschwitz, gdzie otrzymał numer obozowy 4267. Dzięki staraniom przyjaciół, wykorzystujących fakt poszukiwania przez Niemców wykwalifikowanych pracowników, w lipcu 1941 roku został zwolniony i wrócił do Warszawy. Szybko ponownie zaangażował się w działalność konspiracyjną w ZWZ, a następnie w AK – początkowo naprawiał, później również organizował produkcję elementów broni palnej i granatów. Wkrótce został także szefem Referatu Lotniczego i Pancernego w Wydziale Wywiadu Przemysłowego AK. To głównie dzięki jego żmudnej pracy wiosną 1943 roku do Wielkiej Brytanii docierały informacje o ośrodku w Peenemünde, gdzie Niemcy opracowywali pociski V-1 i V-2. Zbombardowanie tego miejsca w sierpniu 1943 o kilka miesięcy opóźniło prace i uniemożliwiło wykorzystanie nowej broni przed inwazją w Normandii.

1 czerwca 1944 roku Antoni Kocjan został wraz z żoną aresztowany, co było związane z odkryciem przez Niemców działającej na terenie dawnych Warsztatów Szybowcowych konspiracyjnej drukarni. Niezwiązany z nią Kocjan prawdopodobnie zostałby zwolniony, gdyby nie wskazanie go przez aresztowaną łączniczkę jako członka konspiracji odpowiedzialnego za produkcję uzbrojenia. 13 sierpnia 1944 roku Antonii Kocjan został rozstrzelany na Pawiaku, miejsce jego pochówku pozostaje nieznane.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD





ÖNCE VATAN

POLITYKE
I DZIAŁANIA TURCJI
W OSTATNICH KILKU
LATACH ODZWIERCIE-
DLA HASŁO „OJCZYŻNA
PRZED
WSZYSTKIM”.

TOMASZ OTŁOWSKI

FANTAZJE ZACHŁANNEGO GRACZA

**Czy Turcy zdecydują się
na zejście z drogi prowadzącej
do przekształcania ich kraju
w pariasa regionu?**

TÜRK SİLAHLI KUVVETLERİ



K

iedy wiosną 2003 roku Recep Tayyip Erdoğan wkroczył na turecką scenę polityczną wraz ze swą Partią Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), która dopiero co odniosła miażdżące zwycięstwo w wyborach parlamentarnych i właśnie szykowała się do przejęcia władzy w kraju, nikt nie

spodziewał się, że już 15 lat później Ankara stanie się jednym z najważniejszych rozgrywających w całym regionie bliskowschodnim. Zaledwie półtorej dekady rządów islamskiej, konserwatywnej i nacjonalistycznej AKP pod kierownictwem charyzmatycznego lidera wystarczyło, aby zmienić nie tylko sam kraj, lecz także jego pozycję w regionie i świecie.

Z peryferyjnego sojusznika Zachodu, targanego wewnętrznymi problemami ekonomicznymi i społeczno-politycznymi oraz wciąż przepaszającego za stulecia opresji osmańskiej, Turcja przekształciła się w dumne i pewne siebie państwo – asertywnego gracza, świadomego swych możliwości, o dużych ambicjach i jeszcze większych aspiracjach geopolitycznych. Zyskała w tym czasie wiele nowych możliwości regionalnego oddziaływania lub na nowo tworzącego wykorzystania te już istniejące, zarówno w ramach typowej „soft power”, jak i twardych zdolności militarnych.

Aktywność regionalna Ankary znacznie nasiliła się po nieudanej próbie przewrotu wojskowego latem 2016 roku. Wykorzystując zakończony fiaskiem pucz jako dogodny pretekst, prezydent dokonał w aparacie bezpieczeństwa, armii i w strukturach administracji państwowej bezprecedensowych czystek – usunął wszystkich, którzy byli choćby podejrzewani o sprzeciw wobec idei stopniowej reislamizacji Turcji.

Zerwał w ten sposób z dziedzictwem Mustafy Kemala Atatürka i zrezygnował z utrzymywania laickości państwa. Równocześnie pchnął swój kraj do walki o umocnienie pozycji w regionie i realizację dalekosiężnych ambicji strategicznych. Aktywność Turcji w swoim otoczeniu cechuje się od niemal dwóch lat szybko rosnącą asertywnością, a często również wręcz agresywnością. Taka postawa sprawia, że kraj ten coraz częściej postrzegany jest jako istotny czynnik destabilizacji regionalnego układu sił, wzmagający niepewność i nieprzewidywalność, jeśli chodzi o rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie.

WET ZA WET

Co gorsza, takie zachowanie coraz wyraźniej odsuwa Turcję od sojuszników z NATO – Ankara coraz trudniej porozumieć się już nie tylko ze Stanami Zjednoczonymi, lecz także z większością europejskich partnerów. Nieufność Europy wobec tego kraju narasta, chociażby ze względu na dwuznaczną postawę wobec problemu bliskowschodnich migrantów, usiłujących przedostać się z Turcji do krajów Europy Zachodniej tzw. szlakiem bałkańskim.

Dzisiejsze relacje z europejskimi sojusznikami z NATO są bez wątpienia najgorsze od chwili przystąpienia Turcji do sojuszu północnoatlantyckiego w 1952 roku. Szczególnie złe są jednak stosunki turecko-amerykańskie oraz turecko-greckie. Turcja – ze względu na swą wojskową aktywność w sąsiedniej Syrii – znalazła się już wprost na kursie kolizyjnym z USA, czyli swym największym do niedawna sojusznikiem i patronem strategicznym. Podobnie jak przed dekadą celowo zostały zerwane bliskie relacje z Izraelem, tak i w tym wypadku decyzja ta wynika z chłodnej kalkulacji politycznej obecnej władzy w Turcji.

W kwestii Grecji sprawy są znacznie bardziej skomplikowane, odnoszą się bowiem do historycznych zaszłości. Ankara i Ateny – choć od



Erdoğan nie próbuje ukrywać, że celem Turcji jest osłabienie statusu regionalnego mocarstwa o geopolitycznych wpływach porównywalnych z tymi z czasów imperium osmańskiego.



TÜRK SİLAHLI KUVVETLERİ

PREZYDENT DOKONAŁ CZYSTEK W APARACIE BEZPIECZEŃSTWA I ARMII – USUNĄŁ WSZYSTKICH, KTÓRZY BYLI PODEJRZEWANI O SPRZECIW WOBEC IDEI STOPNIOWEJ REISLAMIZACJI TURCJI. ICH MIEJSCE ZAJĘLI MŁODZI ADEPCI SZKÓŁ WOJSKOWYCH

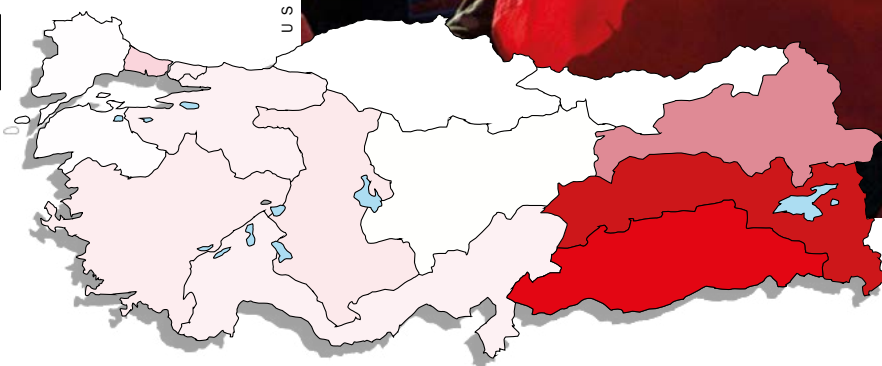
ponad sześciu dekad związane więzami traktatu waszyngtońskiego – nigdy nie były prawdziwymi sojusznikami i nie obyło się bez zatargów i incydentów granicznych. Jednak w ostatnich miesiącach stosunki grecko-tureckie jeszcze bardziej się pogorszyły – z jednej strony Turcy mają za złe Grekom odmowę wydania kilku swoich żołnierzy, którzy uciekli po fiasku puczu w Turcji dwa lata temu, z drugiej zaś Ateny odrzucają oskarżenia wobec dwóch żołnierzy greckich, którzy przypadkowo, w złych warunkach atmosferycznych, wkroczyli w marcu 2018 roku na terytorium tureckie. Wet za wet, a wszystko to w atmosferze stale rosnącego napięcia w relacjach międzynarodowych Turcji z jej partnerami.

Turcy są w dobrych stosunkach w zasadzie tylko z tymi państwami, które przez wieki należały do grona największych rywali – Rosją i Iranem (Persją). Trudno nie uważać tego stanu rzeczy za paradoksalny, bo dalekosiężne interesy strategiczne każdego z tych państw są sprzeczne. Na razie jednak między Ankarą a Moskwą i Teheranem istnieje coś na kształt geopolitycznego zawieszenia broni – kraje te starają się nie wchodzić sobie w drogę w tych miejscach Bliskiego Wschodu, gdzie któreś z nich przejawia aktywność. Co więcej, tam, gdzie jest to możliwe lub może przynieść bieżące korzyści polityczne czy propagandowe, Turcja, Iran i Rosja podejmują współpracę w realizacji krótkookresowych celów strategicznych. Dobrym



ODSETEK LUDNOŚCI KURDYJSKIEJ W TURCJI

KOLOR JASNO CZERWONY
(PÓŁNOCNO-WSCHODNIA
ANATOLIA) – 32,0%,
KOLOR CIEMNO CZERWONY
(ŚRODKOWO-WSCHODNIA
ANATOLIA) – 79,1%,
KOLOR CZERWONY (POŁU-
DNIOWO-WSCHODNIA
ANATOLIA) – 64,1%



przykładem jest Syria, gdzie w 2017 roku wszystkie trzy mocarstwa podjęły – bardziej w celach propagandowych niż po to, aby realnie zakończyć wojnę – inicjatywę pokojową w postaci procesu politycznego z Astany i utworzenia w Syrii tzw. stref deeskalacji.

Dzisiaj Erdoğan już nawet nie próbuje ukrywać, że celem Turcji jest osiągnięcie statusu regionalnego mocarstwa o geopolitycznych wpływach porównywalnych z tymi z czasów imperium osmańskiego. Co gorsza, Ankara coraz częściej daje do zrozumienia, że obecne granice są jawną niesprawiedliwością, narzuconą po I wojnie światowej w traktacie z Lozanny (1923 rok), powinny więc zostać zweryfikowane. Sam Erdoğan przyznał to niemal otwarcie w 2016 roku, kiedy przemawiał na tle znanej każdemu Turkowi mapy regionu Azji Mniejszej i Bliskiego Wschodu, przedstawiającej granice Turcji zgodne z wytycznymi słynnego paktu narodowego z 1920 roku – pakietu postulatów i żądań politycznych Stambułu, stanowiących tureckie warunki dla zawarcia pokoju z mocarstwami ententy.

DOMINACJA ZAGROŻENIEM

Postulowane terytorium tej Wielkiej Turcji obejmuje liczne ziemie należące dzisiaj do sąsiadów lub wręcz całe suwerenne państwa. Pre-

ANKARA, ZAMIAST MIĘKKIE- GO BUDOWANIA WPŁYWÓW I SOJUSZY, WY- BRAŁA DROGĘ TWARDEGO NACJONALIZMU

zentowanie takich rewizjonistycznych projektów geopolitycznych budzi coraz większe obawy w całym regionie, a także w Europie Południowej i na Bałkanach. Szczególnie zaniepokojeni są jednak Arabowie oraz Persowie – najbliżsi



TÜRK SILAHLI KUVVETLERİ

Operacje militarne podjęte przez Ankarę w sąsiedniej Syrii wraz z turecką aktywnością w irackim Kurdystanie należą do najlepiej znanych szerszej opinii publicznej działań Turcji na Bliskim Wschodzie.

sąsiedzi Turcji na Bliskim Wschodzie. I jedni, i drudzy doskonale pamiętają, co działo się w tym regionie w czasach dominacji Turcji. Dobrze wiedzą też, co oznaczałaby próba choćby częściowego wcielenia w życie tureckich marzeń. Tyle tylko, że Recep Erdoğan najwyraźniej już dawno ją podjął, a pierwszym etapem wdrażania w życie paktu narodowego jest północna Syria.

Operacje militarne podjęte przez Ankarę w sąsiedniej Syrii, wraz z turecką aktywnością w irackim Kurdystanie, należą do najlepiej znanych szerszej opinii publicznej działań Turcji na Bliskim Wschodzie. Zbrojna interwencja w syryjskich kantonach kurdyjskich oficjalnie motywowana jest przez Ankarę dążeniem do likwidacji sił Państwa Islamskiego (IS), a także „kurdyjskich terrorystów” z Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) i powiązanych z nią grup, takich jak Ludowe Jednostki Samoobrony (YPG). W istocie jednak operacja ta ma na celu ostateczne pogrzebanie niepodległościowych aspiracji Kurdów, które nasiliły się w minionych czterech latach na fali zaangażowania się w wojnę z kalifatem i uzyskania dzięki temu poparcia Zachodu. Ta kwestia stanowi zresztą od lat główny aspekt aktywności Turcji, jeśli chodzi o problemy Bliskiego Wschodu. Osia polityki Ankary wobec Kurdów niezmiennie jest kategoryczny sprzeciw wobec jakichkolwiek możliwości powstania półsuwerennych quasi-państw w Syrii, Iraku czy Iranie, o samej Turcji już nie wspominając. Z kolei wszelkie formy autonomii politycznej – jak iracki Kurdystan, uważany w Ankarze za karygodny błąd geopolityczny ery postzimnowojennej – są obiektem działań mających na celu ograniczenie ich zdolności i efektywności funkcyj-

wania. Co ciekawe, w tej kwestii Ankara znajduje pełne zrozumienie zarówno ze strony Bagdadu, jak i Teheranu, a częściowo nawet i Damaszku. Wszystko to dzieje się przy faktycznie biernej postawie Zachodu, który jeszcze dwa lata temu pokładał w kurdyjskich bojownikach ostatnią nadzieję na powstrzymanie, a później likwidację wszechpotężnego IS w Lewancie.

Sprawia to, że Kurdowie czują się ponownie zdradzeni – podobnie jak niemal sto lat temu po traktacie z Lozanny, który ostatecznie likwidował ich autonomię, przyznaną im wcześniej przez mocarstwa europejskie w traktacie z Sevres w 1920 roku. Paradoksalnie, niechęć do układu lozańskiego z 1923 roku to chyba jedyny aspekt, w którym panuje pełna turecko-kurdyjska zgodność poglądów, choć z diametralnie odmiennych powodów.

REGIONALNA UKŁADANKA

Strategia bezwzględnego powstrzymywania Kurdów i ich niepodległościowych aspiracji to jednak niejedyny kluczowy aspekt tureckiej aktywności międzynarodowej w regionie. Od kilku lat Ankara konsekwentnie buduje na całym Bliskim Wschodzie sieć politycznych i militarnych sojuszy, umożliwiających poszerzenie spektrum oddziaływania. Trzeba przyznać, że postępuje z fantazją godną przebojowego gracza międzynarodowego. W ciągu kilku lat Turcy założyli swoje bazy wojskowe w trzech kluczowych – z ich punktu widzenia – lokalizacjach na Bliskim Wschodzie: irackim Kurdystanie (według różnych źródeł, jest tam od kilkunastu do nawet 40 tureckich instalacji militarnych różnego typu i przeznaczenia), stolicy Kataru – Ad-Dausze (ta baza wykorzystywana jest także przez



jednostki tureckiej marynarki wojennej, co daje im możliwość w pełni swobodnego operowania na wodach Zatoki Perskiej), a także Mogadyszu, stolicy Somalii.

Pod koniec 2017 roku Turcja wydzierżawiła na 99 lat od Sudanu wyspę Suakin. Zrobiła to nie tylko ze względu na strategiczne położenie u zachodnich wybrzeży basenu Morza Czerwonego, skąd można kontrolować niemal cały ruch morski na tym akwenie, ale przede wszystkim z uwagi na znaczenie symboliczne tego miejsca. To tu w czasach imperium osmańskiego przybywali pielgrzymi z całego regionu, skąd promami udawali się na przeciwległy brzeg Morza Czerwonego, do Dżeddy, a dalej, już pieszo, do nieodległej Mekki. Dzisiaj Ankara, chcąc zrewitalizować zapomnianą wyspę, reliktdawnej świetności osmańskiej Turcji, daje całemu regionowi jasny sygnał. I choć oficjalnie w porozumieniu z Sudanem nie ma o tym mowy, to jest niemal pewne, że planowany przez Turków nowoczesny port morski w Suakin będzie mógł pełnić również funkcję bazy wojskowej.

Warto przy tym pamiętać, że większość kosztów tureckiej aktywności na Morzu Czerwonym ma ponieść Katar, co nadaje całej sprawie wymiar czysto polityczny. Relacje Ankary z Ad-Dauhą nabrały znaczącego przyspieszenia w 2017 roku, po nałożeniu na Katar sankcji i zablokowaniu go przez Arabię Saudyjską, jej sojuszników w regionie oraz Egipt. Turcy – obok Rosjan i Irańczyków – okazali wówczas oblężonemu emiratowi konkretną pomoc polityczną i wsparcie materialne.

Nic zatem dziwnego, że sudańskie plany Ankary budzą niepokój zarówno w Egipcie, jak i Arabii Saudyjskiej. Kair postrzega je jako element większej układanki regionalnej, w której rosnąca w siłę Turcja – kraj otwarcie wspierający Bractwo Muzułmańskie (dopiero co odsunięte od władzy w Egipcie), blisko związany z Katarem, a do tego współpracujący z szyickim Iranem – może poważnie naruszyć regionalną równowagę sił w Afryce Wschodniej i w basenie Morza Czerwonego. Zwłaszcza że Sudan naraził się ostatnio Egipcjom, otwarcie występując przeciw niemu w regionalnym sporze o podział wód na Nilu. Chartum poparł bowiem Etiopię, która na Nilu Błękitnym buduje Tamę Wielkiego Odrodzenia, przez Egipcjan uważa-



U.S. ARMY

OD KILKU LAT ANKARA KONSEKWENTNIE BUDUJE NA CAŁYM BLISKIM WSCHODZIE SIEĆ POLITYCZNYCH I MILITARNYCH SOJUSZY, UMOŻLIWIAJĄCYCH POSZERZENIE SPEKTRUM JEJ ODDZIAŁYWANIA

ną za śmiertelne zagrożenie dla przyszości ich kraju.

Z kolei Arabia Saudyjska nie tylko podziela obawy Egiptu, lecz także ma za złe Turcji jawne kwestionowanie przywództwa Rijadu w świecie arabskim. Obawia się też dążenia Ankary do rewizji układu łożańskiego, który jednoznacznie pozbawił przed wiekiem Turków osmańskich politycznych wpływów i władzy na Bliskim Wschodzie, zdominowanym etnicznie przez Arabów. Saudyjczycy podejrzewają też, że ze względu na konszachty z Katarem i Iranem, Turcy mogliby użyć instalacji w Suakin do wspierania szyickiej rebelii Huti w Jemenie.

MOŻLIWOŚĆ ODWROTU

Polityka i działania Turcji w ostatnich kilku latach oraz wypowiedzi jej przywódców nie czynią z tego państwa pożądanego partnera do współpracy regionalnej. Ankara pod rządami AKP, zamiast miękkiego budowa-

nia wpływów i sojuszy, wybrała drogę twardego nacjonalizmu z elementami rewizjonizmu w duchu panturkizmu, świadomie eskalowanego radykalizmu religijnego oraz agresji w relacjach międzynarodowych.

Wielu ekspertów wskazuje na uderzające podobieństwa między polityką Turcji a tym, co miało miejsce w Pakistanie w czasie dyktatorskich rządów Zia ul-Haqa. Państwo to przeżyło wówczas odgórnie narzuconą, przyspieszoną islamizację, a radykalny islam miał się stać głównym ideologicznym zwornikiem wieloetnicznego społeczeństwa i w istocie jedynym czynnikiem państwowotwórczym, z równoczesnym epatowaniem nacjonalistycznymi hasłami (przede wszystkim wymierzonymi w Indie). Efekty takiej strategii widać jednak dzisiaj w postaci dramatycznego uwikłania elit i służb pakistańskich w aktywność ekstremistycznych ugrupowań islamskich, siejących terror nie tylko od Afganistanu i Iranu po Indie i Kaszmir, lecz coraz częściej także i w samym Pakistanie.

Na razie taki proces w Turcji jeszcze nie nastąpił i wciąż da się zejść z tej drogi. Pozostaje pytanie, czy mieszkańcy tego kraju – których większość wciąż optuje za przystąpieniem do Unii Europejskiej i ścisłymi związkami ich kraju z Zachodem – zgodzą się na stopniowe przekształcanie się w pariasa regionu, będącego rozsądkiem destabilizacji i promotorem chaosu. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

**Interwencja Stanów Zjednoczonych, Francji
oraz Wielkiej Brytanii nie zakończy wojny domowej
w Syrii. Może jednak zmienić układ sił w regionie.**

TEATR NIEJEDNEGO STRATEGA

MATTHEW DANIELS/US NAVY

**KRĄŻOWNIK
RAKietOWY USS MON-
TEREY WYSTRZELIWUJE
RAKietĘ NAZIEMNĄ TOMA-
HAWK W KIERUNKU CELÓW
ZNAJDUJĄCYCH SIĘ NA TERYTO-
RIUM KONTROLOWANYM
PRZEZ SIŁY AL-ASADA.
14 KWIEŃNIA 2018 ROKU.**

Świat zamrzał po ataku chemicznym przeprowadzonym na Dumę. Prezydent Donald Trump w charakterystycznym dla siebie stylu przystąpił do ofensywy w mediach społecznościowych, która nie pozostawiała wątpliwości co do stanowiska Stanów Zjednoczonych – należy spodziewać się reakcji militar-

nej. Już kilkadziesiąt godzin po zdarzeniu zaczęto budować koalicję mogącą wziąć udział w operacji przeciwko siłom Baszszara al-Asada. Ze strony Francuzów i Brytyjczyków, którzy mieli wesprzeć Amerykanów, do samego końca dochodziły sprzeczne informacje. Zarówno prezydent Emmanuel Macron, jak i premier Theresa



May jasno dawali do zrozumienia, że szykują się na konfrontację, ale jednocześnie zaznaczali, że będzie to rozwiązanie ostateczne. W tym samym czasie w basenie Morza Śródziemnego odnotowano wzmożoną aktywność sił należących do wymienionych państw, łącznie z relokacją lotnictwa i okrętów. Obserwatorzy się obawiali, że rozpoczęto niebezpieczną grę, która doprowadzi do konfrontacji Zachodu z Rosją i że uderzenie rakietowe na Syrię mogłoby rozpocząć III wojnę światową.

Mimo olbrzymiego napięcia i niejednoznacznych sygnałów płynących od sojuszników NATO, podjęto decyzję o ataku. 14 kwietnia 2018 roku około godziny 4.00 czasu lokalnego amerykańskie, francuskie i brytyjskie rakiety zniszczyły przynajmniej trzy cele znajdujące się na terytorium kontrolowanym przez siły Al-Asada. Według Amerykanów wszystkie związane były z produkcją lub przechowywaniem broni chemicznej, w tym gazów użytych tydzień wcześniej w Dumie. Rosja zareagowała niemal natychmiast, ale mimo ostrych słów już w ciągu pierwszych godzin stało się jasne, że w tym wypadku skończy się wyłącznie na dyplomatycznej retoryce. Groźba wybuchu międzynarodowego konfliktu nie spełniła się, co nie oznacza, że wydarzenia te nie wpłyną na przebieg konfliktu w Syrii. I że Rosjanie nie zrewanżują się w dogodnym dla siebie momencie.

REAKCJA NA SARIN

Nie była to pierwsza sytuacja, w której prezydent Trump zdecydował o użyciu siły po ataku chemicznym na terytorium Syrii. Na początku kwietnia 2017 roku w miejscowości Chan Szajchun – co najmniej 74 osoby zginęły w wyniku zatrucia mieszkanką gazów bojowych, w tym paraliżującym układ nerwowy sarinem. Śledztwo przeprowadzone przez OPCW-UN, czyli organ skupiający w swoim gronie przedstawicieli Organizacji do spraw Zakazu Broni Chemicznej (Organisation for the Prohibition of Chemical Weapons – OPCW) oraz ONZ (United Nations – UN), wykazało, że za ich śmierć odpowiadał syryjski rząd. Niespełna trzy doby później Amerykanie ostrzelali bazę lotniczą w Szajrat, z której najprawdopodobniej przeprowadzono atak. Chociaż większość rakiet trafiła w cel, znisz-

czenia uznano za marginalne. W znacznej części personel oraz najważniejsze wyposażenie bazy, w tym samoloty myśliwsko-bombowe Su-22, ewakuowano kilkanaście godzin przed uderzeniem.

Atak chemiczny w Dumie przebiegł według podobnego schematu. Kilkadziesiąt ofiar zmarło w wyniku porażenia mieszkanką chloru i sarinu. Naoczni świadkowie zeznali, że pojemniki z gazem zostały zrzucone ze śmigłowca syryjskich sił powietrznych i atak był wymierzony przede wszystkim w cywilów. Rosjanie o użycie śmiertelnych ładunków oskarżają fundamentalistycznych bojowników Dżajsz al-Islam, którzy chcieli dać tym samym Zachodowi pretekst do reakcji i uchronić się przed nadchodzącą klęską. Dowody potwierdzające tę tezę są jednak mało wiarygodne. Dostarczone przez Rosjan materiały ukazują m.in. jedno z laboratoriów na terenie Dumy, służących rebeliantom do produkcji śmiertelnej mieszanki. Jak wynika ze śledztwa przeprowadzonego przez brytyjski portal Bellingcat, uwiecznione w nich wyposażenie jest charakterystyczne dla miejsc, w których produkuje się konwencjonalne ładunki wybuchowe, i jakiegokolwiek eksperymenty z sarinem prowadzone w ich wnętrzu doprowadziłyby do śmierci całego personelu. Faktem jest, że nawet tak pozornie nieskomplikowane operacje jak napełnienie pojemni-

AMBER L. SMITH / US ARMY



**ZARÓWNO
ROSJANIE, JAK
I AMERYKANIE
zdają sobie sprawę
z następstw bezpo-
średniej konfronta-
cji i w razie najgor-
szego scenariusza
zdecydują się na
wojnę zastępczą.**



Sekretarz obrony James N. Mattis (na zdjęciu w towarzystwie przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów gen. Josepha F. Dunforda podczas konferencji prasowej w Pentagonie) zaznaczył, że ataki zostały ograniczone do celów powiązanych z produkcją broni chemicznej i żadne kolejne uderzenia nie są planowane.

OFICJALNE OŚWIADCZENIA WSZYSTKICH STRON NIE POZOSTAWIAJĄ ZŁUDZEŃ – **14 KWIETNIA ODEGRANO WYRAFINOWANY SPEKTAKŁ, KTÓRY ZE STRATEGICZNEGO PUNKTU WIDZENIA MA MARGINALNE ZNACZENIE**

ków gazem bojowym wymagają specjalistycznej aparatury i wiedzy. Zarazem trzeba pamiętać, że podczas walk o Aleppo w 2016 roku bojownicy Dżajsz al-Islam uzyskali dostęp do broni chemicznej, której następnie użyli przeciwko Kurdom. To, kto naprawdę stał za atakiem w Dumie, może wyjaśnić raport przygotowywany przez ekspertów z OPCW, tymczasem do przemysłów skłania także kwestia częstotliwości ataków chemicznych. Według Human Rights Watch, począwszy od 2013 roku mogło dojść do ponad 80 tego typu zdarzeń, przy czym tylko w 2018 roku na terenie Wschodniej Guty rozpylenie chloru lub sarinu raportowano dziesięć razy.

Znacznie więcej można powiedzieć na temat samego ataku raketowego, chociaż tutaj także pojawiają się wątpliwości. Z oświadczeń sojuszników wynika, że z okrętów i ze statków powietrznych wystrzelono łącznie 105 rakiet, przy czym po raz pierwszy zastosowanie bojowe znalazły amerykańskie pociski JASSM-A oraz francuskie MdCN. Salwa zniszczyła centrum naukowe w Barzy oraz ośrodki wojskowe w Szinszar, leżącym na obrzeżach Hims. Być może atak został wymierzony także w bazy lotnicze w Al-Mazza, Ad-Dumajr oraz kilka innych syryjskich obiektów wojskowych. Być może, ponieważ Amerykanie twierdzą, że wszystkie wystrzelone rakiety dosięgnęły celów. Swoje słowa potwierdzają oni zdjęciami satelitarnymi trzech pierwszych obiektów (w celu ich rozpoznania i wykonania fotografii najprawdopodobniej po raz pierwszy użyto bezzałogowego statku powietrznego RQ-4 Global Hawk).

W tym samym czasie rosyjskie ministerstwo obrony w oficjalnym stanowisku podaje, że systemy przeciw-

lotnicze będące w wyposażeniu armii syryjskiej przechwyciły ponad 3/4 wszystkich rakiet. Ze względu na specyfikę ostrzału pociskami manewrującymi oraz realne możliwości syryjskiej obrony przeciwlotniczej skuteczność na tym poziomie jest bardzo trudna do osiągnięcia. Wątpliwości budzi również brak zdjęć przedstawiających fragmenty zestrzelonych rakiet, nie ma także filmów, na których byłoby widać sam moment przechwycenia.

W szerszej perspektywie liczby te nie mają jednak większego znaczenia. Tak jak w Szajrat, bazy lotnicze zostały ewakuowane już kilka dni wcześniej, a w zniszczonych obiektach, nawet jeżeli kiedyś produkowano broń chemiczną, to dawno zaprzestano tej działalności lub przeniesiono ją w inne miejsce. Potwierdza to m.in. raport OPCW z marca 2018 roku, w którym zaznaczono, że współpraca z syryjską stroną nie przebiega podreęcznikowo (czytaj: inspektorzy nie mają dostępu wszędzie tam, gdzie by chcieli), ale w ośrodkach w Barzy nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości.

PRZEDSTAWIENIE CZY TEST?

Oficjalne oświadczenia wszystkich stron nie pozostawiają złudzeń – 14 kwietnia odegrano wyrafinowany spektakl, który ze strategicznego punktu widzenia ma marginalne znaczenie. Jon M. Huntsman Jr., ambasador USA w Moskwie, poinformował wręcz, że „przed rozpoczęciem działań Stany Zjednoczone nawiązały kontakt z Federacją Rosyjską w celu zminimalizowania ryzyka ofiar wśród Rosjan oraz ludności cywilnej”. W podobnym tonie wypowiadali się także sami Rosjanie.



Wraz z błyskawicznie opublikowaną informacją o braku poniesionych strat zaznaczyli, że w obronie syryjskich obiektów nie wykorzystano żadnego rosyjskiego uzbrojenia.

Obecnie na terenie Syrii znajdują się systemy obrony rakietowej S-300 oraz S-400, dlatego komunikaty te można odczytywać dwojako. Albo Rosjanie odcinają się od konfrontacji militarnej z Zachodem na każdym polu, albo systemy te wobec zachodnich rakiet okazały się nieskuteczne. Na uwagę zasługuje jednak stwierdzenie, że Moskwa rozważa przekazanie wymienionego wyżej uzbrojenia Syryjczykom oraz, najprawdopodobniej, Iranowi. Oznacza to, że w przyszłości mogą one zostać użyte nie tylko w obliczu zachodnich ataków, lecz także przeciwko Izraelowi. Biorąc pod uwagę, że to właśnie on przeprowadza naloty na terytorium Syrii o rzeczywistym znaczeniu taktycznym (takie jak ten z 9 kwietnia na bazę lotniczą T-4, która jest obsadzona przez irański i rosyjski personel), decyzja ta może mieć realny wpływ na rozkład sił w regionie.

Istotna jest także reakcja Chin, które jako jedno z nielicznych państw opowiedziały się przeciwko zachodniej interwencji. Hua Chunying, rzeczniczka tamtejszego ministerstwa spraw zagranicznych, stwierdziła, że „jak zawsze Chiny są przeciwko użyciu siły na polu międzynarodowym i wzywają do respektowania suwerenności innych państw”. Jednocześnie zaznaczyła, że atak jest pogwałceniem prawa międzynarodowego oraz został przeprowadzony wbrew decyzji Rady Bezpieczeństwa ONZ (głosowanie zawetowali Rosjanie, Chiny wstrzymały się od głosu), a także, że doprowadzi do dalszego pogorszenia sytuacji w Syrii. Wziąwszy pod uwagę informacje o zacieśniającym się sojuszu między Rosją a Chinami oraz możliwej współpracy militarnej na Bliskim Wschodzie, słowa te nabierają głębszego znaczenia.

Tymczasem postawa zachodnich koalicjantów przypomina wypowiedzi bokserów tuż po stoczonym pojedynku – ostrą retorykę zastąpiła stonowana dyplomacja. Sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych James Mattis, znany z twardej i raczej agresywnej postawy, zaznaczył, że ataki zostały ograniczone do celów powiązanych



„Jak zawsze Chiny są przeciwko użyciu siły na polu międzynarodowym i wzywają do respektowania suwerenności innych państw” stwierdziła Hua Chunying, rzeczniczka ministerstwa spraw zagranicznych Chin.

CHINY JAKO JEDNO Z NIELICZNYCH PAŃSTW OPOWIEDZIAŁY SIĘ PRZECIWKO ZACHODNIEJ INTERWENCJI W SYRII PO ATAKU CHEMICZNYM Z 7 KWIEŃNIA

głędu na to, że obie strony zdają sobie sprawę z następstw bezpośredniej konfrontacji i w razie najgorszego scenariusza zdecydują się na wojnę zastępczą. Zwłaszcza że Amerykanie, pomimo wcześniejszych zapowiedzi, raczej nie wycofają swoich sił lądowych z Syrii. Niezależnie od rozwoju sytuacji warto jednak pamiętać, że Rosjanie rzadko podejmują nieprzemyślane działania. Ich odpowiedź może nastąpić z wielomiesięcznym opóźnieniem i na zupełnie innym kierunku, np. wschodnim. Duże znaczenie, także w skali międzynarodowej, będą miały decyzje podjęte przez regionalne mocarstwa. To właśnie Turcja, Iran lub Arabia Saudyjska mogą najwięcej zyskać lub stracić na trwającym obecnie kryzysie.

Tymczasem dzięki interwencji zachodnich koalicjantów Baszszar al-Asad skonsolidował swoich zwolenników i przygotowuje się do kolejnej ofensywy. W ciągu najbliższych tygodni będziemy obserwować wzmoczony wysiłek Syryjskich Arabskich Sił Lądowych w okolicach Hamy. Bardzo prawdopodobne jest również, że po Wschodniej Gucie syryjski rząd zdecyduje o całkowitym odzyskaniu rejonu stołecznego, w tym na odbiciu obozu Al-Jarmuk, który od 2015 roku jest oblegany przez bojowników tzw. Państwa Islamskiego. To właśnie tym miejscom społeczność międzynarodowa powinna przyglądać się ze szczególną uwagą. ■

z produkcją broni chemicznej i żadne kolejne uderzenia nie są planowane. W podobnym tonie wypowiada się premier Theresa May. „Nie możemy pozwolić na erozję międzynarodowych norm, które mają zapobiegać użyciu tego typu broni. Nie chodzi o zmianę reżimu. Chodzi o ograniczone i celne ataki, które nie eskalują napięcia w regionie”. Wypowiedź brytyjskiej premier sugeruje, że zachodni przywódcy pogodzili się z polityką Baszszara al-Asada. Jeżeli faktycznie tak jest, oznaczałoby to również brak alternatywy umożliwiającej zakończenie konfliktu oraz akceptację rosyjskiej obecności w Syrii. Jednocześnie atak rakietowy może być testem gotowości Rosjan do obrony swoich sojuszników.

UWAGA ŚWIATA

Raczej mało prawdopodobne jest, że wojna w Syrii przybierze formę kolejnego kryzysu kubańskiego. Wy-

ROBERT SENDEK

Oaza spokoju w piekle

U.S. DOD

Żołnierz oddziału antyterrorystycznego francuskiej żandarmerii podczas wspólnych ćwiczeń z amerykańską piechotą morską w Dżibuti.

Niewielki pustynny kraj w Rogu Afryki stał się miejscem szczególnego zainteresowania głównych graczy światowej polityki. Znakiem czasu są powstające tu bazy wojskowe.

Jak to się mówi: małe jest piękne. Wcześniej nie mogliśmy czerpać korzyści z naszego położenia, lecz teraz za sprawą wspólnoty międzynarodowej, dzięki obrotom handlowym, biznesowi, naszemu udziałowi w międzynarodowej walce z terroryzmem i piractwem morskim – dzięki temu wszystkiemu Dżibuti otrzymało możliwość podjęcia współpracy z wieloma krajami na świecie”, mówił prezydent Dżibuti Ismail Omar Guelleh w styczniu 2018 roku w etiopskiej telewizji ENN.

Rzeczywiście, Dżibuti, niewielki kraj leżący w Rogu Afryki, stał się w ostatnich latach miejscem dużego zainteresowania światowych mocarstw. Głównym tego powodem jest strategiczne położenie kraju – przy jednej z najbardziej uczęszczanych tras komunikacyjnych świata, wiodącej z Europy, przez Kanał Sueski, do Zatoki Perskiej, Afryki Wschodniej oraz na Daleki Wschód. Sam region jest jednak wyjątkowo niespokojny.

Wystarczy wspomnieć, że Dżibuti sąsiaduje z pogrążoną w chaosie Somalią, która jest wręcz książkowym przykładem państwa upadłego, oraz z totalitarną Erytreą, uważaną za jedno z najbardziej opresyjnych państw na kontynencie. Tuż pod bokiem, po drugiej stronie Morza Czerwonego, w Jemenie toczy się brutalna wojna domowa. W dodatku okoliczne wody Oceanu Indyjskiego do niedawna były jeszcze głównym terenem działania piratów somalijskich. Na tym tle Dżibuti, w którym Guelleh twardą ręką, ale w sposób stabilny rządzi już drugą dekadę, jawi się jako oaza spokoju. Nic więc dziwnego, że kraj ten przyciąga uwagę mocarstw.

EKSPANSJA CHIN

Znakiem czasu stały się budowane w Dżibuti bazy wojskowe. Nieprzypadkowo pierwszą taką infrastrukturę Chiny ulokowały właśnie tutaj. Oficjalnie otwarto ją →

BAZY WOJSKOWE

**Z BAZ KORZYŚCI
CZERPIĄ NIE TYL-
KO MOCARSTWA,
LECZ TAKŻE MIEJ-
SCOWI. W NIE-
WIELKIM I PU-
STYNNYM KRAJU,
WYJĄTKOWO
UBOGIM W SU-
ROWCE NATURAL-
NE, OCZYWISTĄ
DROGĄ ROZWOJU
SĄ USŁUGI**



Dżibuti stanowi zaplecze logistyczne dla amerykańskiego lotnictwa wojskowego oraz floty. Jest ważnym centrum operowania amerykańskich dronów. Startują stąd bezzałogowce wykonujące misje m.in. w ograniczonym wojnę Jemenie oraz podejmujące akcje przeciwko islamistom w Somalii.



Camp Lemonnier

Baza amerykańska zbudowana w 2002 roku. Stacjonuje tu 4–5 tys. żołnierzy z kilku jednostek wojskowych.



Doraleh

Chińska baza oficjalnie otwarta 1 sierpnia 2017 roku.



Baza francuska

Służy w niej 1700 żołnierzy. Znajduje się tam również baza marynarki wojennej oraz 188 Baza Lotnicza.



Baza włoska

utworzona w 2013 roku.



Baza japońska

Założona w 2011 roku placówka jest wciąż rozbudowywana.

PK/DZIAŁ GRAFICZNY,
US DOD, USAF

1 sierpnia 2017 roku, w dniu, w którym świętowano także 90. rocznicę powstania Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Starannie wybrano miejsce – obok nowo powstałego portu w Doraleh, na zachodnich peryferiach stolicy Dżibuti (kraj i jego stolica noszą tę samą nazwę). Ten port jest początkiem niedawno wybudowanej przez chińskie przedsiębiorstwa i bardzo ważnej gospodarczo linii kolejowej, wiodącej do stolicy sąsiedniej Etiopii, Addis Abeby. Linia została oddana do użytku jesienią 2016 roku. Jest nowoczesna, w pełni zelektryfikowana, gotowa do obsługi ruchu towarowego i pasażerskiego.

Jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że Etiopia jest drugim po Nigerii najludniejszym krajem

kontynentu, a ogromna część eksportu i importu Etiopii przechodzi właśnie przez port w Dżibuti, to gospodarcze znaczenie chińskiego zaangażowania w tym regionie świata staje się bardziej zrozumiałe. Niewykluczone zatem, że chińska baza wojskowa (nazywana na razie logistyczną) stanowi zabezpieczenie dla coraz intensywniejszej ekspansji gospodarczej Chin na teren Afryki.

KOLONIALNA PRZESZŁOŚĆ

Specyficzna jest historia Dżibuti. Samo powstanie państwa wynika z rywalizacji między mocarstwami. Już w połowie XIX wieku tereny te penetrowali Francuzi, ponieważ szukali miejsca, które mogliby wykroić dla siebie w regionie zdominowanym przez Anglików. Ci bowiem

ustanowili po drugiej stronie Morza Czerwonego protektorat w Adenie, a nieco bardziej na południe kolonię pod nazwą Somali Brytyjskie.

Francuzom udało się zyskać niewielki teren wokół Zatok Tadzura, gdzie powstało Somali Francuskie. Gdy w 1869 roku otwarto Kanał Sueski, jego znaczenie wzrosło, Francuzi zaś zyskali punkt zaopatrzeniowy dla swych statków na trasie wiodącej z Europy do kolonii w Indochinach. Kraj miał taki status do 1977 roku, kiedy proklamowano niepodległość. Wpływy francuskie jednak pozostały – i to zarówno w sferze politycznej, jak i wojskowej oraz kulturalnej. Wystarczy wspomnieć, że francuski odgrywa w Dżibuti, wraz z arabskim, rolę języka urzędowego.

Śladem kolonialnej przeszłości jest ulokowana tu największa francuska baza wojskowa poza granicami Francji. Oprócz bazy wojsk lądowych, w której służy 1700 żołnierzy, jest także baza tamtejszej marynarki wojennej oraz 188 Baza Lotnicza, korzystająca z infrastruktury międzynarodowego lotniska w Dżibuti. W obiektach należących do francuskiego wojska stacjonują ponadto kontyngenty z Hiszpanii i Niemiec, unijnych sojuszników, którzy udzielili wsparcia podczas podjętej kilka lat temu walki z piractwem w regionie.

Odrębną bazę wojskową mają zaś Włosi. Jest ona mniejsza niż instalacje francuskie, ale powstała w innym celu. Została zbudowana w 2013 roku w szczycie walk z piratami somalijskimi. Ulokowano ją w południowej dzielnicy Dżibuti, przy drodze do miasteczka Loyada. Włosi zajmują się głównie szkoleniem żołnierzy somalijskich (w Somalii zostało to uznane za zbyt ryzykowne). Z portów w Dżibuti korzystają także okręty państw członkowskich Unii Europejskiej wysłane na Ocean Indyjski w ramach operacji „Atalanta”.

W Dżibuti swą pierwszą i jedyną zagraniczną bazę wojskową ma od 2011 roku także armia japońska. Początkowo się mówiło, że ulokowano ją tu ze względu na potrzebę walki z somalijskimi piratami, ale ten problem został już opanowany. Japończycy jednak nie tylko nie zlikwidowali bazy, lecz starają się ją wręcz rozbudować, a więc najpewniej chodzi o coś innego. Komentatorzy twierdzą, że ich obecność w Dżibuti może mieć związek z rywalizacją z Chinami, głównym przeciwnikiem geopolitycznym.

AMERYKAŃSKI ŚLAD

O tym, jak ważnym miejscem na politycznej mapie świata stało się Dżibuti, świadczy także i to, że mieści się tu jedyna na kontynencie afrykańskim stała baza wojskowa USA – Camp Lemonnier. Zbudowano ją w 2002 roku w związku z sytuacją na świecie po zamachach 11 września 2001 roku. Stacjonuje tu 4–5 tys. żołnierzy amerykańskich z kilku jednostek wojskowych. Ze względu na

suchy, pustynny klimat ćwiczą w tym miejscu wojska, które będą podejmować działania na Bliskim Wschodzie.

Kraj świetnie się sprawdza również jako zaplecze logistyczne dla amerykańskiego lotnictwa wojskowego oraz floty. Jest również ważnym centrum operowania dla amerykańskich dronów. Startują stąd bezzałogowce wykonujące misje m.in. w ogarniętym wojną Jemenie oraz podejmujące akcje przeciwko islamistom w Somalii. Doszło nawet z tego powodu do awantur między Amerykanami a politykami dżibutyjskimi, bo na przeciążonym lotnisku międzynarodowym w stolicy zdarzały się wypadki. To dlatego USA rozbudowały infrastrukturę na położonym nieco w głębi lądu lotnisku Chabelley i teraz ich drony startują właśnie stamtąd. Współpraca Amerykanów z europejskimi sojusznikami z NATO układa się w Dżibuti nie najgorzej. Znakiem tego są wspólne ćwiczenia, takie jak np. marcowe francusko-amerykańskie „Wakri '18”.

SZANSA NA NOWOCZESNOŚĆ

Z baz w Dżibuti korzyści czerpią nie tylko mocarstwa, lecz także miejscowi. W niewielkim i pustynnym kraju, wyjątkowo ubogim w surowce naturalne, oczywistą drogą rozwoju są usługi. Dzierżawa terenów, na których znajdują się bazy wojskowe, przynosi budżetowi kraju niemałe zyski. Stacjonujący tu żołnierze u miejscowych kupują też towary i usługi. To z kolei pozwala na zmniejszenie bezrobocia. Zainteresowanie mocarstw światowych przekłada się także na inwestycje w infrastrukturę komunikacyjną, portową i przemysłową, które znacząco poprawiają pozycję kraju w rankingu miejsc dla międzynarodowego biznesu wartych zainteresowania.

Utrzymująca się w ostatnich latach dobra koniunktura skłoniła władze Dżibuti do opracowania ambitnej koncepcji rozwoju, którą nazwano „Wizją 2035”. Zakłada ona, że uda się zamienić Dżibuti w Singapur Afryki, czyli kraj nowoczesny i dobrze zarządzany. Zgodnie z planami w miejscu obecnych slumsów i niskiej zabudowy powstanie nowoczesne, funkcjonalne i dobrze zaprojektowane miasto na miarę XXI wieku, według wzorów żywcem skopiowanych z fantazji szejków znad Zatoki Perskiej.

Jesienią 2017 roku do Dżibuti przyjechała komisja wojskowa, tym razem z Arabii Saudyjskiej. Jej zadaniem jest przygotowanie gruntu pod budowę kolejnej bazy wojskowej. Rokowania w tej sprawie prowadzili w latach 2012–2013 także przedstawiciele Rosji, ale plany zostały zarzucone w związku z konfliktem na Ukrainie oraz zaangażowaniem w Syrii. Rozmowy z rządem Dżibuti odnośnie do ewentualnej infrastruktury wojskowej podejmowały lub podejmują także Turcja, Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz Indie. Niewykluczone zatem, że obok już istniejących baz powstaną nowe. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Militarny przystanek Alaska

To jest idealne miejsce do tego, żeby śledzić tory międzykontynentalnych rakiet – najpierw Związku Sowieckiego, a teraz Rosji, Chin i Korei Północnej.

JACK W. CARLSON III / US DOD



Wrazie ataku rakietowego ze strony Korei Północnej największy stan USA, czyli Alaskę, stanowi ostatnią linię obrony. Jest to też amerykańskie terytorium, które graniczy z Rosją. Wyspy Diomedesa w cieśninie Beringa są bowiem podzielone między oba państwa. Poza tym nad Alaską prowadzi najkrótsza trasa lotów między USA i Japonią. Po zakończeniu zimnej wojny Stany Zjednoczone znacząco jednak ograniczyły obecność militarną w tym regionie, bo liczyły na dobre relacje z Federacją Rosyjską.

UWAGA NA KIMA

Po rozpadzie Związku Sowieckiego na pewien czas zmalało zagrożenie konfliktem nuklearnym. Niebawem pojawiło jednak nowe, tym razem ze strony Korei Północnej, która stworzyła broń atomową i rozwija technologie rakietowe. W odpowiedzi na te działania Amerykanie rozpoczęli prace nad systemem obrony przeciwrakietowej. Część wchodzących w jego skład instalacji znajduje się na Alasce. Oprócz radarów postanowiono ulokować tam interceptory mogące zniszczyć wrogie rakiet balistyczne.

Na miejsce ich stacjonowania wybrano Fort Greely, położony 160 km na południowy wschód od Fairbanks. Budowa bazy antyrakiet rozpoczęła się w 2002 roku. Początkowo planowano rozmieścić tam do 2010 roku do 30 antyrakiet, ale ostatecznie zdecydowano się na 26. W 2014 roku Kongres USA przyznał jednak fundusze na zwiększenie tej liczby i do końca 2017 roku w Fort Greely było już 40 antyrakiet.

Pentagon chce zaś, żeby w tym miejscu było 60 interceptorów. W styczniu 2018 roku Boeing uzyskał zlecenie o wartości 6,56 mld dolarów na budowę tam czwartego pola z 20 silosami. Zdecydowano się na zwiększenie liczby antyrakiet, bo nie są one skuteczne w 100%. Aby zwiększyć prawdopodobieństwo zniszczenia wrogiego pocisku balistycznego, trzeba użyć ich od trzech do pięciu. Należy też liczyć się z tym, że Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna wystrzeli więcej niż jedną rakietę.

Już pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia zauważono, że Alaska jest znakomitą miejscem, z którego można wykryć wystrzelone przez Związek Sowiecki pociski balistyczne. Śledzeniem międzykontynentalnych rakiet wystrzelonych z wyrzutni na lądzie



Umieszczanie pocisku balistycznego w silosie raketowym na terenie kompleksu obrony przeciwraкетowej w Fort Greely na Alasce.

lub z okrętów zajmuje się stacja sił powietrznych Clear, położona 137 km na południowy zachód od Fairbanks. W bazie znajduje się radar wczesnego ostrzegania AN/FPS-132 o zasięgu około 5000 km.

Drugie stanowisko radarowe systemu obrony przeciwraкетowej ulokowano w stacji Eareckson na wyspie Shemya w archipelagu Aleutów. Tamtejszy radar AN/FPS-108 Cobra Dane zbiera wszelkie informacje o zagranicznych pociskach balistycznych, które są testowane, a także o wystrzelonych rakietach i sztucznych satelitach na niskiej orbicie okołozemskiej. Może on obserwować do 120 obiektów jednocześnie.

WZMOCNIONY GARNIZON

Amerykanie są też przygotowani na zagrożenia konwencjonalne. Dowództwu Alaska i Połączonej Grupie Zadaniowej Alaska, podporządkowanym Dowództwu Północnemu USA, podlega 21 tys. żołnierzy w czynnej służbie. Ich siedziba znajduje się w Połączonej Bazie Elmendorf-Richardson w Anchorage, największym mieście stanu. Instalacja ta powstała w wyniku połączenia w 2010 roku zajmowanego przez US Army Fortu Richardsona z należącą do sił powietrznych bazą lotni-

czą Elmendorf. Teraz zostało tam ulokowanych kilka dowództw, m.in. regionalne stanowisko Dowództwa Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej.

Na lotnisku Elmendorf stacjonują dwie duże jednostki sił powietrznych. Trzonem 3 Skrzydła, w którym służy około 2200 wojskowych, są eskadry myśliwskie 90 i 525, mające do dyspozycji 47 samolotów bojowych F-22A Raptor. W skład tego skrzydła wchodzi też 962 Eskadra Kontroli Przestrzeni Powietrznej z dwoma samolotami wczesnego ostrzegania E-3 Sentry i 517 Eskadra Lotnictwa Transportowego z dziewięcioma maszynami C-17 Globemaster III i dwiema C-12F. Większość personelu 3 Skrzydła służy jednak w 3 Grupie Zabezpieczenia, zapewniającej jednostkom lotniczym wsparcie na ziemi. Druga jednostka to 673 Skrzydło Bazy Lotniczej, liczące pod 5 tys. wojskowych i pracowników cywilnych, które zapewnia obsługę tej instalacji.

Drugą ważną bazą US Air Force na Alasce jest Eielson, 42 km na południowy wschód od Fairbanks. Od 1993 roku stacjonuje w niej 354 Skrzydło Myśliwskie. Należąca do niego 18 Eskadra Agresorów dysponuje



18 myśliwcami F-16C/D Block 30, które prawdopodobnie zostaną niedługo zastąpione przez maszyny F-35A Lightning II. Należąca do skrzydła 353 Eskadra Szkolenia Bojowego odpowiada m.in. za wielkie międzynarodowe ćwiczenia lotnicze pod kryptonimem „Red Flag”.

Na Alasce rozmieszczonych zostało też 11 tys. żołnierzy US Army. W Połączonej Bazie Elmendorf-Richardson stacjonuje 4 Brygadowy Zespół Bojowy (Powietrznodesantowy) z 25 Dywizji Piechoty.

Druga duża jednostka armii w tym miejscu to liczący ponad 1200 żołnierzy 17 Batalion Wsparcia Bojowego z kompaniami transportowymi, żandarmerii, kwatermistrzowską i chemiczną, a także orkiestrą.

1 Brygadowy Zespół Bojowy wyposażony w strykery, również należący do 25 Dywizji Piechoty, stacjonuje zaś w Forcie Wainwright, w Fairbanks. Tam umieszczono również zgromadzenie lotnictwa wojsk lądowych w sile: 1 Batalion Szturmowo-Rozpoznawczy 25 Pułku Lotniczego ze śmigłowcami AH-64E Guardian, 1 Batalion Lotniczy 52 Pułku Lotniczego z transportowymi CH-47 Chinook i wielozadaniowymi UH-60 Black Hawk, w tym w wersji ewakuacji medycznej, oraz kompania D 25 Pułku Lotniczego z bezzałogowcami MQ-1C Gray Eagle. W Black Rapid mieści się z kolei centrum szkoleniowe, przygotowujące żołnierzy US Army do działań w warunkach arktycznych.

LOKALNE WSPARCIE

W Forcie Richardsona znajduje się dowództwo Gwardii Narodowej. Jej komponent lądowy liczy 1900 żołnierzy. Dużymi jednostkami są 297 Regionalna Grupa Wsparcia i 38 Dowództwo Oddziałów, którym są podporządkowane zarówno jednostki bojowe – bataliony piechoty, lotniczy i obrony przeciwrakietowej – jak i wsparcia. Z kolei lotniczą część Gwardii Narodowej na Alasce tworzą dwie duże jednostki. Ponad 1500 gwardzistów służy w 176 Skrzydle w Połączonej Bazie Elmendorf-Richardson. Ma ono dwie eskadry transportowe – 144 z ośmioma C-130H Hercules i 249 z ośmioma C-17 Globemaster III. W skrzydle są też trzy eskadry ratownicze. 210 Eskadra dysponuje sześcioma śmigłowcami HH-60 Pave Hawk, a 211 Eskadra ma cztery samoloty HC-130. 1 czerwca 2017 roku jednostka otrzymała pierwszy egzemplarz HC-130J Combat King II, w zastępstwie za HC-130P. Z kolei w 212 Eskadrze służą spadochroniarze-ratownicy. Na lotnisku Eielson

AMERYKANIE NIE ZLEKCEWAŻĄ BEZPIECZEŃSTWA ALASKI, M.IN. ZE WZGLĘDU NA ZNAJDU- JĄCE SIĘ TAM BOGAC- TWA NATURALNE, TAKIE JAK ROPA NAFTOWA, GAZ ZIEM- NY, ZŁOTO, PLATYNA CZY URAN

stacjonuje 168 Skrzydło Tankowania Powietrznego. Jego 168 Eskadra wyposażona jest od 1995 roku w dziewięć samolotów KC-135R Stratotanker.

Oprócz Gwardii Narodowej istnieją niewielkie Siły Obronne Stanu Alaska (Alaska State Defense Force) zorganizowane na wzór żandarmerii wojskowej i podległe gubernatorowi stanu. Zgodnie z ich statutem nie mniej niż 75% personelu mają stanowić byli wojskowi.

KLIMATYCZNE WYZWANIA

Z powodu ocieplenia klimatu topnieją arktyczne lody, a zatem z roku na rok ten region staje się coraz bardziej dostępny dla żeglugi. Oznacza to konieczność zwiększenia ochrony granic, co wcześniej zapewniała w dużej mierze natura – dlatego do tej pory na Alasce nie stacjonują na stałe żadne okręty marynarki wojennej USA. Wybrzeży o długości 53 tys. km i okalające ją wody chroni zaś Straż Przybrzeżna, która ma do dyspozycji 13 kutrów patrolowych oraz małe łodzie. W Ketchikan znajduje się jedyny należący do Straży Przybrzeżnej suchy dok na terytorium Alaski. W tym regionie są jeszcze dwie stacje lotnicze – w Kodiaku stacjonują samoloty HC-130H oraz śmigłowce MH-60T Jayhawk i MH-65D Dolphin, a w Sitce – tylko MH-60T.

Istotną słabością amerykańskiej Straży Przybrzeżnej są lodołamacze. Dwie jednostki typu Polar, pochodzące z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, to zdecydowanie za mało. Tym bardziej że tylko jedna jest w służbie operacyjnej, bo druga stanowi rezerwuariat części zamiennych. Politycy i wojskowi są zgodni co do tego, że pilnie potrzeba nowych lodołamaczy. Jak zauważył reprezentujący Alaskę senator Dan Sullivan, Rosja ma ich ponad 40 i kolejne są w budowie. Ze względu na zachodzące w Arktyce zmiany potrzebę posiadania jednostek tej klasy widzi komendant Straży Przybrzeżnej adm. Paul Zukunft. Nowe lodołamacze powinny być przystosowane do zamontowania w razie potrzeby różnorodnego uzbrojenia, w tym pocisków przeciwokrętowych. Straż chciałaby dostać po trzy ciężkie i średnie jednostki. Ciężka przy prędkości 3 w. powinna skruszyć lód o grubości 183 cm, a średnia – o grubości 137 cm.

Amerykanie nie zlekceważą bezpieczeństwa Alaski, m.in. ze względu na znajdujące się tam bogactwa naturalne, takie jak ropa naftowa, gaz ziemny, złoto, platyna czy uran. ■



Targi Kielce

exhibition & congress centre



1918 • 2018

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



MSPO

XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018, Kielce

Partner strategiczny



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

www.mspo.pl

RAFAŁ CIASTOŃ

**Czy dojdzie
do bezprecedensowego
spotkania Donalda Trumpa
z Kim Dzong Unem?**

SZCZYT NADZIEI

Jeszcze kilka tygodni przed rozpoczęciem igrzysk olimpijskich w Pjongczangu nie było wiadomo, w jakiej atmosferze będą one przebiegać. Czy komunistyczny reżim Korei Północnej nie zdecyduje np. o przeprowadzeniu kolejnego testu pocisku balistycznego pośredniego czy międzykontynentalnego zasięgu? Odwilż, która nastąpiła w relacjach między państwami koreańskimi dzięki zgodzie Kim Dzong Una na udział sportowców z Północy w igrzyskach, nie zakończyła się jednak po samym wydarzeniu. Ostatnim, a zarazem bezprecedensowym jej akordem jest zapowiedź zorganizowania szczytu przywódców Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej i Stanów Zjednoczonych. Czy faktycznie dojdzie do takiego spotkania, a jeśli tak, to co ono może oznaczać?

GORĄCY ROK

Do tej pory się nie zdarzyło, aby urzędujący prezydent Stanów Zjednoczonych spotkał się z przywódcą Korei Północnej. Nigdy też, przed kwietniowym spotkaniem, lider komunistycznego państwa nie postawił stopy na terytorium południowego sąsiada. W Panmundżom

odbył się bowiem trzeci w historii, a pierwszy poza Pjongjangiem, szczyt przywódców obu państw koreańskich. Nie powinno to aż tak dziwić, ponieważ w marcu doszło do jeszcze jednego historycznego wydarzenia – po raz pierwszy od objęcia urzędu, czyli od grudnia 2011 roku, Kim Dzong Un udał się w podróż zagraniczną – odwiedził Chiny, żeby spotkać się z Xi Jinpingiem. Skąd takie nagłe ożywienie relacji autarkicznego reżimu ze światem zewnętrznym?

Aby lepiej pojąć dynamikę ostatnich tygodni, należy na chwilę wrócić do wydarzeń z zeszłego roku. W lutym Korea Północna przeprowadziła test pocisku balistycznego Pukkuksong-2, o zasięgu szacowanym na około 1200 do nawet 3 tys. km. Kolejna, również udana, próba nowej konstrukcji odbyła się w maju. Ten pocisk jest napędzany paliwem stałym, a zatem nie wymaga tankowania zbiorników przed startem, co oznacza, że czas potrzebny na przygotowanie do odpalenia można liczyć w minutach, a nie godzinach. Opracowanie silników na paliwo stałe, a także samego paliwa świadczy o znaczącym postępie technologicznym północnokoreańskich naukowców. Tymczasem test

TRUDNO DZIŚ SIĘ SPODZIEWAĆ, BY PRAWDZIWĄ INTENCJĄ KRLD BYŁA DENUKLE- ARYZACJA W TA- KIEJ FORMIE, JAK OCZEKIWAŁYBY TEGO USA I KOREA POŁUDNIOWA

Pukkuksonga-2 to zaledwie zapowiedź tego, co miało nastąpić później.

W kwietniu rozpoczęto serię testów pocisku Hwasong-12. Po trzech niepowodzeniach czwarta próba zakończyła się sukcesem, podobnie zresztą jak dwie kolejne. Podczas ostatniej pocisk poruszał się po nietypowej dla KRLD trajektorii, czyli spłaszczonej i wydłużonej, dzięki czemu przeleciał 3700 km. Według niektórych źródeł zasięg może wynieść nawet 6 tys. km, a zatem byłby to już pocisk międzykontynentalny (Intercontinental Ballistic Missile – ICBM), a nie pośredniego zasięgu (Intermediate-range Ballistic Missile – IRBM).

4 lipca, w dniu amerykańskiego święta niepodległości, Kim Dzong Un zdecydował o przeprowadzeniu testu pocisku Hwasong-14. Szacuje się, że jego zasięg mieści się w przedziale 6700–10 tys. km. W listopadzie okazało się, że komunistyczny reżim dysponuje jeszcze jednym typem ICBM – Hwasong-15, o zasięgu nawet 13 tys. km,

czyli obejmującym całe terytorium Stanów Zjednoczonych. W ubiegłym roku została wykonana również szósta próba jądrowa, której moc wynosiła co najmniej 60 kT.

W odpowiedzi na działania reżimu wspólnota międzynarodowa nałożyła na Koreę Północną kolejne sankcje, m.in. ograniczono o 75% dostawy ropy naftowej, restrykcje dotknęły też eksportu węgla, a do kraju mają powrócić zatrudnieni za granicą północnokoreańscy robotnicy. Amerykanie objęli ponadto własnymi sankcjami osoby fizyczne i podmioty, które nie przestrzegały wprowadzonych przez ONZ ograniczeń. Te działania zapewne mocno zabolą Pjongjang.

Dziś pewnie mało kto pamięta, że po objęciu przez Kim Dzong Una partyjnych i państwowych stanowisk wielu analityków miało nadzieję, że będzie się to wiązało z większą troską o rozwój ekonomiczny państwa. Dotyczyło to nawet broni jądrowej – według założeń tzw. polityki Byungjin, jej pozyskanie miało być tańsze niż konwencjonalnego uzbrojenia. Niezależnie od oceny takich działań w 2016 roku wzrost gospodarczy KRLD osiągnął poziom 3,9% i był najwyższy od 1999 roku. Dziś nie ma już jednak szans na podobny wynik, może więc uznano, że należy spróbować ocieplić relacje ze światem zewnętrznym, co przełoży się na złagodzenie sankcji.

PERSPEKTYWA PRZEŁOMU

Delegacji KRLD przybyłej na otwarcie zimowych igrzysk olimpijskich przewodniczyła siostra dyktatora Kim Jo Dzong. Ona też przekazała prezydentowi Republiki Korei Moon Jae-inowi zaproszenie na spotkanie z bratem. W pierwszych dniach marca do Pjongjangu przybyła zatem delegacja z Południa, która miała omówić kwestie spotkania obu liderów, a jednocześnie zabiegać o zorganizowanie szczytu z przedstawicielami USA. Już 6 marca służba prasowa Błękitnego Domu, jak nazywany jest pałac prezydencki w Seulu, poinformowała, że zdaniem Kim Dzong Una w agendzie rozmów z Amerykanami mogłaby znaleźć się sprawa denuklearyzacji półwyspu, co miało być życzeniem poprzedniego dyktatora Kim Dzong Ila, →

wyrażonym na łożu śmierci. Po zakończeniu rozmów w Pjongjangu delegacja udała się do Białego Domu. Jak Kim Dzong Un napisał w liście do Donalda Trumpa, żywi nadzieję, że do dwustronnego spotkania uda się doprowadzić do końca maja 2018 roku.

Zgodnie z wcześniejszymi zapewnieniami do tego czasu KRLD powstrzyma się od wszelkich prowokacyjnych zachowań, tj. od przeprowadzania testów rakietowych lub jądrowych. Trump przyjął zaproszenie, choć nie doprecyzowano jeszcze daty i miejsca spotkania. Wydaje się, że Amerykanie czekają na efekty miniszczytu w Panmundżom.

Co ciekawe, temat bezprecedensowego spotkania rzadko pojawia się w mediach północnokoreańskich, w tym również w oficjalnym dzienniku partyjnym „Rodong Sinmun”, który chętnie przywołuje przykład Iraku, osłabionego międzynarodowymi sankcjami, a następnie zaatakowanego przez Stany Zjednoczone. Odnosi się też do tego, że przywódca Libii w 2003 roku zgodził się na porzucenie programu jądrowego, co jednak nie uchroniło go przed zbrojnym wsparciem przez Zachód rewolucji, która doprowadziła do jego ostatecznego upadku.

Trudno się dziś spodziewać, by prawdziwą intencją KRLD była denuklearyzacja w takiej formie, jak oczekiwaby tego Stany Zjednoczone i Korea Południowa. Kim podczas spotkania z Xi Jinpingiem stwierdził m.in., że ta kwestia może być rozwiązana, jeśli „Korea Południowa i USA odpowiedzą na nasze wysiłki dobrą wolą, stworzeniem atmosfery pokoju i stabilności. Będzie to wymagać stopniowych i jednoczesnych kroków”. Powstaje zatem pytanie, jakie oczekiwania zgłosi Północ i w jakim stopniu druga strona będzie w stanie je zaakceptować, tym bardziej że rozmowy o denuklearyzacji miały zostać podjęte bez żadnych warunków wstępnych – na taką formułę zgadzał się Trump.

Wydaje się raczej mało prawdopodobne, by wspomniane oczekiwania ograniczały się jedynie do podpisania traktatu pokojowego oraz udzielenia przez stronę amerykańską jednostronnych gwarancji bezpieczeństwa. Jeśli zaś w agendzie rozmów znajdzie się np. kwestia zaprzestania przez USA i Republikę Korei wspólnych ćwiczeń czy też ograniczenia amerykańskiej obecności na półwyspie, bez wątpienia nie przyniosą one rezultatu.

ZASŁONA DYMNA

Sygnaly z Korei Północnej, niezwiązane wprawdzie bezpośrednio ze szczytem, ale pozwalające w pewien sposób interpretować panującą atmosferę, trudno jednoznacznie ocenić. Z jednej strony pojawiają się np.



Siegfried Hecker – amerykański fizyk, który kilkakrotnie odwiedził KRLD – zauważa, że pomysł szczytu obydwie strony mogą traktować i przedstawiać jako swój sukces.

doniesienia o zredukowaniu o połowę liczby żołnierzy pracujących w rejonie podziemnego poligonu w Punggye-ri, miejscu testów nuklearnych, z drugiej jednak nie wiadomo, w jakim stopniu jest to związane z ograniczeniem prac, a w jakim z występowaniem wstrząsów wtórnych po dotychczasowych eksplozjach i spowodowanych nimi trudnościami z drażnieniem kolejnych tuneli.

Pojawiły się także doniesienia o próbnym rozruchu nowego reaktora w Jongbjon, którego możliwości produkcyjne „Jane’s Intelligence Review” szacuje na 20 kg plutonu rocznie. Być może Koreańczycy z Północy

chcą jedynie zademonstrować możliwości, z których mogliby ostentacyjnie zrezygnować w trakcie rozmów. Jeśli bowiem prawdą jest, że instalacje jądrowe zostały rozproszone po kraju, rezygnacja z Jongbjon nie byłaby kluczowa dla programu nuklearnego.

Podobnie sprawa wygląda z pociskami balistycznymi. Choć w połowie marca 2018 roku „New York Times” donosił o pracach w bazie, z której w listopadzie ubiegłego roku wystrzelono Hwasong-15, to również one mogą być prowadzone jedynie na pokaz, a zaprzestanie ich może zostać przedstawione jako kolejny gest dobrej woli.

ZAPROSZENIE DO STOŁU

Wkrótce okaże się, czy dojdzie do majowego spotkania Kim Dzong Una z Donaldem Trumpem. Wizyta dyktatora w Pekinie to jednak wyraźny sygnał świadczący o tym, że po latach awanturniczej polityki międzynarodowej reżim szuka oparcia w jedynym miejscu, w którym może je znaleźć. Zasiadając do stołu rozmów, Kim musi wiedzieć, na ile będzie mógł sobie pozwolić i do którego momentu jego stanowisko wesprą Chiny.

W jednym z wywiadów Siegfried Hecker, amerykański fizyk, który kilkakrotnie odwiedził KRLD, wizytując przy tym instalacje nuklearne w Jongbjon, słusznie zauważa, że pomysł szczytu obydwie strony mogą traktować i przedstawiać jako swój sukces. Kim siada do stołu rozmów jako przywódca mocarstwa jądrowego, które przynajmniej w teorii może zagrozić terytorium Stanów Zjednoczonych. Z kolei atutem Trumpa jest to, że jego polityka sankcji i nacisku na Pjongjang zmusiły dyktatora do poszukiwania dialogu. Jak jednak dodaje naukowiec, administracja amerykańska powinna traktować spotkanie jako początek długiej drogi, a nie punkt docelowy, w którym problemy północnokoreańskiego programu jądrowego i balistycznego zostaną rozwiązane. ■

Start rakiety nośnej satelitów Simorgh w Iranie pokazany na oficjalnej stronie internetowej irańskiego ministerstwa obrony, 27 lipca 2017 roku.



IRANIAN DEFENSE MINISTRY

PRZEMYSŁAW OSIEWICZ

Problem nie z tej Ziemi

Największym zagrożeniem dla irańskiego programu kosmicznego jest zmiana priorytetów polityków z Teheranu.

Irańskie ambicje związane z eksploracją przestrzeni kosmicznej sięgały lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, ale na przeszkodzie w realizacji pierwszych projektów stanęły rewolucja z 1979 roku oraz wyniszczająca wojna iracko-irańska. Dopiero na przełomie wieków sytuacja polityczna i finansowa pozwoliła na wznowienie programu, tym razem znacznie bardziej rozbudowanego i ambitnego.

W 2003 roku minister obrony Ali Szamchani ogłosił, że w ciągu kolejnych 18 miesięcy Iran stanie się pierwszym w historii państwem muzułmańskim prowadzącym badania z użyciem własnego satelity, który zostanie wyniesiony na orbitę okołozemską za pomocą irańskiej rakiety nośnej,

wystrzelonej z własnego centrum kosmicznego. Niewielu ekspertów wówczas wierzyło w te zapowiedzi.

Przełom nastąpił już w 2004 roku, gdy powstała Irańska Agencja Kosmiczna (Iranian Space Agency, ISA/Sázmán e Fazái e Irán). To był czytelny sygnał nie tylko dla innych państw w regionie. Iran miał ambicję dołączenia do światowej czołówki azjatyckiego wyścigu kosmicznego. Plan eksploracji przestrzeni kosmicznej zyskiwał symboliczne znaczenie w wizerunkowej rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi, Izraelem czy niektórymi państwami arabskimi, ze szczególnym wyróżnieniem Arabii Saudyjskiej. Niektórzy badacze, jak Louis Brennan czy Alessandra Vecchi, wskazują, że to właśnie wzrost aktywności i obecność



Stanów Zjednoczonych w regionie, zwłaszcza w sąsiadujących z Iranem Iraku oraz Afganistanie, stały się głównym impulsem do rozwoju irańskiego programu kosmicznego.

PIERWSZE PRÓBY

Już rok po utworzeniu agencji na orbicie umieszczono pierwszego satelitę Sinah-1. Wówczas Irańczycy nie dysponowali jednak ani własnym kosmodromem, ani rakieta nośną, musieli więc skorzystać z usług rosyjskich firm. Do wyniesienia satelity wykorzystano rakietę Kosmos-3M, a wszystko odbyło się na znanym i często wykorzystywanym w celach komercyjnych kosmodromie w Plesiecku. Po tym wydarzeniu Iran stał się 43. państwem w historii, które ma na orbicie przynajmniej jednego satelitę. Kolejny, czyli Huanjing, powstał we współpracy z Chińską Republiką Ludową oraz Tajlandią. Do jego wystartowania z Centrum Startowego Satelitów Taiyuan w 2008 roku użyto chińskiej rakiety Chang Zheng 2C.

W 2009 roku Irańczycy wystartowali rakieta nośną własnej konstrukcji, Safir, która posłużyła do wyniesienia na orbitę satelity Omid, a dwa lata później – Rasad-1. W 2012 roku pojawił się tam Ya Mahdi, a w 2015 roku – Fajr. Chociaż w tych czterech przypadkach Iran używał tylko własnych rakiet nośnych wystartowanych z centrum kosmicznego w Semnan, nie oznacza to, że wszystkie tego rodzaju projekty zakończyły się sukcesem. Najprawdopodobniej dwie pierwsze próby wyniesienia Fajra nie były udane.

Niepowodzeniem zakończył się również projekt wyniesienia na orbitę satelity telekomunikacyjnego Mesbah, ale nie ze względu na problemy techniczne, lecz polityczne. Satelitę skonstruowano we Włoszech, ale w 2011 roku włoski rząd – w związku z sankcjami nałożonymi wówczas na Iran przez Radę Bezpieczeństwa ONZ – oświadczył, że nie wyrazi zgody na przekazanie go Teheranowi.

ZWIERZĘTA NA ORBICIE

W 2010 roku Irańczykom udało się wysłać na orbitę owady, szczura oraz dwa żółwie, które bezpiecznie sprowadzono na Ziemię. Małpę po nieudanych próbach udało się wysłać na orbitę w styczniu 2013 roku. Loty z udziałem zwierząt stanowiły kolejną fazę przygotowań do pierwszego w historii irańskiego lotu załogowego.

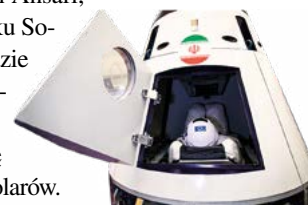


OBYWATELKA STANÓW ZJEDNOCZONYCH IRAŃSKIEGO POCHODZENIA, ANOUSHEH ANSARI, ZOSTAŁA WYNIESIONA NA ORBITĘ W STATKU SOJUZ I SPĘDZIŁA DZIESIĘĆ DNI NA POKŁADZIE MIĘDZYNARODOWEJ STACJI KOSMICZNEJ. BYŁA CZWARTYM W HISTORII ORBITALNYM TURYSTĄ, BO ZA TĘ PRZYGODĘ ZAPŁAĆIŁA ROSJANOM OKOŁO 20 MLN DOLARÓW

Teheran sondował możliwość wysłania swoich astronautów na orbitę okołozemską już pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. W 1990 roku prezydent Ali Akbar Haszemi Rafsandżani poruszył nawet tę kwestię w rozmowie z radzieckim przywódcą Michaiłem Gorbaczowem. Według pierwotnych planów rozważano możliwość irańsko-radzieckiego lotu do radzieckiej stacji kosmicznej Mir. Wkrótce jednak nastąpił rozpad Związku Radzieckiego i wspólny projekt zawieszono.

Irańska Agencja Kosmiczna dopiero w 2005 roku ogłosiła, że jednym z jej celów jest przygotowanie lotu załogowego. Zaskoczeniem była zaś wiadomość, że misja miała zostać przygotowana z wykorzystaniem tylko własnych zasobów i infrastruktury. Zbieg okoliczności sprawił, że rok później obywatelka Stanów Zjednoczonych irańskiego pochodzenia, Anousheh Ansari, została wyniesiona na orbitę w statku Sojuz i spędziła dziesięć dni na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Była czwartym w historii orbitalnym turystą, bo za tę przygodę zapłaciła Rosjanom około 20 mln dolarów.

W lutym 2015 roku po raz pierwszy zaprezentowano prototyp kapsuły załogowej Kavoshgar, w której irański astronauta miał zostać wyniesiony na wysokość około 175 km, a następnie bezpiecznie sprowadzony na Ziemię.



W 2010 roku prezydent Mahmud Ahmadineżad ogłosił, że Iran wyśle na orbitę swojego astronautę do 2019 roku (Teheran zamierza podobno wysłać misję załogową na Księżyc do 2025 roku). W lutym 2013 roku w przemówieniu z okazji narodowego dnia technologii kosmicznej podobno zadeklarował: „Jestem gotów być pierwszym Irańczykiem, którego badacze poświęcą i wyślą w przestrzeń kosmiczną. Choć wiem, jak wielu jest kandydatów”.

Ostatecznie w lutym 2015 roku po raz pierwszy zaprezentowano prototyp kapsuły załogowej Kavoshgar, w której irański astronauta miał zostać wyniesiony na wysokość około 175 km, a następnie bezpiecznie sprowadzony na Ziemię. Kiedy pokazywano ją prezydentowi Hasanowi Rouhaniemu, ten oświadczył: „Nie prosimy i nie będziemy nikogo prosić o zgodę na postęp w nauce i rozwoju wiedzy. Islamska Republika Iranu osiągnie kolejne sukcesy w eksploracji przestrzeni kosmicznej w ciągu najbliższych dwóch lat”. Niemniej jednak już wtedy było prawdopodobne, że rząd zawiesi finansowanie tego projektu i nie będzie on kontynuowany w perspektywie krótkoterminowej.

NIEZNANA PRZYSZŁOŚĆ

Wielu obserwatorów utrzymywało, że podstawowym celem irańskiego programu kosmicznego nie tyle była eksploracja przestrzeni w celach pokojowych, ile było nim prowadzenie badań i testów nad raketami nośnymi, aby wykrzystać niektóre technologie w raketach strategicznych. Podobną metodę zastosowały już wcześniej takie państwa, jak Chiny, Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna oraz Pakistan. Irański program raketowy nadal budzi sporo kontrowersji, a kontynuowanie prac i testów w jego ramach jest krytykowane przez społeczność międzynarodową, zwłaszcza prezydenta USA Donalda Trumpa.

Jednakże największe zagrożenie dla kontynuacji irańskiego programu kosmicznego stanowi zmiana priorytetów polityków z Teheranu. Irańska Agencja Kosmiczna przestała dysponować tak znaczącym budżetem, jaki zapewnił jej prezydent Mahmud Ahmadineżad. Obecny rząd nie przywiązuje zbyt dużej wagi do osiągnięć w tej dziedzinie, co przekłada się na wstrzymanie największych projektów, w tym przygotowań do zorganizowania pierwszego w historii irańskiego lotu załogowego. Jeżeli polityka prezydenta nie ulegnie zmianie w ciągu najbliższych dwóch lat, agencja może przestać istnieć. Z drugiej strony, w obliczu znaczących problemów finansowych trudno się spodziewać nagłej zmiany decyzji i przesunięcia miliardów dolarów na realizację programu kosmicznego kosztem, na przykład, projektów socjalnych. Protesty społeczne z początku 2018 roku dowiodły, że irańskie społeczeństwo oczekuje głównie odczuwalnej poprawy jakości życia, a nie symbolicznych sukcesów w postaci udanych misji kosmicznych. ■

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Polska Zbrojna

**MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY
O POLSKIEJ ARMII**



**ZAPRASZAMY
DO PRENUMERATY
REDAKCYJNEJ**

**KOSZT 1 EGZEMPLARZA
„POLSKI ZBROJNEJ” – 6,50 Zł.**

**Warunkiem wysyłki egzemplarzy
jest złożenie zamówienia na adres
prenumerata@zbrojni.pl
lub telefonicznie: 261 840 400
oraz wpłata odpowiedniej kwoty na nasze konto:
23 1130 1017 0020 1217 3820 0002
Wojskowy Instytut Wydawniczy
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa**

TADEUSZ WRÓBEL

Wysoka cena autonomii

Francuzi zamierzają przeznaczyć na obronność niemal 300 mld euro. Dzięki temu osiągną oczekiwany przez NATO poziom wydatków na ten cel, czyli 2% produktu krajowego brutto.

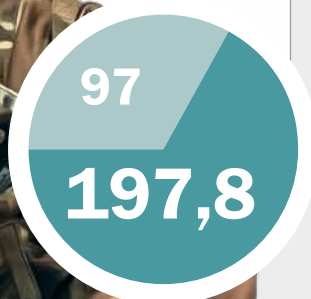
Zgromadzenie Narodowe, izba niższa francuskiego parlamentu, przyjęła 27 marca projekt ustawy o programowaniu wojskowym na lata 2019–2025 zawierający różne przepisy dotyczące obrony, który francuska minister sił zbrojnych Florence Parly zaprezentowała w lutym członkom rady ministrów. Parlamentarzyści wprowadzili w niej pewne poprawki. Ustawę musi zaakceptować jeszcze Senat. Według dokumentu przez siedem lat Francja zamierza przeznaczyć bardzo duże środki finansowe na modernizację sił zbrojnych. Celem inwestycji będzie zapewnienie sobie autonomii w zewnętrznych działaniach militarnych. Francuska armia ma być zdolna do równoczesnego udziału w kilku operacjach wojskowych o różnym poziomie natężenia. Oczywiście przy założeniu, że będą one miały charakter koalicyjny. W projekcie sporo miejsca poświęcono również odstraszaniu nuklearnemu. Władze w Paryżu zamierzają do 2023 roku przeznaczyć na modernizację sił zbrojnych 25 mld euro.

ATOMOWY DUET

Francja jest jednym z trzech państw członkowskich NATO dysponujących własnym arsenałem atomowym. Przy czym Brytyjczycy współpracują w tej dziedzinie z Amerykanami, a nuklearne zasoby Francuzów mają zdecydowanie ➔

WYDATKI OBRONNE

[MLD EURO]



93 tys.
karabinków
HK-416

55 tys.
najnowszych
kamizelek
kuleoodpornych

43 tys.
hełmów

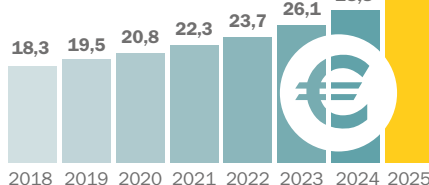
165 tys.
kompletów ubiorów
ochronnych przed
skażeniami bronią
masowego rażenia

P K / D Z I A Ł G R A F I C Z N Y , N A T O

LECLERC
czołg
modułowy,
podstawowa
maszyna pola
walki wojsk
lądowych



WYDATKI NA MODERNIZACJĘ TECHNICZNĄ [MLD EURO]



PODSTAWOWE TYPY UZBROJENIA WOJSK LĄDOWYCH

Typ uzbrojenia	2019	2025
Czołgi		
Leclerc	241	200 (122 zmodernizowane)
Bojowe wozy piechoty		
VBCI	629	629
Wozy rozpoznawcze		
AMX-10RC	250	150
ERC 90	80	0
Jaguar	0	150
Kołowe transportery i inne pojazdy opancerzone		
VAB	2661	1545
VBMR Griffon	3	936
VBMR léger	0	489
VBL	1394 (3 zmodernizowane)	1387 (733 zmodernizowane)
Pojazdy z systemami uzbrojenia	930	930 (200 VBMR léger)
Sprzęt artyleryjski		
Caesar	77	109
AMX AUF-1 155 mm	32	0
MLRS	13	13
TRF-1 155 mm	12	0
Śmigłowce szturmowe i rozpoznawcze		
Tigre	70	67
Gazelle	94	80
Śmigłowce manewrowe		
NH-90 TTH	34	70
Caracal	8	8
Cougar	26 (24 zmodernizowane)	26 (26 zmodernizowanych)
Puma	52	11



MISTRAL może transportować od 450 do 900 żołnierzy desantu oraz do 70 wozów bojowych



GAZELLE może pełnić rolę m.in. śmigłowca przeciwpancernego.

PODSTAWOWE TYPY UZBROJENIA MARYNARKI WOJENNEJ

Typ okrętu	2019	2025
Lotniskowce		
Charles de Gaulle	1	1
Okręty podwodne		
Le Triomphant	4	4
Rubis	6	2
Barracuda (Suffren)	0	4
Fregaty		
FREMM ZOP/OP	5/0	6/2
La Fayette	5	5
Georges Leygues	3	0
Horizon	2	2
Cassard	2	0
FTI	0	2
Fregaty dozoru		
Floréal	6	6
Okręty dowodzenia i projekcji siły		
Mistral	3	3
Niszczyciele min		
Eridan	11	5
Morskie samoloty patrolowe		
Atlantique 2	22	18



RUBIS okręt myśliwski z napędem atomowym przeznaczony do zwalczania żeglugi i innych okrętów podwodnych

PODSTAWOWE TYPY SAMOLOTÓW SIŁ POWIETRZNYCH

Typ samolotu	2019	2025
Samoloty bojowe		
Mirage 2000	111	82
Rafale	102	129
Samoloty transportu strategicznego i latające tankowce		
KC-135F	14	3
A330 MRTT	1	12
A310	3	0
A340	2	2
Samoloty transportu taktycznego		
A400M	14	25
C-130H/J	14/2	14/4
C-160	18	0
Samoloty wczesnego ostrzegania		
E-3F AWACS	4	4

E-3F AWACS zostanie zmodernizowany, co m.in. zmniejszy koszty jego utrzymania.



LEKKIE UZBROJENIE I WYPOSAŻENIE INDYWIDUALNE

Nowy plan rozwoju na lata 2019–2025 przewiduje zwiększenie zakupów karabinków automatycznych HK-416 z wcześniej planowanych 60 tys. do 93 tys. Wojsko ma też dostać o 400 więcej przeciwpancernych pocisków kierowanych MMP nowej generacji (w planach na lata 2014–2019 przewidziano 1550). Resort obrony inwestuje również w środki ochrony indy-

widualnej. Żołnierze będą mieli nowe mundury uszyte z niepalnego materiału. Najpierw trafią one do wojskowych przebywających na misjach zagranicznych, a do wszystkich – do 2025 roku. Do tego czasu zostanie kupionych 55 tys. najnowszych kamizelek kuloodpornych. Pierwsi zostaną w nie wyposażeni żołnierze Gwardii Narodowej, formacji utworzonej 13 październi-

ka 2016 roku w związku ze wzrostem wewnętrznych zagrożeń dla bezpieczeństwa kraju. W latach 2019–2025 wojsko kupi też blisko 43 tys. hełmów. W 2020 roku siły zbrojne otrzymają 32 tys. kompletów ubiorów ochronnych przed skażeniami bronią masowego rażenia. Do końca 2025 roku liczba nabytych zestawów zwiększy się do prawie 165 tys.



D C N S

FRANCUZI STAWIAJĄ TEŻ NA SIŁY KONWENCJONALNE. CHCĄ, ŻEBY MIAŁY ONE ZDOLNOŚĆ ODSTRASZANIA I OCHRONY TERYTORIUM KRAJU



Minister obrony Francji Florence Parly: „Długoterminowo zaspokajane potrzeby sił zbrojnych gwarantują naszą autonomię i wspierają budowę europejskiej strategicznej autonomii”.

charakter narodowy. Ich odstraszenie nuklearne składa się z dwóch komponentów. Morski stanowią cztery atomowe okręty podwodne typu Le Triomphant, z których pierwszy wszedł do służby w 1997 roku. W 2020 roku powinny zaś ruszyć prace nad jednostką podwodną nowej generacji w ramach programu SNLE3G. Tymczasem zdecydowano się wymienić uzbrojenie okrętów już istniejących. Rakiety balistyczne M45 zastąpiono wersją M51, a teraz trwają prace nad kolejną – M51.3, o zasięgu większym o kilkaset kilometrów.

Atomowy komponent lotniczy składa się z samolotów bojowych Mirage 2000N i pewnej liczby maszyn Rafale uzbrojonych w pociski manewrujące ASMPA z głowicami termonuklearnymi. Od 2000 roku do użytku weszła wersja K3 dla Mirage 2000N, a dziesięć lat później F3 dla Rafale. Niebawem pozostanie tylko jeden nosiciel pocisków, bo służbę zakończą samoloty Mirage 2000N. Przewiduje się jednak modernizację ASMPA do 2020 roku, a następnie konstrukcję ich następcy (program ASN4G).

SIŁY NA MIARĘ ZAGROŻEŃ

Francuzi stawiają też na siły konwencjonalne. Chcą, żeby miały one zdolność odstraszenia i ochrony terytorium kraju. Muszą być również przygotowane do działań stabilizacyjnych, antyterrorystycznych czy przeciwirebelianckich, a także do użycia, nawet w bardzo krótkim czasie, w operacjach o wysokiej intensywności na morzu, lądzie i w powietrzu

oraz w działaniach w przestrzeni kosmicznej i cybernetycznej.

W odniesieniu do operacji zarządzania kryzysowego i interwencyjnych Francuzi zakładają, że siły zbrojne mogą być zaangażowane jednocześnie na trzech teatrach. Muszą być też gotowe do objęcia dowodzenia działaniami koalicyjnymi. Powinny wtedy wystawić poszczególne dowództwa szczebla strategicznego i operacyjnego, z niezbędnymi elementami wsparcia dowodzenia, zabezpieczenia medycznego, cybernetycznego, logistycznego, rozpoznania i walki elektronicznej.

Siedemdziesięciosiedmiotysięczne siły operacyjne wojsk lądowych będą mogły wystawić równowartość brygady ogólnowojskowej w liczbie 6–7 tys. żołnierzy z czterema batalionowymi grupami bojowymi wyposażonymi w nowoczesny sprzęt pancerny. Do tego przewidywane są jednostki wsparcia, batalion saperów, jedna–dwie grupy aeromobilne, grupa rozpoznania wielosensorowego, grupa łączności, trzy grupy logistyczne oraz jeden–dwa dywizjony artylerii.

Marynarka wojenna zaś powinna móc wysłać grupę bojową lotniskowca, w której znalazłyby się jeden–dwa okręty dowodzenia i projekcji sił, jak określone są we Francji śmigłowcowce desantowe typu Mistral, w eskorcie sześciu fregat i patrolowca oraz uderzeniowego okrętu podwodnego o napędzie atomowym. Do tego dochodziłyby siły wsparcia: grupa wojny minowej, trzy morskie samoloty

patrolowe Breguet Atlantique 2 oraz jeden–dwa okręty wsparcia logistycznego.

Siły powietrzne muszą być gotowe do zorganizowania dwóch–trzech wysuniętych baz lotniczych, w których rozmieszczonych byłoby do 14 myśliwców mających wsparcie czterech latających tankowców. Do operacji o małym natężeniu Francuzi przewidują też pięć taktycznych samolotów transportowych, jeden–dwa walki elektronicznej, siedem lekkich maszyn obserwacyjno-rozpoznawczych, a także sześć systemów bezzałogowych klasy MALE, w tym uzbrojone, oraz pododdział śmigłowców do misji CSAR (ratownictwa bojowego). Siły specjalne miałyby wystawić dwa duże pododdziały i jeden mniejszy wraz ze śmigłowcami i samolotami transportowymi.

AMBITNE PLANY

Francuskie siły zbrojne zamierzają osiągnąć zdolność do włączenia się w dużą operację militarną w sytuacji, w której już są zaangażowane w misje stabilizacyjne, antyterrorystyczne lub przeciw rebeliantom. W tym wypadku chcą również wystawić po jednym dowództwie szczebla strategicznego i operacyjnego z jednostkami wsparcia i zabezpieczenia. Siły lądowe będą miały zdolność do dowodzenia na szczeblu korpusu oraz różne zdolności narodowe w dziedzinach dowodzenia, rozpoznania i logistyki na szczeblu dywizji. Zgodnie z założeniami na potrzeby takiej operacji Francuzi mają wystawić dwie brygady ogólnowojskowe. Ich siły dysponowałyby m.in. 140 czołgami Leclerc, 800 transporterami i bojowymi wozami piechoty, 130 wozami rozpoznawczymi Jaguar, 48 samobieżnymi haubicami kalibru 155 mm Caesar i 64 śmigłowcami.

Marynarka wojenna do dużej operacji miałaby przygotować dowództwo oraz zgrupowanie okrętów składające się z lotniskowca, dwóch mistrali, do ośmiu fregat, dwóch uderzeniowych okrętów podwodnych, jednostki walki minowej i zaopatrzeniowej. Lotnictwo morskie wystawiłoby pięć samolotów patrolowych.

Od sił powietrznych oczekuje się utworzenia dowództwa i dwóch–trzech wysuniętych baz lotniczych z systemami obrony przeciwlotniczej oraz środkami CSAR. Francuzi chcą wystawić do 45 myśliwców wspartych przez dziewięć samolotów transportu strategicznego i tankowania powietrznego Airbus 330 MRTT. Poza tym w komponencie lotniczym znalazłoby się 16 taktycznych samolotów transportowych, cztery lekkie maszyny obserwacyjno-rozpoznawcze oraz cztery systemy uzbrojonych dronów. Na potrzeby dużej operacji przygotowane byłyby też komponenty wojsk specjalnych i cybernetyczny.

Francuzi twierdzą, że muszą utrzymywać w stałej gotowości 5 tys. żołnierzy, aby mieć zdolność do podjęcia

samodzielných działań za granicą. Pierwszy komponent składa się z liczących 2300 żołnierzy sił natychmiastowego reagowania, których trzonem będzie 1500-osobowa taktyczna grupa bojowa, dysponująca pojazdami pancernymi i śmigłowcami. W składzie tego komponentu znajdzie się grupa okrętów na czele z mistralem, do którego – w zależności od potrzeb – będzie można dołączyć fregaty, okręty podwodne i zaopatrzeniowe oraz samoloty patrolowe. Siły powietrzne będą w jego ramach reprezentowane przez kilkanaście myśliwców oraz latające tankowce i śmigłowce CSAR. Znajdą się tu też wojska specjalne.

Planuje się, żeby można było je rozmieścić w odległości do 3000 km od kraju w ciągu siedmiu dni. Z kolei siły morskie i lotnicze mogłyby uderzyć w głąb wrogiego terytorium w czasie poniżej 48 godzin. Co więcej, w ciągu 30 dni będzie można je zwiększyć do 5 tys. żołnierzy, w tym chodzi o jednostki z systemami obrony powietrznej SAMP/T i dronami klasy MALE.

Francuzi zamierzają modernizować i wprowadzić nowe systemy dowodzenia, łączności i rozpoznania, żeby osiągnąć zdolność do samodzielnych działań. Zwiększą zatem liczbę satelitów wywiadu optycznego MUSIS z jednego do trzech. Równocześnie pojawi się pierwszy z trzech planowanych satelitów rozpoznania elektromagnetycznego CERES. Nastąpi również zmiana generacyjna satelitów łączności Syracuse III na Syracuse IV. Z dwóch do pięciu wzrośnie też liczba zestawów bezzałogowych klasy MALE. Ponadto siły zbrojne wzbogacą się o dwa lekkie samoloty rozpoznawcze na platformie King Air 350. Nowy system walki elektronicznej zastąpi z kolei dwa samoloty wywiadu elektronicznego SIGINT, C-160G Gabriel. Ministerstwo podjęło decyzję o podpisaniu umowy na trzy egzemplarze na platformie samolotu biznesowego Falcon Epicure firmy Dassault Aviation, na których znajdzie się specjalistyczne wyposażenie Thalesa. Inną ważną dziedziną inwestycji będzie cyberbezpieczeństwo, gdzie liczba etatów dla żołnierzy wzrośnie z 3 tys. do 4 tys.

Tak szeroko zakrojona modernizacja wymaga znaczących inwestycji w obronność. Dlatego w dokumencie, który minister Parly zaprezentowała rządowi, określono, że wydatki obronne w latach 2019–2023 wyniosą 197,8 mld euro, a w latach 2024–2025 mają się zwiększyć o 100 mld euro. W sumie w latach 2019–2025 Francja zamierza przeznaczyć na obronność 294,8 mld euro. Z tej kwoty na zakupy nowego oraz modernizację już posiadanego uzbrojenia i sprzętu wojskowego oraz inwestycje w infrastrukturę zaplanowano wydać 112,5 mld euro do 2023 roku, a w latach 2024–2025 kolejne 60,3 mld euro. ■



BALT MILITARY EXPO

15. BAŁTYCKIE TARGI MILITARNE



VIII MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
NAUKOWO-TECHNICZNA



GDĄŃSK 25-27 CZERWIEC **2018** amber
expo

WWW.BALTMILITARY.PL



MTG
MIĘDZYNARODOWE
TARGI GDAŃSKIE SA

DYREKTOR PROJEKTU: **MAREK BUCZKOWSKI**
TEL. 58 554 92 13, 693 448 814, FAX 58 554 93 13
MILITARY@MTGSA.COM.PL

TOMASZ OTŁOWSKI

Walka bez pardonu

Coraz częściej słyszymy o nieprzestrzeganiu prawa wojennego i humanitarnego w konfliktach zbrojnych.

Wojna zawsze była gwałtowna, niosła przemoc i cierpienie nie tylko bezpośrednim uczestnikom, lecz także cywilom. Począwszy od połowy XIX wieku, ludzkość jednak zrobiła bardzo wiele, aby złagodzić brutalność konfliktów militarnych oraz zmniejszyć skalę stosowanej w nich przemocy. „Ius in bello” (prawo wojenne i humanitarne) stało się ważną częścią prawa międzynarodowego, na którą składa się kilkadziesiąt umów i traktatów wielostronnych, w tym tak powszechnie znane, jak konwencje haskie czy genewskie. Dzięki determinacji wielu państw i organizacji międzynarodowych minione kilkadziesiąt lat od zakończenia II wojny światowej to czas rozkwitu „ius in bello”. To okres, kiedy wiele z popełnianych na wojnach zbrodni doczekało się penalizacji, a ich sprawcy – osądu i skazania przez międzynarodowe trybunały.

OSŁABIENIE MORALNE PRZECIWNIKA

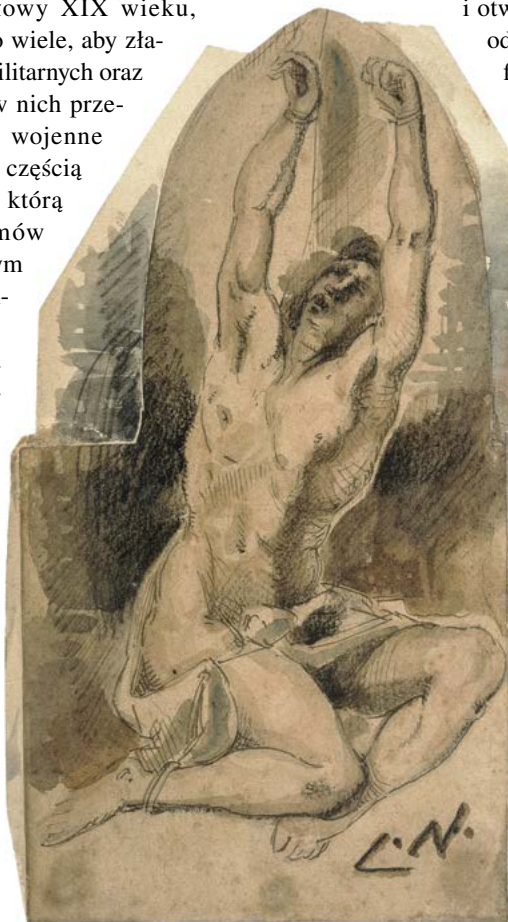
Niestety sporo wskazuje na to, że mamy do czynienia z początkiem wyraźnego regresu w przestrzeganiu prawa wojennego i humanitarnego.

Najważniejszą przyczyną tych zmian jest niebezpieczna dla ładu międzynarodowego tendencja do prywatyzacji konfliktów zbrojnych i ich hybrydyzacji. Jawne

i otwarte odchodzenie wielu państw od prowadzenia wojen pod własną flagą wpływa na wzrost brutalności działań wojennych. Stronami konfliktów coraz częściej stają się podmioty inne niż państwa, więc prawo wojenne ma coraz mniejszy wpływ na ich przebieg.

BRUTALIZACJA I PROPAGANDA

Efektom są liczniejsze doniesienia o złym traktowaniu pojmanych jeńców wojennych, torturach i dręczeniu wziętych do niewoli żołnierzy przeciwnika, o samosądach i egzekucjach. Pojawiają się też informacje o zbrodniach na ludności cywilnej, których niestawnymi symbolami stały się już wydarzenia w Syrii czy Jemenie. To, co w ostatnich czterech latach stało się na wschodniej Ukrainie, stanowi niezbitą dowód na to, że odchodzenie od dorobku ludzkości w dziedzinie cywilizowanego prowadzenia



Rysunek autorstwa Cypriana Kamila Norwida przypomina, że wojna od wieków niesie przemoc i cierpienie.



wojen ma również miejsce na szeroko rozumianym europejskim obszarze kulturowym.

Narastająca stopniowo brutalizacja konfliktów coraz częściej ma wymiar czysto hybrydowy, w postaci celowo kreowanych kontekstów propagandowych. Akty przemocy, często o niewyobrażalnej skali bestialstwa, odpowiednio nagłośnione w mediach społecznościowych, to typowe działania w operacjach psychologicznych. Ich celem jest terroryzowanie i osłabienie morale przeciwnika, co ułatwia późniejsze pokonanie go w realnym starciu. Prawdziwe mistrzostwo osiągnęło pod tym względem Państwo Islamskie (IS), ale kalifat znajduje już coraz więcej naśladowców.

STRATEGIA DEPOPULACJI

Narastająca brutalność współczesnych działań wojennych to jednak nie tylko przejaw nowego – starego podejścia do prowadzenia wojen. To także celowy element działań prowadzonych w ramach tzw. strategii depopulacji, czyli wywierania na ludności cywilnej przeciwnika silnej presji militarnej, której rezultatem ma być opuszczenie przez nią danego terytorium. Zmuszenie mieszkańców do ucieczki to najlepszy sposób na pozbawienie wroga naturalnego zaplecza, poparcia społecznego i politycznej legitymacji do zarządzania danym obszarem. Terytorium bez ludności jest de facto ziemią niczyją i może być zagarnięte przez dowolny podmiot, który rości sobie do niego prawa i dysponuje większą siłą.

Strategia depopulacyjna była stosowana np. przez Rosjan w Czeczenii, Naddniestrzu, Karabachu czy Gruzji. Teraz największym poligonem doświadczalnym do jej testowania jest Syria, gdzie stosuje się różne taktyki, najczęściej niezgodne z „ius in bello” – począwszy od ataków z użyciem broni chemicznej lub rakiet balistycznych, przez osławione bomby beczkowe, zrzucone na dzielnice ze śmigłowców, aż po celowe bombardowanie z powietrza i ostrzeliwanie artyleryjskie (także w wykonaniu rosyjskich i irańskich sojuszników Damaszku) konkretnych celów na terenach zajmowanych przez rebeliantów: bazarów, piekarni, szpitali, świątyń czy szkół.

Operacje tego typu prowadzi się tak długo, aż cywile uciekną z danego terenu w obawie o życie. Elementy takiej strategii można też zauważyć na wschodniej Ukra-

NAWET NAJDOSKONALSZE NORMY PRAWNE NIE SPRAWIAJĄ, ŻE WOJNY ZMIENIA SWÓJ ODWIECZNY CHARAKTER

inie, dlatego powinna być ona poważnie brana pod uwagę w analizie zagrożeń dla bezpieczeństwa Polski.

Z biegiem czasu opracowano również strategię antydepopulacyjną: obrońcy podejmują działania (także nie zawsze zgodne z prawem wojennym), których celem jest zmuszenie cywilów do pozostania na danym terenie, bez względu na presję wywieraną przez przeciwnika. Na Ukrainie symbolem takiej sytuacji stała się Awdiejewka w obwodzie donieckim, w Syrii zaś – Aleppo i Wschodnia Guta.

ZAŁECANE KROKI DLA OKUPANTA

Problem narastającej brutalizacji współczesnych konfliktów zbrojnych

to jednak również niepokojące sygnały o zmianach w podejściu wielu państw do sposobu prowadzenia wojen i zarządzania ich skutkami. Ich podstawą jest świadome odejście od dotychczasowego dorobku „ius in bello”, w tym przyzwolenie na stosowanie większej przemocy w ramach działań wojennych. Jednym z krajów dopuszczających takie rozwiązania jest Rosja, która podobno zapisała w swej doktrynie wojennej (w części niejawniej) wytyczne dotyczące działań sił zbrojnych na wypadek zajęcia wrogich terenów.

Zaleca się w niej podjęcie zdecydowanych kroków zapobiegających pojawieniu się masowego i zorganizowanego oporu wobec władzy okupacyjnej. W tym celu trzeba utrzymywać na takim terenie 20–30 żołnierzy na każdy tysiąc osób. W kraju wielkości Litwy (blisko 3 mln mieszkańców) daje to kontyngent okupacyjny wielkości około 100 tys. żołnierzy, ale w wypadku państw, takich jak Ukraina czy Polska – już milionowe armie. Jest to nie do pomyślenia w realiach społecznych i polityczno-ekonomicznych współczesnej Rosji.

Należy zatem jak najszybciej zdławić w zarodku wszelki zorganizowany opór na zajętych terenach, co najlepiej zrobić za pomocą brutalnych represji. Trudno przewidzieć, jak daleko może posunąć się okupant, ale doświadczenia np. z Czeczenii nie napawają optymizmem. Być może dlatego państwa bałtyckie poważnie rozważają opracowanie planów bezpieczeństwa, zakładających w razie wybuchu wojny z Rosją ewakuację na Zachód dużej części mieszkańców w wieku 15–25 lat, aby uniknąć ich eksterminacji lub deportacji. To zupełnie nowa jakość w historii sztuki wojennej. ■

**AGNIESZKA
LEGUCKA**

Nieczyste zagrywki

Po próbie otrucia podwójnego agenta Siergieja Skripala doszło do największego kryzysu w stosunkach brytyjsko-rosyjskich. Premier Theresa May oskarżyła Rosję o użycie broni chemicznej na terytorium Zjednoczonego Królestwa. Na znak solidarności z Wielką Brytanią wiele państw odesłało do domu ponad 150 dyplomatów rosyjskich. W odpowiedzi Moskwa uruchomiła kolejną kampanię dezinformacyjną, w tym płatnych trolli. Celem ataków jest przede wszystkim dyskredytacja premier May. Redaktor telewizji RT napisał: „żołnierze frontu informacji, musicie walczyć w obronie interesów Ojczyzny”. W sieci pojawiły się więc liczne artykuły podważające wersję brytyjską, najczęściej wraz z opiniami tzw. ekspertów. Następnie, kiedy 11 kwietnia pani premier ogłosiła możliwość wzięcia udziału w operacji militarnej przeciwko Syrii (wraz z USA i Francją), internet zalała fala twitterowych newsów oznaczonych #NotInMyNameTheresaMay, docierających do ponad 93 mln osób. Eksperci zidentyfikowali, że wielu autorów to rosyjscy trolle popierający np. wojnę w Donbasie.

Wielka Brytania w ostatnim czasie stała się dla licznych rosyjskich polityków i biznesmenów azylem. W ciągu pięciu lat od 2008 roku liczba rezydentów poszerzyła się tam o 433 rosyjskich milionerów. Okazało się jednak, że obecność Rosjan na Wyspach wiąże się z ryzykiem prania brudnych pieniędzy. W latach 2011–2014 za pomocą fikcyjnych pożyczek spółek zagranicznych z siedzibą na Wyspach przez Mołdawię i Łotwę został wyprowadzony z Rosji kapitał w wysokości 26,7 mld dolarów. Wiosną 2017 roku opinią publiczną wstrząsnęła sprawa zamieszania w ten proceder banków w Wielkiej Brytanii. Zmieniono zatem ustawę o dochodach z przestępstw, co dało władzom brytyjskim narzędzie do ścigania m.in. oligarchów rosyjskich.

Wcześniej nie były one skłonne do stanowczej odpowiedzi politycznej na działania służb Federacji Rosyjskiej na Wyspach. Wśród rosyjskich obywateli, którzy zginęli w tajemniczych okolicznościach na terytorium Wielkiej Brytanii, byli Aleksander Litwinienko i Borys Bieriezowski. Obaj krytykowali politykę Władimira Putina. Był to więc sygnał, że nikt nie jest bezpieczny, nawet poza granicami Rosji.

Dr hab. AGNIESZKA LEGUCKA jest analitykiem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, wykładowcą Akademii Finansów i Biznesu Vistula, specjalistą ds. bezpieczeństwa i polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej.



HISTORIA

/ 100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

SYMBOLE POLSKIEJ TOŻSAMOŚCI

Z Alfredem Znamierowskim

o tym, dlaczego w pierwszym po odzyskaniu
niepodległości herbie Polski orzeł nie miał
korony i z jakiego powodu w 1918 roku w Galicji
miejscowi wywieszali flagi czerwono-białe,
rozmawia Anna Dąbrowska.



ANDRZEJ WITKOWSKI



K

iedy Polska odzyskała niepodległość w 1918 roku, pojawiła się konieczność ustalenia naszych państwowych symboli. Czy panowała w tej kwestii zgodność?

Nie było wątpliwości, że Orzeł Biały będzie polskim herbem. Jest naszym najstarszym symbolem, jego początki sięgają okresu formowania się państwa polskiego. Występował na monetach, pieczęciach i chorągwiach książąt piastowskich. Jako oficjalny herb państwa polskiego zaczął być używany od 1295 roku, kiedy Przemysław II jako król Polski umieścił go na swojej pieczęci majestatowej. W czasie zaborów symbol orła dawał poczucie ciągłości państwa polskiego.

Pojawiły się jednak spory, czy nasz orzeł ma mieć koronę...

Pierwszy po wojnie herb był bez korony. Niektórzy uważali, że skoro Polska nie jest królestwem, to orzeł nie powinien jej mieć. Dlatego stojący u sterów władzy od listopada 1918 roku rząd Jędrzeja Moraczewskiego, składający się głównie z socjalistów i ludowców, dyrektywą Stanisława Thugutta, ministra spraw wewnętrznych, wprowadził orła bez korony, który miał z założenia odzwierciedlać idee demokracji i ludowości. Wynikało to z niezrozumienia symboliki. Korona na głowie orła nie jest wyrazem ustroju państwa, ale symbolizuje suwerenność Polski.

Kto przywrócił naszemu godłu koronę?

Sejm ustawodawczy 1 sierpnia 1919 roku w ustawie o godłach i barwach Rzeczypospolitej Polskiej określił wygląd polskiego godła państwowego. Za herb Rzeczypospolitej Polskiej uznano umieszczonego w czerwonym polu tarczy Orła Białego z głową zwróconą w prawo, rozpostartymi skrzydłami, w złotej koronie

zwieńczonej krzyżem, ze złotymi dziobem i szponami.

Dlaczego takie wyobrażenie przetrwało tylko osiem lat?

Wizerunek orła zmieniał się przez wieki i w każdym okresie historycznym wyglądał trochę inaczej. Ten z 1919 roku – ze złotą, zamkniętą od góry koroną zwieńczoną krzyżem – stylizacją nawiązywał do czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ustawą z 28 lipca 1927 roku i rozporządzeniem prezydenta RP z 13 grudnia 1927 roku wprowadzono zaś nowy wizerunek godła, opracowany przez architekta Zygmunta Kamińskiego. Jego projekt z otwartą koroną był wzorowany na orłach jagiellońskich. Taki wizerunek obowiązywał do końca II RP. Przyjęto go też w PRL-u, ale pozbawiono korony. Ten obecnie obowiązujący, w koronie otwartej, też jest wzorowany – z niewielkimi zmianami – na projekcie z 1927 roku.

Używa Pan określeń „godło” i „herb”. Czym się one różnią?

Słowo „godło” oznacza to samo, co „znak”. W ustawie z 1919 roku za godła Rzeczypospolitej Polskiej uznano: herb, flagę, chorągiew, pieczęć i hymn. Z kolei w heraldyce godłem jest to, co znajduje się na tarczy herbowej. Herb zatem składa się z godła i tarczy. Naszym godłem jest Orzeł Biały. Umieszczony na tarczy herbowej z czerwonym polem jest zaś herbem Polski. Niestety w naszej konstytucji jest błąd, herb został bowiem w niej nazwany godłem.

Dlaczego w 1918 roku pojawiła się na naszej fladze czerwień i biel?

Kolory flagi wywodzą się z barw herbów. Naszym herbem był Orzeł Biały w czerwonym polu tarczy, więc to zestawienie znalazło się też na fladze. Te kolory jako barwy narodowe pojawiły się po raz pierwszy w 1792 roku z okazji pierw-



Niektórzy uważali, że skoro Polska nie jest królestwem, orzeł nie powinien mieć korony.



WIZYTÓWKA

ALFRED ZNAMIEROWSKI

Jest dziennikarzem, heraldykiem i weksylologiem. W 1965 roku wyemigrował z Polski, pracował m.in. w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium i w sekcji polskiej Głosu Ameryki w Waszyngtonie. Po przemianach 1989 roku wrócił do kraju. Był współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Weksy-

lologicznego, w 1997 roku założył Instytut Heraldyczny-Weksylologiczny, zajmujący się badaniami herbów i flag oraz projektujący znaki dla polskich jednostek samorządowych. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Heraldycznego i Komisji Heraldycznej przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. ■

Nasz kraj jest jedynym państwem na świecie, w którym są dwie flagi państwowe, ale oficjalnie nie ma flagi narodowej

szej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Na patriotycznych manifestacjach panie występowały w białych sukniach z czerwoną wstęgą, a panowie z biało-czerwonymi szarfami. Prawnie te kolory stały się barwami narodowymi w 1831 roku. Zdecydował o tym Sejm Królestwa Polskiego z czasu powstania listopadowego. Uchwalona 7 lutego 1831 roku ustawa głosiła: „Kokardę narodową stanowić będą kolory herbu Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, to jest kolor biały z czerwonym”. Po raz pierwszy na dużą skalę biało-czerwone flagi pojawiły się na manifestacji patriotycznej w Warszawie 3 maja 1916 roku z okazji 125. rocznicy uchwalenia konstytucji. Po odzyskaniu niepodległości sejm zatwierdził wzór flagi państwowej – kolory biały i czerwony ułożone są w dwóch poziomych, równoległych pasach tej samej szerokości.

Nie było zatem rozbieżności zdań co do wyglądu flagi?

Były. Dotyczyły porządku barw. We wszystkich państwach – zgodnie z zasadami heraldyki – stosuje się zasa-

dę, że kolor godła zawsze jest na górnym pasie, a tarczy – na dolnym, jeśli barwy narodowe przyjęto od herbu. Wyjątkiem było austro-węgierskie cesarstwo, gdzie barwy układano odwrotnie. Dlatego w 1918 roku w Galicji polska ludność wzorem austriackim wywieszała flagi czerwono-białe. Sejm w 1919 roku zatwierdził jednak wzór flagi z górnym pasem białym, a dolnym czerwonym.

Ale nie może to być jakikolwiek odcień czerwieni...

Pierwotnie był to karmazyn, czyli ciemna czerwień uważana w średniowieczu za najszlachetniejszy z kolorów z uwagi na cenę barwnika potrzebnego do uzyskania tego odcienia. Produkowano go z koszenili, czyli larw owadów o nazwie czerwiec. Z kolei w okresie powstania listopadowego tkaniny sprowadzano z Francji, gdzie bardzo modny był amarant. W ustawie z 1919 roku nie określono odcienia. Dopiero dwa lata później Ministerstwo Spraw Wojskowych wydało broszurę „Godło i barwy Rzeczypospolitej Polskiej”, w której napisano, że chodzi o karmazyn. ➔

Wątpliwości co do wyglądu flagi dotyczyły tego, który kolor znajdzie się na górze, a który na dole

W rozporządzeniu prezydenta z 1927 roku zamieniono z kolei odcień na cynober, czyli intensywny czerwony. Dzisiejsza barwa na fladze państwowej jest odrobinę ciemniejsza od cynobru.

Po odzyskaniu niepodległości powstały inne projekty flagi niż dwa poziome pasy?

Oczywiście. Franciszek Kamocki zaproponował jako flagę chorągiew heraldyczną, czyli czerwoną płachtę z wizerunkiem orła w koronie zakończoną długim czerwonym lub biało-czerwonym językiem. Z kolei Adam Chmiel przygotował dwa inne projekty: jeden przedstawiał na czerwonym płacie wizerunek białego orła w koronie, drugi tylko barwy biało-czerwone ułożone w pasy. Ta ostatnia propozycja znalazła odzwierciedlenie w ustawie z 1919 roku. Te same przepisy wprowadziły też drugą flagę – biało-czerwoną z umieszczonym pośrodku białego pasa polskim godłem.

Do czego potrzebna jest druga flaga?

Początkowo powstała jako bandera statków handlowych oznaczająca ich przynależność państwową. Zestaw kolorów biały i czerwony był używany już przez pilotów portowych, dlatego do polskiej bandery dla odróżnienia dodano nasze godło. Potem stała się flagą polskich poselstw i konsulatów. Po II wojnie światowej zmieniał się zakres jej użycia. Teraz jest używana przez przedstawicielstwa dyplomatyczne i urzędy konsularne, cywilne lotniska oraz samoloty komunikacyjne podczas lotów za granicą, kapitanaty i bosmanaty portów, polskie statki morskie jako bandera. Nie można jej zaś używać na terenie Polski. Co ciekawe, nasz kraj jest jedynym państwem na świecie, w którym są dwie flagi państwowe, ale oficjalnie nie ma flagi narodowej.

Czym one się od siebie różnią?

Prawodawstwo wielu państw, np. w Niemczech, rozróżnia flagę państwową, czyli urzędową, której używanie jest zastrzeżone dla instytucji i urzędów państwowych. Umieszcza się na niej herb państwa lub niektóre charakte-

rystyczne jego detale. Flagi narodowe są z kolei proste, bez herbu, i przy respektowaniu określonych reguł może ich używać każdy obywatel.

W Polsce też tak powinno być?

Tak. Flaga urzędowa, używana zarówno w kraju przez oficjalne instytucje, jak i symbolizująca państwo polskie na arenie międzynarodowej, powinna być biało-czerwona z herbem. Z kolei flagę biało-czerwoną należałoby nazwać narodową, gdyż od wielu lat jest takim symbolem. Prawo do jej używania powinni mieć wszyscy Polacy. Sądzę, że potrzebna jest jeszcze jedna zmiana w naszych państwowych symbolach. Poza Francją jesteśmy bowiem jedynym krajem, który nie ma flagi prezydenta.

Przecież podczas uroczystości, w których uczestniczy głowa państwa, na maszt podnoszony jest proporzec prezydenta.

Dotyczy to tylko uroczystości wojskowych, ponieważ ta flaga przysługuje wyłącznie prezydentowi RP jako zwierzchnikowi sił zbrojnych. W dwudziestolecu międzywojennym głowa państwa miała swoją flagę. Była to Chorągiew Rzeczypospolitej w postaci czerwonego płata z Orłem Białym w centrum. Dziś wielu heraldyków postuluje, aby kontynuować tę tradycję. Zresztą przywrócenie Chorągwi Rzeczypospolitej jest elementem projektu zmiany ustawy o godle, barwie i hymnie, nad którym pracuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Co jeszcze znajdzie się w tej nowelizacji?

Przede wszystkim zostanie poprawiony rysunek Orła Białego. Dziś herb Polski jest wzorem reliefu wypukłego, co nie jest zgodne z zasadami heraldyki. Nie przewidują one bowiem stosowania przestrzenności, jedynie dwuwymiarowy rysunek. Należy mu też przywrócić całe złote łapy, a nie tylko pazury. Zmiana dotyczy także korony, w której powinny pojawić się prześwity między kwiatonami. I ostatnia ważna zmiana – widoczne na obu końcach przepaski orła pięcioliście powinny zastąpić trójliście, tak jak na historycznych wizerunkach. ■

Krytycy i czytelnicy zgodnie docenili kunszt pióra młodego pisarza, który za temat swej pierwszej książki obrał własne doświadczenia z lat wielkiej wojny oraz tej toczonej w 1920 roku z bolszewikami. Zgodnie podkreślano, że rzadko kiedy tak dojrzałą książkę firmuje debiutant, zwłaszcza w młodym wieku. Lecz w tym wypadku metryka niewiele znaczyła wobec doświadczeń, które złożyły się na życie **Eugeniusza Korwin-Małowczyńskiego**. Niestety, nie trwało ono długo – wkrótce po publikacji książki, 19 kwietnia 1922 roku, Małowczyński przegrał walkę z gruźlicą.

Po śmierci pisarza Kornel Makuszyński pisał we wspominkowym artykule: „Młodzieńcza jego dusza była jak gorejący krzak i tak sobie myślę, że gdyby nie był umarł od ran i gruźlicy, której się dorobił w bagnach pod Archangielskiem, byłby się strawił prędzej czy później od tego wewnętrznego żaru, co w nim płonął nieustannie. [...] Umarł cichutko, z pogodnym uśmiechem na ustach, kiedy ostatnie śniegi zakwitły krokusami. Umarł jeden z najszlachetniejszych prozaików polskich, chłopiec bohaterski, co miał serce przeczyste, a duszę gorejącą płomieniem tak jasnym i złotym, jakim niezmierna płonie miłość”.

Małowczyński był jednym z wielu polskich żołnierzy tułaczy, którzy wbrew wszelkim przeciwnościom szli z najdalszych zakątków świata, by bić się o niepodległość Polski.

Z KRESÓW POD KOŁO PODBIEGUNOWE

Eugeniusz Korwin-Małowczyński urodził się w Kiwaczówce – w jednym z kresowych dworów pod Humaniem na Ukrainie. W źródłach można znaleźć aż trzy daty jego urodzin: 1 stycznia 1895 roku, 1896 i 1897. Niestety, nie

miał sielskiego dzieciństwa. Został wcześniej osierocony przez ojca. Był najmłodszy z licznej rodziny, ale i tak musiał rozpocząć pracę zarobkową. Imał się przeróżnych zajęć (był między innymi gońcem w kancelariach adwokackich), ale każdą wolną chwilę poświęcał czytaniu książek – swej największej pasji, która rozbudziła w nim potrzebę podjęcia własnych prób literackich.

Po wybuchu I wojny światowej osiemnastoletni Małowczyński dostał powołanie do rosyjskiej armii. Z pewnością nie przypuszczał wtedy, że wojaczka zdeterminuje całe jego życie i rzuci go na najdalsze krańce świata. W szeregach carskiej armii przemierzył Rosję wzdłuż i wszerz.

Woroneż, Kijów, Smoleńsk i wreszcie wybrzeże Morza Azowskiego to kolejne miejsca postoju jego jednostki. Walczył na Bukowinie i Grodzieńszczyźnie. Pod Mołodecznem, kiedy był dowódcą kompanii jednego ze strzeleckich pułków, uległ zatruciu gazami bojowymi.

Po rewolucji lutowej w 1917 roku walczył już w polskich formacjach wojskowych. Najpierw w I Korpusie Polskim Józefa Dowbora-Muśnickiego, a od początku 1918 roku w III Korpusie Polskim Eugeniusza de Henning-Michaelisa. Po rozbrojeniu korpusu przez Austriaków Małowczyński znalazł się w grupie żołnierzy, którzy postanowili się przedrzeć do Murmańska, gdzie, jak słyszeli, formowały się kolejne polskie oddziały. O drodze na daleką rosyjską północ Małowczyński barwnie pisał w swej książce: „...na Murman dostałem się niełatwo.

Wpierw odsiedziało się we wszystkich więzieniach miejskich, jakie są po drodze od Jarosławia do Archangielska. Spacerowało się po ulicach pod »widelcami« (bagnetami). Było się pod sądem wojennym, sądem polowym. Poznało się całą,



W 1921 roku nazwisko żołnierza wojny polsko-bolszewickiej stało się głośne w kręgach literackich całej Polski.



rzeczywiście b[ardzo] mądrą i sprężystą administrację policyjną Sowieców. Było się w końcu skazanym na rozstrzelanie. Ale kręctwo, do którego się przypatrzył za młodu w kancelariach mecenasów, wybawiło mnie z tych opresyj”.

Po tak dramatycznych przeżyciach Małaczewski w lipcu 1918 roku dotarł do Archangielska. Z humorem opisał ten moment: „I stałem nad Białym Morzem z głupią miną, nie wiedząc, co dalej robić”. W rzeczywistości przyszły literat bardzo szybko przyłączył się do polskiego oddziału, który sformowali podobni do niego desperaci i ruszyli do boju z bolszewikami. Chociaż początkowo oddział tworzyło niewiele ponad 40 żołnierzy, zdobył on Archangielsk jeszcze przed przybyciem alianckich sił interwencyjnych – idąc na pomoc antybolszewickiemu powstaniu, które wybuchło w tym mieście. W sierpniu 1918 roku murmańczycy, jak zaczęto nazywać dzielnych Polaków, przeszli pod dowództwo brytyjskiego gen. Williama Ironside’a i ruszyli do boju nad Onegą i północną Dźwiną.

LWY PÓŁNOCY

Specyfikę murmańczyków dobrze uchwycił inny żołnierz tego oddziału i przyjaciel Małaczewskiego, Zdzisław Chrzastowski. Pisał w swych wspomnieniach: „Karabiny mieliśmy rosyjskie i japońskie, żołd – francuski, mundury – angielskie, orzelki i serca – polskie. I polską komendę”. Chrzastowski wspomina też swego przyjaciela jako żołnierza pełnego animuszu, dowcipu i fantazji. Poetycki talent Małaczewski miał wykorzystywać do pisania żartobliwych dykterijek o kolegach. Ale kiedy trzeba było iść do walki, zmieniał się w dzielnego żołnierza, który nie oszczędzał się w polu. Niestety, wtedy też, w ciężkim podbiegunowym klimacie, zapadł na gruźlicę.

Polacy wśród wszystkich wojsk ententy, jakie znalazły się na wybrzeżu murmańskim, by zdobywać Rosję od północy, mieli opinię najlepszych fachowców od walki z bolszewikami. Byli cenniejsi nawet od białych Rosjan, którzy nieraz zawiedli aliantów, przechodząc na stronę nieprzyjaciela. W pustkowiach tundry potykali się z wrogiem wytrwale, nie ponosząc zbyt wielu strat. Bardziej od bolszewików morderczy był jednak klimat. Małaczewski w noweli „Na dalekim cmentarzu” opisał nekropolię, na której chowano jego poległych towarzyszy broni: „W tej to ziemi, gdzie od mrozów jęczy żelazo i niebo wyświeca obrazy dantejskiej grozy i wspaniałości – leżą żołnierze polscy, snem zdjęci wiecznym. Dźwigają na martwej piersi bryłę błota lodowatego, a w zamrażniętej ich czaszce skamieniałej niedośniony sen o Rzeczypospolitej, którą dla żywych wywalczyli, lecz ujrzyć własnymi oczyma nie mieli”. Kiedy w latach czterdziestych do Murmańska z alianckimi konwojami przybywali polscy marynarze, po cmentarzu



Eugeniusz Małaczewski (siedzi pierwszy z lewej) wśród korespondentów wojennych w czasie wojny 1920 roku

tym nie znaleźli ani śladu. Tak bolszewicy zemścili się na zmarłych za ich zwycięstwa.

Polacy „nad Murmanem” pozostali do końca tej interwencyjnej kampanii. Mimo prośb dowództwa Błękitnej Armii we Francji, która potrzebowała uzupełnień, Ironside nie chciał wypuścić Polaków. Brytyjski generał, choć miał pod swoim dowództwem żołnierzy kilku narodowości – Anglików, Szkotów, Francuzów, Włochów, Serbów i białych Rosjan, tylko Polakom nadał zaszczytne miano Lwów Północy. Wreszcie w styczniu 1919 roku pozwolono murmańczykom odpłynąć do Francji.

Ppor. Małaczewski wraz z całym batalionem murmańskim przeszedł pod dowództwo gen. dyw. Józefa Hallera. Po paru miesiącach Błękitna Armia wróciła do Polski, by w kilku kampaniach przewać szalę zwycięstwa na stronę odrodzonej ojczyzny. Małaczewski w błękitnym mundurze walczył z Ukraińcami we wschodniej Małopolsce, a w następnym roku, mimo postępującej coraz szybciej gruźlicy, wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Pod koniec 1920 roku Małaczewski awansował na porucznika, a za swe dotychczasowe czyny bojowe został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy i Krzyżem Walecznych.

KOŃ NA WZGÓRZU

Schorowany żołnierz w zmaganiach z bolszewicką nawałą w 1920 roku nie mógł już walczyć na pierwszej linii z karabinem w rękę. Otrzymał przydział do wydziału propagandy Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej. Tam spotkał takich mistrzów pióra, jak Stefan Żeromski, Adam Grzymała-Siedlecki czy Wacław Berent. Oprócz tych literackich tuzów rolę korespondentów wojennych od-



SPECYFIKĘ MURMAŃCZYKÓW UCHWYCIŁ
PRZYJACIEL MAŁACZEWSKIEGO I ŻOŁNIERZ
ODDZIAŁU, **ZDZISŁAW CHRZĄSTOWSKI**.
PISAŁ W SWYCH WSPOMNIENIACH:

**KARABINY MIELIŚMY
ROSYJSKIE I JAPOŃSKIE,
ŻOŁD – FRANCUSKI,
MUNDURY – ANGIELSKIE,
ORZEŁKI I SERCA –
POLSKIE. I POLSKĄ
KOMENDĘ**

grywali także początkujący pisarze: Emil Zegadłowicz, Edward Ligocki, Stanisław Miłaszewski, Piotr Chojnowski i Kornel Makuszyński, który w żartobliwy sposób wspominał swego „wodza”: „[Włodzimierz] Perzyński i ja byliśmy we władzy Małaczewskiego. »Trzej muszkieterowie« – licząc w tym i naszego dowódcę – tym się odznaczeni wybitnie w całej armii, że byli wszyscy łysi jak kolano. [...] Zaliczani byliśmy do piechoty, nasz hetman jednak musiał mieć wrażenie, że dowodzi konnicą, mając pod rozkazami dwa stare, łyse konie”.

Wtedy też, w trudnych dla kraju chwilach, w pełni rozbłysnął talent literacki poety. Małaczewski zdobył sobie wielką popularność korespondencjami z frontu i utworami literackimi drukowanymi w „Tygodniku Ilustrowanym”, „Rzeczpospolitej”, „Przeglądzie Warszawskim”, „Skamandrze”. Stefan Żeromski i Jan Kasprówicz zobaczyli w młodszym koledze „beniaminka literatury współczesnej”. Z tym zdaniem nad wyraz zgodna była reszta literackiego środowiska, czytelnicy i krytycy.

Literacką klasę Małaczewski potwierdził w 1921 roku tomem nowel „Koń na wzgórzu”. Zawarł w nim własne doświadczenia żołnierza tułacza, który nie szczędził młodego życia dla ojczyzny. Jednak jego książka to nie tylko świadectwo patriotyzmu, lecz także uniwersalny obraz wojny. Małaczewski rozpoczyna ją w tonie humorystycznym – pierwsza nowela, „Wielka

bitwa narodów”, opowiada o bójce żołnierzy armii sprzymierzonych, rywalizujących o względy kelnerki w lokalu. Lecz w trakcie dalszej lektury czytelnikowi uśmiech szybko znika z twarzy wobec opisów grozy wojny na dalekiej rosyjskiej północy i następnie w Polsce 1920 roku. Tytułowa nowela traktuje o rannym koniu, obdartym żywcem ze skóry przez bolszewickich żołnierzy i porzuconym na wzgórzu odbitym przez Polaków.

Wojna odcisnęła na Małaczewskim straszne piętno. Przez trzy lata, jakie dane mu było przeżyć w wolnej Polsce, zmagał się nie tylko z gruźlicą, lecz także załamaniami nerwowymi, które musiał leczyć w szpitalach psychiatrycznych. W „Koniu na wzgórzu” tak pisał o ostatnich chwilach życia: „Jestem inwalidą Wielkiej Wojny. Spędzam czas w naszych polskich górach – w Tatrach. Ciało moje znajduje się teraz w stanie, zwanym rekonwalescencją, a dusza dopełnia cudownej czynności, którą nazwałbym: »przychodzeniem do siebie«. Byłem daleko od siebie, daleko. Pielgrzymowałem ku samemu sobie latami całymi, brnąc przez cudzą i własną krew, ale oto przychodzę już do siebie...”. Tym przyjściem było pogodzenie się pisarza z nieuchronnym końcem. Cierpienie łagodziły mu głęboka wiara i świadomość, że umiera w wolnej ojczyźnie, z dala od nieludzkiej ziemi, „tam, gdzie ostatnia świeci szubienica”, jak cytatem z Norwida zatytułował jedną ze swych nowel. ■



Zbiór nowel „Koń na wzgórzu” Eugeniusza Korwin-Małaczewskiego okrzyknięto arcydziełem.



Specyfiką albańskiego podziemia w czasie II wojny światowej były ostre podziały polityczne. Najważniejszą siłą oporu stanowili z jednej strony komuniści, z drugiej zaś – antykomunistyczne oddziały tzw. ballistów.

ROBERT SENDEK

TROPEM LISA

Uciekł z transportu wiozącego więźniów do Starobielska, działał pod Tobrukiem i w Albanii. Spadochroniarz, „muszkieter”, szczęściarz: Leon Gradowski.

Kapitan Michael Lis był człowiekiem niewielkiego wzrostu, miał pociągłą twarz, sumiasty wąs i pogodny uśmiech. Wysłano go do Albanii, gdyż miał tam organizować ewakuację polskich więźniów lub dezertków z niemieckiego wojska. On sam miał na koncie spektakularną ucieczkę z własnego kraju. Był znakomicie przygotowany do tej pracy. Okazało się jednak, że w Albanii było niewiele Polaków wymagających jego pomocy, przyłączył się więc do innej misji jako oficer łącznikowy. Jego pomoc była nieoceniona, ponieważ prócz swojego ojczystego języka znał także francuski i angielski, potrafił nieźle kombinować, co w życiu partyzanckim jest cechą nie-

zmiernie przydatną”. W ten sposób scharakteryzował naszego bohatera David Smiley, oficer brytyjskiego wywiadu, a jednocześnie towarzysz broni Polaka z czasów wojny. Oba żołnierzom przyszło współpracować i walczyć ramię w ramię podczas misji w Albanii.

Z URODZENIA GRADOWSKI

Michael Lis albo Michał Lis, bo i taki zapis można znaleźć w opracowaniach, naprawdę nazywał się Leon Gradowski. Urodził się w 1908 roku w majątku Babszyn nad Dniestrem w kresowej rodzinie ziemiańskiej, pieczętującej się herbem Lubicz. Po wojnie polsko-sowieckiej jego rodzina utraciła majątek i przeniosła się do nie-

podległej Polski. Wyniesiona z domu znajomość języka francuskiego pozwoliła Gradowskiemu na podjęcie studiów w belgijskim Leuven.

We wrześniu 1939 roku Gradowski był żołnierzem 24 Pułku Ułanów z 10 Brygady Kawalerii gen. Stanisława Maczka. Gdy okazało się, że dalsza walka w kraju jest już niemożliwa, nie przeszedł wraz z kolegami z oddziału granicy węgierskiej. Dostał się do sowieckiej niewoli, ale wieziony kolejną do obozu w Starobielsku, uciekł z pociągu. Przedostał się następnie do opanowanej przez Niemców Warszawy, gdzie przez jakiś czas działał w organizacji wywiadowczej Muszkietery jako kurier na szlaku południowym. Posługiwał się wówczas pseudonimem „Lis”. Najprawdopodobniej w Budapeszcie poznał legendarną Krystynę Skarbek, która oficjalnie występowała tam jako hrabina Christine Granville, ale faktycznie była pracownicą brytyjskiego wywiadu. Po wielu perypetiach Gradowski w końcu trafił do Stambułu, stamtąd zaś do tworzonej na Bliskim Wschodzie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Wraz z Brygadą walczył w Afryce Północnej m.in. podczas walk o Tobruk.

TAJNA MISJA

Po zakończeniu kampanii afrykańskiej Gradowski pozostał w Egipcie. Dzięki Krystynie Skarbek poznał płk. Alfreda de Chastelaina, który wciągnął go do współpracy z Zarządem Operacji Specjalnych (Special Operation Executive – SOE). Była to brytyjska agencja rządowa, zajmująca się organizowaniem w całej okupowanej Europie działań wywiadowczych, sabotażowych i dywersyjnych. W Kairze znajdowało się jedno z regionalnych biur SOE, przygotowujące operacje w Europie Południowo-Wschodniej, przede wszystkim na Bałkanach.

W sztabie kairskim działała sekcja polska, odpowiedzialna za współpracę z polskim ruchem oporu. Zwerbowany do SOE Gradowski odbył niezbędne szkolenia, obejmujące m.in. kurs spadochronowy. Ponieważ od połowy 1943 roku kairska sekcja SOE podejmowała szeroko zakrojone akcje na terenie południowych i zachodnich Bałkanów, Gradowski – już jako Michael Lis – został skierowany do zrzutu na tym właśnie terenie. Miał trafić do Albanii.



Leon Gradowski



Krystyna Skarbek i jej fałszywe dokumenty

Głównym zadaniem Polaka było stworzenie lokalnej placówki przerzutowej oraz ustanowienie szlaku kurierskiego umożliwiającego przejmowanie ludzi oraz korespondencji i dokumentów przemycanych z okupowanego kraju. Placówka przerzutowa „Ohrid”, którą Gradowski miał przygotować, była etapem szlaku wiodącego z Polski przez kolejne bazy: „Liszt” (Budapeszt, Węgry), „Drawa” (Serbia), „Pristina” (Kosowo), „Ohrida” (Macedonia), „Larisa” (Grecja). Początkowo zakładano, że punktem docelowym będzie baza „Muł”, czyli placówka SOE w Kairze. Jesienią 1943 roku, gdy alianci zajęli południowe Włochy, została ona jednak przeniesiona do Bari. Stamtąd do Albanii było w linii prostej około 200 km. Taka odległość ułatwiała organizowanie ewakuacji ludzi z albańskiego wybrzeża lub przejmowanie korespondencji i dokumentów dostarczanych z lądu.

Michaelowi Lisowi powierzono jeszcze zadanie dodatkowe, związane z Polakami, których dowództwo SOE spodziewało się znaleźć w Albanii. Miał zebrać informacje, w jakich formacjach niemieckich się znajdują, a także pomóc w przesłuchiowaniu polskich uciekinierów z obozów oraz dezertersów. Całą podjętą przez Polaka operację budowania szlaku kurierskiego w Albanii opatrzono nazwą kodową „Workroom” (Pracownia). Była ona jedną z kilku podobnych akcji, bowiem równolegle prowadzono operacje „Harbourne” (w Serbii) oraz „Polaxe” (w Rumunii).

POSZUKIWANIE POLAKÓW

Już pod koniec 1942 roku wywiad brytyjski sygnalizował, że Polacy wchodzą w skład oddziałów serbskich четників operujących w środkowej Serbii. Nie do końca było jednak jasne, kim oni są i skąd się tam wzięli. Przypuszczano, że mogą to być żołnierze – uciekinierzy z obozów internowania na Węgrzech i Rumunii, ale także np. dezertrzy z armii niemieckiej, siłą wcielani przez III Rzeszę do służby w Wehrmachcie czy Organizacji Todt.

Powstał plan wysłania w teren polskich oficerów, którzy mieli rozwiązać tę zagadkę, ustanowić szlak kontaktowy wiodący do Polski oraz organizować polskie oddziały w Serbii. Już w czerwcu 1943 roku do środkowej Serbii wysłano pierwszego z nich – kpt. Józefa Maciąga, Johna





NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Jesienią 1943 roku sytuacja w Albanii mocno się skomplikowała. Niemcy podjęli ofensywę, ponieważ chcieli zająć ten kraj po wycofaniu się Włochów z wojny.

Nasha. Okazało się, że rzeczywiście w oddziałach czetnickich są Polacy, z których można było utworzyć odrębny oddział. Szybko pojawiła się jednak koncepcja, by nie wykorzystywać ich do walki o obcą sprawę, lecz wydośćać z Serbii i wcielić do wojsk polskich walczących na Zachodzie. Konieczne było zatem zamknięcie szlaku przerzutowego wiodącego z placówki „Drawa” na południe. I tym właśnie miał się zająć Gradowski.

MIEDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Michael Lis został zrzucony do Albanii nocą z 18 na 19 października 1943 roku. Przejęła go działająca tam misja brytyjska, której jednym z członków był David Smiley. Na miejscu Gradowskiemu udało się stworzyć szlak przerzutowy, wiodący z głębi lądu do wybrzeży Adriatyku. Lokalną bazę założył w mieście Gostivar, na pograniczu albańsko-jugosłowiańskim. Szybko też się zorientował, że o ile w środkowej Serbii jest trochę Polaków, o tyle na południu praktycznie ich nie ma. Przejął zatem obowiązki oficera łącznikowego i wspierał Brytyjczyków w ich zadaniach.

Specyfiką albańskiego podziemia w czasie II wojny światowej, podobnie zresztą jak w sąsiedniej Jugosławii, były ostre podziały polityczne. Najważniejszą siłą oporu stanowili z jednej strony komuniści, dowodzeni przez Envera Hodżę, z drugiej zaś – antykomunistyczne oddziały tzw. ballistów (Front Narodowy). Animozje między nimi

były tak silne, że dochodziło nawet do potyczek. Brytyjczycy próbowali skłonić obie strony do połączenia sił wobec wspólnego wroga. Nie było to łatwe, ponieważ wynegocjowane rozejmy często łamano, a umowy zawarte z jednym z dowódców albańskich nie były honorowane przez innych. Michael Lis brał udział w rokowaniach – kursował między siedzibami poszczególnych grup oporu.

Jesienią 1943 roku sytuacja w Albanii mocno się skomplikowała.

Niemcy podjęli ofensywę, ponieważ chcieli zająć ten kraj po wycofaniu się Włochów z wojny. Współpracowała z nimi część grup ballistowskich, które dostrzegły dla siebie szansę zajęcia terenów opanowanych dotychczas przez komunistów. 16 listopada doszło do zaciętych walk o miasto Debar na pograniczu albańsko-jugosłowiańskim. Przebywał tam wówczas Gradowski jako jedyny aliancki oficer. Kilkundniowe zacięte walki zakończyły się krwawą masakrą i zajęciem miasta przez wojska niemieckie. Polakowi i kilku jego albańskim współpracownikom ledwie udało się uciec z życiem.

Gdy w połowie grudnia działający w Serbii kpt. Józef Maciąg został zabity, Michael Lis próbował rozciągnąć szlak przerzutowy do kpt. Alfreda Linka, działającego w ramach misji „Polaxe”. Do włoskiej bazy Gradowski wrócił w lipcu 1944 roku, po dziesięciu miesiącach pobytu na Bałkanach. Za udział w misji dostał brytyjski Krzyż Wojskowy. ■



PŁK ALFRED GARDYNE DE CHASTELAIN WCIĄGNĄŁ LEONA GRADOWSKIEGO DO WSPÓŁPRACY Z ZARZĄDEM OPERACJI SPECJALNYCH

Fason leguna

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Fotografia miała pocieszyć rodzinę oczekującą na powrót syna z wojny.



ARCH. A. PRZYBYLSKIEGO

Legionista Kazimierz Przybylski

w gronie przyjaciół (piąty od lewej w pierwszym rzędzie).

Nie wiadomo, kiedy i gdzie wykonano fotografię. Nie można też zidentyfikować, który to pododdział I Brygady Legionów Polskich. Na odwrocie można za to przeczytać: „Zamiast siebie przesyłam Wam fotografię moją, jakoż i kilku kolegów. Znacie tu Bednarskiego, Dońca i Przepiórę”. Tyle że również nie wiadomo, którzy to żołnierze. Pan

Andrzej Przybylski z całą pewnością może wskazać jedynie swego dziadka – dziarskiego leguna w kurtce z kożuszką. Być może zdjęcie to wykonano w jednym z obozów internowania po kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 roku i tutaj leży przyczyna niemożności odwiedzin rodziny. Po minach żołnierzy widać jednak, że humory im dopisują i trzymają słynny leguński fason.

Wielu legionistów wspominało, że mimo widma śmierci na froncie oraz głodu i chłodu na kwaterach, trudno się było urlopować; zostawiać tak wesołą kompanię i wracać do szarej rzeczywistości galicyjskiej lub królewieckiej. Wielu też nie miało do czego wracać – wojna wyrwała ich z biedy, walka o niepodległość kraju dawała nadzieję na lepsze życie, a Legiony Polskie zastępowały rodzinę. PK ■

**CZAKO
SZWOLEŻERA
GWARDII
CESARZA
NAPOLEONA I**

PIOTR KORCZYŃSKI

Przepis na kure pod czakiem

**Wyglodniali żołnierze wymyślali
przeróżne fortele, by się pożywić
kosztem ludności cywilnej.**

Któż nie zna przepisu na zupe z gwoździa, którą Aleksander Fredro zapisał w bajce „Cygan i baba”:

„Mówią ludzie, że przed laty
Cygan wszedł do wiejskiej chaty,
Skłonił się babie u progu
I powitałszy ją w Bogu
Prosił, by tak dobrą była
I przy ogniu pozwoliła
Z gwoździa zgotować wieczerzę”.

Może jednak zaskakiwać fakt, że nasz kome-diopisarz inspirował się prawdziwą historią z czasów swej służby w armii Księstwa Warszawskiego, kiedy był adiutantem-majorem 5 Pułku Strzelców Konnych.

Jak zgodnie wskazują źródła z epoki, wojsko Księstwa Warszawskiego należało do najpiękniej umundurowanego w całej armii cesarza Napoleona. Ale i jego nie omijała największa zmora napoleońskich żołnierzy:

braki w aprowizacji i nieregularne wypłaty żołdu. Z tego też powodu wiele pułków, zwłaszcza tych liniowych, chodziło o głodzie i chłódzie, a wojskowi w przerwach między walkami wciąż myśleli tylko o tym, jak zdobyć coś do jedzenia – zwłaszcza w czasie długich przemarszów.

Trzeba przy tym pamiętać, że za maruderstwo i rabunki groziły surowe kary. Każdy



MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO,
PK/DZIAŁ GRAFICZNY



żołnierz w swojej książeczce żołdu miał wpisany wyciąg z regulaminu kar, który dyżurny podoficer co pewien czas odczytywał analfabetom. I tak m.in. można było słyszeć: „Obdzieranie bez rozkazu zabitych – 5 lat do kajdan. Obdzieranie żyjących – 10 lat do kajdan. Obdzieranie, dobijając lub obcinając rannego – śmierć. Ucieczka z armii – 5 lat do robót publicznych. Ucieczka z bronią – śmierć. [...] Podpalenie domu – śmierć”.

Nie dziwota więc, że głodni i obdarci żołnierze, jednocześnie zagrożeni surowymi karami, wymyślali różne fortele, by się pożywić i odziać kosztem cywilów. Często dochodziło do dramatycznych scen, bo jadło

wiarus: „To się wygotuje inną razą, matko, a teraz jedzmy, co ugotowane.

LIS W KURNIKU

Kiedy indziej strzelcy 5 Pułku nocowali wraz ze szwoleżerami w małym francuskim miasteczku. Nazajutrz wyruszyli o świcie w dalszą drogę pod dowództwem słynnego płk. Jana Leona Kozieltulskiego. Nie uszli nawet kilometra, kiedy dogonił ich komendant placu z miasteczka. Francuz zatrzymał cały oddział i zażądał od pułkownika ścisłej rewizji wszystkich żołnierzy, gdyż rano zastał swój kurnik zupełnie pusty – „jak po najeździe sfory lisów”.

„OTÓŻ DRÓB MIELI W CZAPKACH NAD SAMYM DNEM (...). NIKOMU NIE PRZYSZŁO NA MYŚLI REWIDOWAĆ CZAPEK DO DNA, A TYM SPOSOBEM USZŁA SZTUCZKA BEZKARNIE”

i dobytek wymuszano siłą, ale zdarzały się i sytuacje komiczne, w których wiarusi fantazją zyskiwali więcej niż przemocą.

PODKOWA NA MLEKU

Takie też historie opowiedział mjr. Fredrze jego podwładny, por. Franciszek Gajewski. Na jednej z nich Fredro oparł właśnie swą bajkę „Cygan i baba”. W czasie przemarszu 5 Pułku Strzelców Konnych pewien żołnierz zatrzymał się na kwaterze w wiejskiej chacie. Gospodarze z miejsca oświadczyli wiarusowi, że są bardzo biedni i nie mają nic do jedzenia. Żołnierz, przyzwyczajony do takich powitań na prawie każdym postoju, kazał przyrzadzić gospodyni podkowę.

Zaciekawiona kobieta zapytała, w czym ma ugotować tę podkowę. „A nie inaczej jak w mleku” – odpowiedział żołnierz. Gospodyni wydobyła dzban z mlekiem ze schowka i zalała nim podkowę w garnku. Następnie wiarus poprosił, by zasypała podkowę kaszą jagłą i wszystko przyprawiła. Gdy potrawa się ugotowała, wszyscy zasiedli do stołu. I wtedy – jak wspomina Gajewski – kobieta wykrzyknęła: „Wszakże to jagły po prostu, a podkowa twarda!”. Odpowiedział jej sprytny

„Stało się wedle jego woli”, wspominał Gajewski. „Nastąpiła ścisła rewizja; przetrząsano mantelazki, kieszenie u czapraków, rewidowano żołnierzy, ale nie znaleziono żadnego drobiu. Kozieltulski wygadał placokomendanta, który odjechał, przepraszając tyściecznie za posądzenie swoje”. Po pewnym czasie w drugim szwadronie zapiał kogut, odpowiedziały mu kaczka u szwoleżerów i indyk w taborze, i momentalnie w oddziałach zapanowała ptasia wrzawa.

Zaintrygowany Kozieltulski, jadący na samym przodzie, wysłał swego adiutanta do tyłu. Oficer wrócił po chwili i, jak podkreślił Gajewski, prawie płacząc ze śmiechu, zrelacjonował dowódcy „inspekcję”: „»Wystaw sobie, pułkowniku, te diabły mają drób komendanta już upieczony«. »Nie może być – odzywa się pułkownik – a gdzie ci go potrafili ukryć?«. »Otóż drób mieli w czapkach nad samym dnem, przykryli go furażerką, chustką i rozmaitymi drobiazgami. Nikomu nie przyszło na myśli rewidować czapek do dna, a tym sposobem uszła sztuczka bezkarnie«”.

I dzisiaj trudno byłoby wpaść na to, że okazałe i wysokie czaka służyły szwoleżerom Gwardii Napoleona do tak niecnych celów, jak przechowywanie zdobyczy z kurnika komendanta placu z małego francuskiego miasteczka... Tę opowieść można skończyć morałem z „Cygana i baby”:

„W naszej propinacji coś pono tak spadnie,
Kto Cygan, a kto baba, łatwo każdy zgadnie”.

TADEUSZ WRÓBEL

Niezlomna catalina

**Consolidated PBY Catalina była najpopularniejszą
łodzią latającą w czasie II wojny światowej.**

W październiku 1933 roku US Navy zleciła opracowanie prototypu patrolowej łodzi latającej trzem firmom lotniczym – Consolidated, Douglas i Martin. Ostatecznie w rozgrywce o zamówienie amerykańskiej floty były brane pod uwagę dwa prototypy: XP3Y-1 Consolidated i XP3D-1 Douglasa. Obie konstrukcje były dobre, więc wpływ na ostateczny wybór miała cena. US Navy zdecydowała się na samolot Consolidated, który kosztował 90 tys. dolarów i był o 10 tys. tańszy od konkurenta. Pierwszy lot odbył się 15 marca 1935 roku.

NOWA JAKOŚĆ

XP3Y-1, w oznaczeniu firmowym Model 28, był wykonany z aluminium. Tkaniną pokryto tylko lotki na krawędzi spływu skrzydeł typu parasol. Pływaki podskrzydłowe były składane w locie i stanowiły końcówki skrzydeł. Te zaś miały wsporniki połączone z pylonami kadłuba. Zastosowano usterzenie z pojedynczym statecznikiem pionowym.

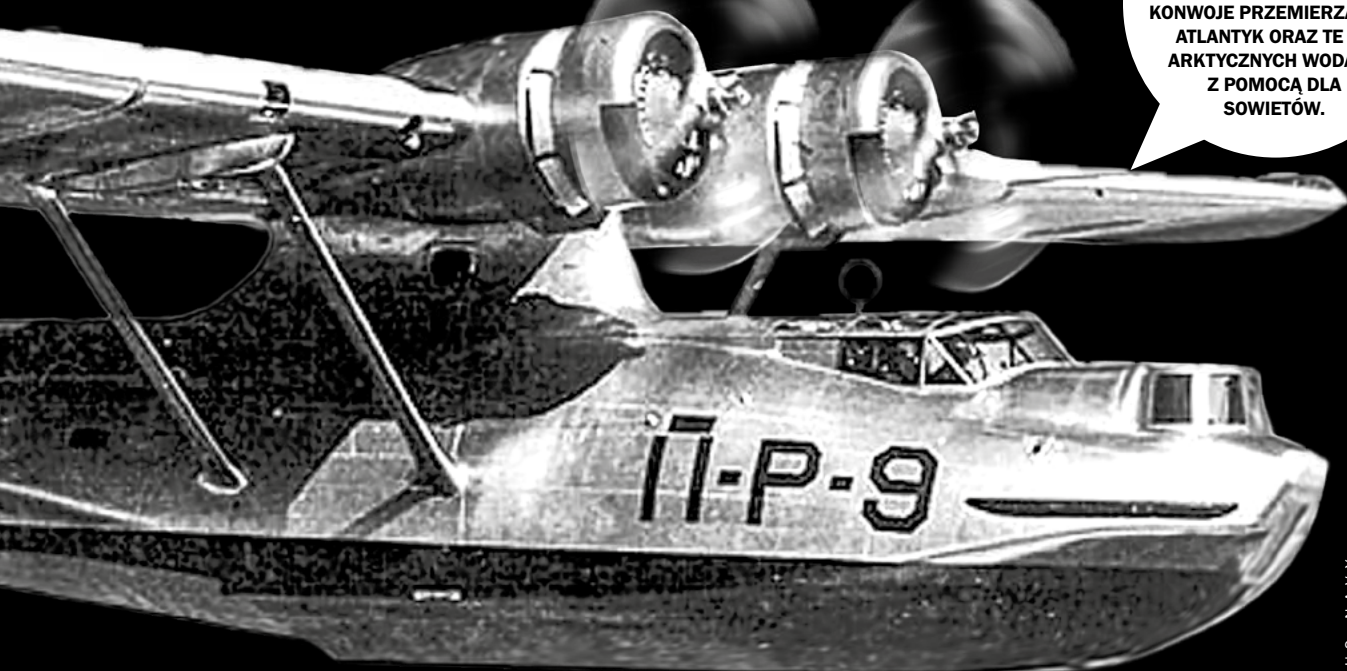
US Navy po przetestowaniu prototypu w październiku 1935 roku zwróciła go producentowi i zażyczyła sobie zmian, które uczyniłyby maszynę patrolowym bombowcem. Przy tej okazji przeprojektowano powierzchnie usterzenia pionowego, tak by ogon nie zanurzał się podczas startu. W prototypie zamontowano silniki gwiazdowe Pratt & Whitney R-1830-54 Twin Wap o mocy 825 KM. Podczas prób okazało się, że ich moc jest zbyt słaba, choć osiągnięto prędkość 296 km/h, co czyniło XP3Y-1 najszybszą z ówczesnych łodzi latających. Zamontowano zatem silniki R-1830-64 o mocy 900 KM i zmieniono oznaczenie samolotu na XPBY-1. Pierwszy

raz wzbił się on w powietrze 19 maja 1936 roku. Padł wtedy rekord odległości lotu bez międzylądowania – 5541 km.

Marynarka wojenna USA zamówiła 60 latających łodzi w wersji PBY-1 już w czerwcu 1935 roku. Konstrukcję samolotu ciągle poprawiano. Wzmocniono jego uzbrojenie, zastępując połowę karabinów maszynowych kalibru 7,62 mm bronią kalibru 12,7 mm. Wymieniano też silniki – wprowadzano modele o coraz większej mocy: 1000, 1050, a ostatecznie 1200 KM. Nieustanne zmiany powodowały, że kolejne zamówienia, składane w drugiej połowie lat trzydziestych na latające łodzie Consolidated, dotyczyły nowej wersji – PBY-2 (50 sztuk), PBY-3 (66) i PBY-4 (33). Ta ostatnia różniła się od wcześniejszych owiewkami nad piastami śmigieł. W ostatnich jej egzemplarzach metalowe osłony stanowisk bocznych kaemów zastąpiono wypukłymi ze szkła akrylowego, co ułatwiało prowadzenie obserwacji.

Każdą z czterech pierwszych wersji zamówiono w liczbie kilkudziesięciu maszyn. Dopiero po wybuchu wojny w Europie US Navy w grudniu 1939 roku postanowiła nabyć 200 maszyn w wersji PBY-5, w której wprowadzono samouszczelniające się zbiorniki paliwa. Zrezygnowano jednak z owiewek nad piastami śmigieł. W październiku 1941 roku rozpoczęła się produkcja wersji PBY-5A, która w odróżnieniu od poprzednich miała składane podwozie. Takie rozwiązanie ułatwiało pływanie. Samolot wyposażono w silniki R-1830-92 o mocy 1200 KM i wzmocniono uzbrojenie. Pierwsze 33 egzemplarze PBY-5A US Navy zamówiła w ramach zmodyfikowanego zapotrzebowania na 200 PBY-5 z grudnia 1939 roku. Zanim USA przystą-

CATALINY
PROWADZIŁY REGU-
LARNE PATROLE PRZECIW-
KO NIEMIECKIM OKRĘTOM
PODWODNYM, ESKORTOWAŁY
KONWOJE PRZEMIERZAJĄCE
ATLANTYK ORAZ TE NA
ARKTYCZNYCH WODACH
Z POMOCĄ DLA
SOWIETÓW.



U S N A V Y

MARYNARKA WOJENNA USA ZAMÓWIŁA 60 LATAJĄCYCH ŁODZI W WERSJI PBY-1 JUŻ W CZERWCU 1935 ROKU

piły do wojny, złożono kolejne zlecenia na ogółem 219 samolotów.

W zakładach lotniczych należących do US Navy powstawało 156 samolotów PBN-1 Nomad. W odróżnieniu od PBY-5A miały dłuższy kadłub, mocniejsze skrzydła, większe zbiorniki paliwa, poprawiony system elektryczny i pomocniczą jednostkę napędową. Część z tych rozwiązań zastosowano potem w wersji PBY-6A. Poza USA latające łodzie produkowano w Kanadzie – w zakładach Boeing Canada w Vancouver i Canadian Vickers w Montrealu.

W 1939 roku latające łodzie PBY zamówiła Wielka Brytania, i to maszyny w służbie Royal Air Force zaczęto nazywać Catalina. W USA adaptowano tę nazwę w 1942 roku. Część catalin z programu „Lend-Lease” dostało lotnictwo australijskie i nowozelandzkie. Imperium

Brytyjskie otrzymało ich około tysiąca. Ponad sto PBY przekazano Holenderskim Indiom Wschodnim, Brazylii, Chile i Wolnym Francuzom.

Wyprodukowano tylko siedem cywilnych PBY, w tym trzy dla Związku Sowieckiego, który wykupił w 1938 roku licencję na produkcję tych maszyn. Te powstałe w ZSRR nosiły oznaczenie GST. Amerykańska konstrukcja okazała się zbyt nowoczesna dla Armii Czerwonej i zaprzestano produkcji. GST przekazano lotnictwu cywilnemu, ale po 22 czerwca 1941 roku powróciły do służby. Później Sowieci dostali 187 maszyn PBN-1 i PBY-6A w ramach pomocy wojskowej.

NAD TRZEMA OCEANAMI

Pierwsze PBY-1 przekazano jesienią 1936 roku do dywizjonu patrolowego VP-11F w stacji lotnictwa morskiego North Island, w San Diego w Kalifornii. Na początku 1937 roku tuzin maszyn otrzymał dywizjon V-12F w Seattle, w stanie Waszyngton. W październiku 1937 roku VP-11 dostał znowu jako pierwszy wersję PBY-2. Pozostałe egzemplarze przydzielono do dywizjonów VP-2 w Coco Solo w Strefie Kanału Panamskiego, VP-10 w Pearl Harbor na Hawajach i VP-17 w Seattle. Wersję PBY-3 przekazano m.in. do VP-4 w Pearl Harbor, VP-5 w Coco Solo i VP-16 w Seattle. Z kolei PBY-4 dostały tylko dywizjony VP-1 i VP-18 w San Diego.





Pułap 5550 m

Zasięg

4960 km

Prędkość maksymalna
314 km/hMaksymalna
masa startowa
16 066 kgPowierzchnia
skrzydeł 130 m²Rozpiętość
skrzydeł 31,72 mWysokość
5,65 m

Długość 19,47 m

ZAŁOGA

W części nosowej kadłuba ulokowano stanowisko bombardiera, który równocześnie był przednim strzelcem. Za miejscem dla nawigatora znajdował się kokpit z fotelami dla dwóch pilotów. Za nimi była kabina dla nawigatora i radiooperatora, a dalej miejsce dla technika pokładowego, którego prze-

strzeń pracy poszerzono o pylon skrzydła. Za skrzydłami znajdowała się kabina z piętrowymi łózkami. Tam też były stanowiska dwóch strzelców bocznych karabinów maszynowych. Ostatni strzelec podczas walki zajmował miejsce w ogonie. W późniejszych wersjach do załogi dołączył operator radaru.

UZBROJENIE

Prototyp uzbrojono w trzy karabiny maszynowe kalibru 7,62 mm, ale seryjne wersje PB-1 miały ich cztery na stanowiskach na nosie samolotu i w ogonie oraz po bokach kadłuba. W wersji PB-2 na stanowiskach bocznych zamontowano karabiny kalibru 12,7 mm. W części PB-5A i wszystkich PB-6A montowano przednią wieżyczkę z dwoma karabinami kalibru 7,62 mm. Pod skrzydłami PB-1 znajdowały się podwieszenia do uzbrojenia ofensywnego, takiego jak bomby lotnicze, ładunki głębinowe lub dwie torpedy o masie 907 kg. Samolot PB-5A mógł przenosić uzbrojenie o masie do 1814 kg.

Amerykańskie latające łodzie prowadziły od września 1939 roku tzw. neutralne patrole u wschodnich wybrzeży USA, a jesienią 1940 roku rozszerzono je na zachodni Atlantyk. Jednak jako pierwsze zostały użyte bojowo cataliny RAF-u. W końcu maja 1941 roku uczestniczyły one w pościgu za niemieckim pancernikiem „Bismarck”. Jedną z tajemnic tej operacji była obecność na pokładach brytyjskich latających łodzi personelu wojskowego formalnie jeszcze neutralnych Stanów Zjednoczonych. Potem samoloty te prowadziły regularne patrole przeciwko niemieckim okrętom podwodnym, eskortowały konwoje przemierzające Atlantyk oraz te na arktycznych wodach z pomocą dla Sowietów.

Podczas wojny cataliny zatopiły 38 U-bootów. Ataki na nie stały się ryzykowne, gdy załogi okrętów niemieckich dostały rozkaz, by nie kryć się w głębinach, tylko podejmować walkę na powierzchni. W jednej z brytyjskich łodzi znaleziono po takim starciu ponad 70 przestrzelin.

Dziewięć PB-3 z VP-21 i VP-22 zostało zniszczonych na Pacyfiku 7 grudnia 1941 roku, w czasie japoń-

skiego ataku na Pearl Harbor. Wyposażone w PB-1 jednostki amerykańskie, australijskie, brytyjskie i holenderskie, uczestniczyły w walkach w Azji Południowo-Wschodniej. Na Filipinach było 10 Skrzydło Patrolowe z VP-101 i VP-102 (dawnie VP-1 i VP-18) z PB-4. Brytyjskie maszyny uczestniczyły w kampanii na Malajach. Jedna z załóg catalin ostrzegła w kwietniu 1942 roku, że na Oceanie Indyjskim koło Cejlonu jest silne zgrupowanie floty japońskiej. Piloci amerykańskich maszyn namierzali w czerwcu 1942 roku okręty wroga zmierzające ku wyspie Midway. Australijskie maszyny minowały z kolei wody przybrzeżne w głębi wrogiego terytorium.

Podczas walk o Wyspy Salomona od grudnia 1942 roku Amerykanie zaczęli używać wyposażonych w radar PB-5A do nocnych ataków przeciwko japońskiej żegludzie. Jako że samoloty pomalowano na czarno, zyskały one przydomek „czarne koty”. Wersje ratownicze ocaliły wielu alianckich pilotów i marynarzy. Świadomość szansy na ratunek poprawiała morale aliantów.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Kły i pazury



Zgodnie z klasycznym, wielowiekowym doświadczeniem planowanie działań bojowych wymaga dogłębnej i wszechstronnej analizy trzech elementów: sił własnych, sił przeciwnika i terenu, na którym batalia ma się rozgrywać. Historia wojen pokazuje jednak, że nawet wybitnie utalentowanym i doświadczonym dowódcom zdarzało się popełniać błędy w tej dziedzinie. Niekiedy w ocenach terenu nie pojawiał się taki czynnik, jak zamieszkujące tam zwierzęta, których samo przemieszczanie się potrafiło skomplikować sytuację.

Przekonały się o tym dowodzone przez płk. Paula von Lettow-Vorbecka niemieckie oddziały kolonialne zwane Schutztruppe, skutecznie wiążące przez cztery długie lata wielkiej wojny przeważające siły brytyjskie, belgijskie i portugalskie w Afryce Wschodniej. Podczas działań na sawannach nagminnie zdarzały się przypadki zrywania napowietrznych kabli telefonicznych. Początkowo Niemcy byli skłonni przypisywać to działalności nieprzyjacielskich patroli, co samo w sobie było wielce niepokojące. Ostatecznie okazało się jednak, że odpowiedzialność za przerywanie łączności ponosiły... żyrafy. Środkiem zaradczym okazało się zwiększenie wysokości, na jakiej były rozciągane kable.

W czasie walk z oddziałami Schutztruppe o potężde rozwścieczonych zwierząt mieli się przekonać również Brytyjczycy. Kiedy w styczniu 1917 roku po raz pierwszy wprowadzona do walki nigeryjska brygada forsowała rzekę Mgetę (w środkowej Tanzanii), nocną przeprawę uniemożliwił atak stada hipopotamów. Przewróciły one kilkanaście łodzi, a żołnierze nie bardzo mogli odegnać zwierzęta, ponieważ ze względu na zamiar zaskoczenia przeciwnika nie chcieli posługiwać się bronią palną. Gruboskórne ssaki okazały się zaś odporne na ciosy kolb i bagnętów, które jedynie wzmagały ich furie. Epizod ten stał się przyczynkiem do gorzkiego stwierdzenia, że w Afryce Wschodniej nawet przyroda jest po stronie Niemców.

Z kolei w południowej Azji, na wyspie Ramree położonej u wybrzeży środkowej Birmy, niebezpieczne dla żołnierzy japońskich okazały się wielkie, słonowodne krokodyle. Kiedy 19 lutego 1945 roku niedobitki cesarskiego garnizonu zostały zepchnięte na mangrowe bagna, odnotowano co najmniej kilka przypadków ataków tych gadów na ludzi. Jednak późniejsze opowieści o masowej niemal skali tego zjawiska są raczej kolejną zoologiczno-militarną legendą.

Trudno przesądzić, czy o wydarzeniach na Ramree wiedzieli Izraelczycy, ale w ich planowaniu wojskowym również pojawił się „czynnik krokodyli”. Było to na przełomie czerwca i lipca 1976 roku, kiedy analizowano rozmaite możliwości uwolnienia pasażerów porwanego przez terrorystów, a znajdującego na lotnisku w ugandyjskim Entebbe, samolotu. Ponieważ miejscowość ta leży na północnym brzegu Jeziora Wiktorii, a kraniec pasa startowego bezpośrednio przylega do tego akwenu, jeden z rozpatrywanych scenariuszy zakładał desantowanie spadochroniarzy do jeziora. Po osiągnięciu wpław brzegu i konsolidacji pododdział szturmowy miał zaatakować terminal i opanować płytę lotniska. Pomysł ten został jednak odrzucony, podobno z powodu zagrożenia stwarzanego przez drapieżne gady, i izraelskie transportowce Hercules lądowały na pasie startowym. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ LUDZIE



EWA KORSAK

USTRZELONE KADRY

**Fotoreporterzy
z Combat Camery podchodzą
tak blisko ćwiczących, że niemal
zaglądają żołnierzom w oczy. Pokazujemy
kulisy ich pracy.**



St. chor. sztab.
WALDEMAR
MŁYNARCZYK służy
od 1993 roku. Ma za
sobą 22 wyjazdy na
misje do Afganista-
nu, Kosowa, Bośni,
Republiki Środkowo-
afrykańskiej, na Ło-
twę, Litwę, do Kuwej-
tu, Rumunii. W Com-
bat Camerze jest od
2012 roku.

ARCHIWUM ZESPOŁU REPORTERSKIEGO
COMBAT CAMERA DORSZ

K

iedy pojechałam na poligon z chłopakami z Combat Camery, zastanawiałam się już wtedy, jak zacząć tekst o ich pracy. Że robią świetne zdjęcia? Że zawsze uśmiechnięci? Pomysł przyszedł sam. Na poligonie oprócz nas były też inne media. Fotografowie cywilni, zgodnie z prośbą rzeczniczki, nie mogli przekraczać ustalonej granicy. Tymczasem dwaj żołnierze z aparatami i kamerą wyszli z grupy, podeszli do rosomaków, zaczęli fotografować i robić ujęcia filmowe z każdej strony. Zdumieni cywile pytali, o co chodzi, dlaczego tych dwóch może, a oni nie. „To są żołnierze z Combat Camery, proszę pana”, wyjaśniła rzeczniczka.

ŻOŁNIERZ FOTOGRAFEM

Dziś Combat Camera Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych to trzech fotoreporterów: st. chor. sztab. Waldemar Młynarczyk, st. chor. sztab. mar. Arkadiusz Dwulatek i sierż. Patryk Cieliński. Przez dziesięć lat, od momentu powstania, jej skład się jednak zmieniał. Zespół założył ppor. Robert Suchy, fotograf, który dziś pracuje w Centrum Operacyjnym Ministerstwa Obrony Narodowej. Na początku wojskowi fotoreporterzy mieli dokumentować służbę polskich żołnierzy na misjach. Z czasem zaczęli również robić zdjęcia i kręcić filmy podczas ćwiczeń, które odbywają się w Polsce.

Na poligonie rozmawiamy o tym, jak godzą te dwie funkcje: żołnierza i fotografa. „Przed wszystkim jesteśmy żołnierzami, dopiero potem fotografami”, mówi st. chor. sztab. mar. Arkadiusz Dwulatek. Zanim więc ruszą na poligon czy do kontyngentu wojskowego, wkładają mundur, zabierają broń, kamizelkę kuloodporną i hełm. Fotograf wspomina patrole w Afganistanie.



Oprócz wojskowego wyposażenia chłopaki zabierają ze sobą plecaki wypełnione aparatami, kamerami, obiektywami i statywami. Zdarza się, że mają na sobie około

20

kg sprzętu.

ARCHIWUM ZESPOŁU REPORTERSKIEGO COMBAT CAMERA DORSZ (3)



St. chor. sztab. mar. **ARKADIUSZ DWULATEK** służy od 1996 roku. Ma za sobą 19 wyjazdów na misje do Afganistanu, Kosowa, Bośni, Iraku, na Litwę, do Kuwejtu, Rumunii, na Morze Śródziemne i Łotwę. W Combat Camerze jest od 2014 roku.

Gdy ktoś z Combat Camery jechał na patrol, przejmował zadanie żołnierza, którego miejsce zajął w rosomaku. „To, że trzymam w ręku kamerę czy aparat, nie znaczy, że przy tym zostanę. Jeśli jest kontakt ogniowy, chwytam za broń”, mówi żołnierz.

Oprócz wojskowego wyposażenia chłopaki zabierają ze sobą plecaki wypełnione aparatami, kamerami, obiektywami i statywami. Zdarza się, że mają na sobie około 20 kg sprzętu. „Wolimy nosić, niż się prosić”, żartują. „Kiedy wyjeżdżamy na poligon czy patrol, wiemy zwykle, jakie zdjęcia czy filmy będziemy robić, ale rzeczywistość lubi zaskakiwać i czasami przydaje się dodatkowy sprzęt”, mówi

Sierż. PATRYK CIELIŃSKI (z prawej) jest w wojsku od 2007 roku. Ma za sobą dwa wyjazdy na misje do Rumunii i w rejon Morza Śródziemnego. W Combat Camery jest od 2017 roku.

DOCIERAJĄ DO MIEJSC NIEDO- STĘPNYCH DLA CYWILNYCH FOTOGRAFÓW, DLATEGO ICH MATERIAŁY SĄ UNIKATOWE



Zespół założył
ppor. ROBERT SUCHY
(z lewej), fotograf,
który dziś pracuje
w Centrum Operacyj-
nym Ministerstwa
Obrony Narodowej.
Z prawej nieżyjący
już członek Combat
Camery SEBASTIAN
KINASIEWCZ.



st. chor. sztab. Waldemar Młynarczyk. Przed wyjazdem sprawdzają też, czy wszystkie karty pamięci są na swoim miejscu, czy baterie są naładowane. „Kiedyś w Afganistanie przyjechałem po patrolu do bazy. Wyjąłem karty pamięci i baterię, żeby ją naładować. Poszedłem na kolację. Nagle usłyszeliśmy informację, że rozbił się amerykański śmigłowiec. QRF [Quick Reaction Forces – siły szybkiego reagowania] dostały polecenie wyjazdu. Chwyciłem aparat i ruszyliśmy na miejsce. Tam zorientowałem się, że bateria została w ładowarce. Materiał zrobiłem kamerką sportową... Od tej pory zawsze mam dwie baterie w kieszeni i jeszcze jedną w plecaku”, mówi Dwulatek.

Takie wpadki przy dynamicznej pracy są nieuniknione, ale bardzo kłopotliwe, bo niektóre kadry zdarzają się tylko raz. „Dlatego dbam o to, żeby sprzęt był zawsze kom-

pletny. Mam taką zasadę, że gdy wyjmuję kartę pamięci czy baterię z aparatu, to nie zamykam kłapek – zaślepek. Jak są otwarte, to wiem, że czegoś tam brakuje”, mówi Młynarczyk. Podstawowy sprzęt fotograficzny oraz torbę z ciuchami trzymają na wszelki wypadek w Dowództwie Operacyjnym RSZ. „Zawsze jesteśmy gotowi do wyjazdu. Zdarzało się, że wyruszyliśmy kilka minut po otrzymaniu rozkazu. Czasami zdążę tylko wysłać SMS do dziewczyny, że wrócę trochę później, niż planowałem”, śmieje się Dwulatek.

JAK NAJBLIŻEJ CELU

Niemal nigdy na materiał nie jeżdżą całym zespołem. „Mamy dużo pracy i musimy się nią dzielić”, mówi Waldemar Młynarczyk. Tak jest i tym razem. Kiedy on



z Arkadiuszem Dwulatkiem są w Wędrzynie na ćwiczeniach „Wilk '18”, Patryk Cieliński jeździ na poligon w Ustce. Pytam, czy wiedzą, że ich zdjęcia na fanpage'u „Polski Zbrojnej” zdobywają mnóstwo lajków. „Wiemy, obserwujemy to, czytamy komentarze i bardzo nas to cieszy. Fajnie, jak twoja praca komuś się podoba”. „A zdajecie sobie sprawę z tego, że to właściwie dzięki wam Polacy wiedzą, jak wyglądała służba naszych żołnierzy w Afganistanie?”, pytam. „Nie myśleliśmy o naszej pracy w ten sposób. Chcemy po prostu dokumentować służbę żołnierzy, ale faktycznie dzięki temu, że jesteśmy żołnierzami, docieramy do miejsc niedostępnych dla cywilnych fotografów. To dlatego nasze materiały są unikatowe”, mówi Młynarczyk.

Na poligonach Arkadiusz Dwulatek i Patryk Cieliński zajmują się zdjęciami, Waldemar Młynarczyk – kręci filmy. Tak dopracowali technikę działania, że sobie nie przeszkadzają. Pełna koncentracja, oczy dookoła głowy. „Nie wchodzimy sobie w kadry. Nie obawiam się, że nagle Arek z aparatem pojawi mi się w kamerze”, śmieje się Młynarczyk.

Poligon dla fotografa (i dziennikarza) to w dużej mierze czekanie. Najpierw czeka się, aż ćwiczenia się rozpoczną, potem – na właściwy kadr. Sama akcja trwa kilka minut, a potem znowu czekanie. Jeśli już jednak zaczyna się coś dziać, chłopaków nie sposób zatrzymać. „Dzięki temu, że nosimy mundur, znamy warunki bezpieczeństwa i dobrze wiemy, co fotografujemy, działamy zupełnie inaczej niż np. fotografowie z prasy, którzy przyjeżdżają na ćwiczenia. Oni robią zdjęcia z wyznaczonego przez rzecznika prasowego miejsca. My wchodzimy dalej”, mówi Dwulatek. Podczas certyfikacji kompanii piechoty zmotoryzowanej szybko odrywają się od stojących w oddali fotoreporterów. Podchodzą tak blisko ćwiczących, że niemal zagłądają w oczy żołnierzom.

Ich pracy przygląda się st. szer. Łukasz Kermel, fotograf w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Na pytanie, czy inspirują go chłopaki z Combat Camery, odpowiada: „Oni przede wszystkim dzielą się swoim doświadczeniem. Wiem, że jak zadzwonię do nich z pytaniem o światło czy kadr, to na pewno coś mi doradzą. Nieraz spędziliśmy razem długie dni czy wręcz tygodnie na poligonie i wiemy, że możemy na siebie liczyć”.

Po kilku godzinach spędzonych na poligonie pytam chłopaków o efekty. Kręcą głowami, nie są zadowoleni. Przez cały dzień intensywnie padało, niewiele ujęć udało się zrobić. „Czasami bywa i tak. Na pogodę nigdy nie narzekamy, bo jesteśmy żołnierzami, ale ma ona dla nas



POLIGON DLA FOTOGRAFA to w dużej mierze czekanie. Najpierw czeka się, aż ćwiczenia się rozpoczną, potem – na właściwy kadr. Sama akcja trwa kilka minut, a potem znowu czekanie.

ogromne znaczenie. O, a jaką pogodę ma »Siwy« [Patryk Cieliński]!”, mówi Dwulatek. Pokazuje MMS ze zdjęciem z Gdyni. W tle morze, okręt i uśmiechnięty Patryk Cieliński, który dołączył do nich prawie dwa lata temu. Wcześniej służył w 4 Zielonogórskim Pułku Przeciwlotniczym. „Służba w zespole była jak przejście do innego świata. Wyzwanie i spełnienie marzeń. Dziś czuję, że Combat Camera to moje miejsce”, mówi sierż. Cieliński.

Dwaj doświadczeni koledzy cieszą się, że trafił do zespołu „młody”. „Przyniósł nowe spojrzenie, pomysły na kadry. Wiadomo, że musi się jeszcze trochę nauczyć, ale będą z niego ludzie. »Siwy« robi coraz więcej zdjęć na poligonach, zaczyna jeździć do kontyngentów”, mówi Młynarczyk. Ale niepisana zasada w Combat Camerze jest, że najmłodszy uczy się pracy podczas oficjalnych uroczystości. „Nie są to najciekawsze pod kątem fotograficznym czy filmowym momenty, ale można się oswoić z robotą”, opowiada Dwulatek.

PAMIĘĆ O SEBASTIANIE

Podczas zgrywania zdjęć chłopaki opowiadają o tym, ile mają ich w swoim archiwum. Dziś zajmują one terabajty miejsca na dyskach. „Mamy tam absolutnie wszystko. Ujęcia, które zrobili byli szefowie Combat Camery: Robert Suchy, Darek Lewtak, Adam Roik, no i »Kinas«”, opowiada Młynarczyk. Sebastian Kinasiewicz to bolesny temat w krótkiej historii zespołu reporterskiego. Należał do Combat Camery, ale ciągnęło go do specjalsów. Przeszedł selekcję, by dostać się do Jednostki Wojskowej Nil. „Służyliśmy razem raptem kilka miesięcy, ale ja uważam, że to była przyjaźń. Świetnie się rozumieliśmy, łączyła nas sportowa pasja, obaj też lubiliśmy jeść w fastfoodowych restauracjach”, wspomina z uśmiechem Młynarczyk.

Sebastian Kinasiewicz zginął w sierpniu 2013 roku w górach Oregonu. Dla członków Combat Camery to był szok. „Minęło już niemal pięć lat, a i tak trudno się z tym pogodzić”, przyznaje Waldemar Młynarczyk i dodaje: „Nie chcę, żeby pamięć o Sebastianie umarła. Musi przetrwać, tak jak jego świetne zdjęcia”.

Kiedy wracamy z poligonu do domu, rozmawiam z moim kolegą z redakcji, fotografem Michałem Niwiczem. Pytam go, jak on, z pozycji cywila, postrzega robotę Combat Camery. „Gołym okiem widać, że chłopaki inspirują wojskowych fotografów z jednostek. Podobne kadry, sposób filmowania. Ale to nie zarzut, to fajnie, że w wojsku jest ktoś, kto wysoko podnosi fotograficzną poprzeczkę”. ■



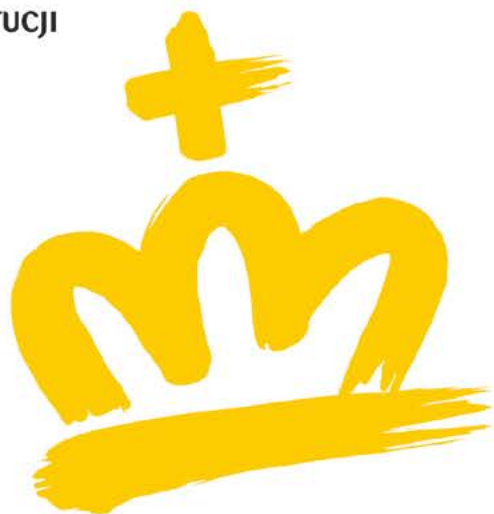
BIEG
KONSTYTUCJI
3 MAJA



TRIADA BIEGOWA
ZABIEGAJ O PAMIĘĆ



STOLICA
WOLNOŚCI
1918-2018



28. BIEG
KONSTYTUCJI

3 maja

3.05.2018r. WARSZAWA

MAGDALENA MIERNICKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Biegiem do patriotyzmu

**Łukasz Pochylski może jako osiemnasty
Polak i pierwszy nasz żołnierz zdobyć
Koronę Maratonów Ziemi.**



Zołnierz z 42 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Radomiu chce być pierwszym polskim wojskowym, który zdobędzie Koronę Maratonów Ziemi. St. szer. Łukasz Pochylski postanowił, że w ten sposób uczci setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości i powstania polskiego lotnictwa wojskowego. By spełnić to marzenie, przygotował sportowy projekt „Biegnący patriota” i zaplanował udział w siedmiu maratonach na siedmiu kontynentach. Cztery biegi już za nim.

URODZONY SPORTOWIEC

Łukasz Pochylski przyznaje, że zawsze marzył o tym, by zostać żołnierzem. Skończył Akademię Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku. Próbował też dostać się na wojskową uczelnię, niestety bezskutecznie. Podejmował pracę za granicą, ale ostatecznie szybko wracał do kraju, bo tęsknił za ojczyzną. „Polska dała mi wszystko, czego potrzebuję do życia”, przyznaje.

Nie porzucił jednak marzeń o służbie w armii. Zgłosił się do wojskowej komendy uzupełnień, a następnie dołączył do narodowych sił rezerwowych. Szkolenie ukończył z wyróżnieniem. Wtedy zaproponowano mu służbę w Batalionie Reprezentacyjnym w Warszawie, stołecznym 10 Pułku Samochodowym i w 42 Bazie Lotnictwa Szkolnego. Wybrał służbę w rodzinnym mieście. W radomskiej jednostce szybko dał się poznać nie tylko jako dobry żołnierz, lecz także jako urodzony sportowiec. Tam o jego miłości do biegania wiedzą już wszyscy. „Sport zawsze był mi bliski, bo w takim duchu byłem wychowywany”, przyznaje. Startował w różnego rodzaju

zawodach krajowych, a w 2013 roku przebiegł pierwszy maraton.

Dziś na swoim koncie ma już m.in. Koronę Maratonów Polskich i kilkakrotne starty w Maratonie Komandosów – ekstremalnym biegu organizowanym przez Wojskowy Klub Biegacza „Meta” i Jednostkę Wojskową Komandosów z Lublińca. W 2016 zapragnął jednak czegoś więcej. „Chciałem połączyć patriotyzm z miłością do biegania”, podkreśla. „W 2018 roku obchodzimy dwa ważne jubileusze – setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości i stulecie lotnictwa wojskowego. Chciałem uczcić te wydarzenia, zdobywając Koronę Maratonów Ziemi. Oznacza to ukończenie siedmiu maratonów na siedmiu kontynentach”, opowiada. Do tej pory udało się to 17 Polakom, ale nie było wśród nich żadnego żołnierza. Łukasz zaznacza, że w projekcie „Biegnący patriota” wspierają go dowódca bazy, bezpośredni przełożony i koledzy. „To dla mnie bardzo dużo znaczy, bo kiedy brałem udział w maratonach, nie musiałem martwić się o służbę. Nie chcę ich zawieść, więc staram się robić wszystko ponad normę”, przyznaje szeregowy.

WYZWANIE NA BIEGUNIE

Do zawodów przygotowuje się pod okiem swojego kuzyna Leszka Trzosa, który jest szkoleniowcem kadry narodowej. „Zależy mi oczywiście na tym, aby biegać jak najszybciej, ale zdaję sobie sprawę z tego, że na wypracowanie takiej formy trzeba czasu. Trenuję regularnie – biegam około 300 km miesięcznie, chodzę na siłownię i systematycznie ćwiczę w domu. Robię pompki, brzuski i przysiady”, zaznacza.



JACEK SZUSTAKOWSKI (2)

KORONA ŁUKASZA

- Antarktyda – trzecie miejsce z Amerykaninem Jamesem Schroederem
- Punta Arenas w Chile (Ameryka Południowa) – czwarte miejsce; pierwszy na dystansie 50 km
- Jerozolima w Izraelu (Azja)
- Agadir w Maroku (Afryka)
- Park Narodowy Banff w Kanadzie (Ameryka Północna)
- Sydney w Australii
- Warszawa w Polsce (Europa) – 30 września wystartuje w jubileuszowym 40. Maratonie Warszawskim

Koszty projektu „Biegający patriota” Łukasz Pochylski szacuje na 75 tys. zł. Na podróż i starty w zawodach na Antarktydzie i w Chile wydał 52 tys. Zgłaszają się do niego pierwsi sponsorzy. Biegacz uruchomił także zbiórkę pieniędzy na portalu Zrzutka.pl.



Ciężka praca przyniosła efekty już podczas pierwszego maratonu. Łukasz miał wystartować w Punta Arenas w chilijskiej Patagonii, ale w ostatniej chwili zmienił kolejność zawodów. „Postanowiłem zacząć od najbardziej wymagającego maratonu, czyli biegu na Antarktydzie”, tłumaczy.

Przyznaje równocześnie, że biegowi na biegunie południowym od początku towarzyszyło wiele emocji. W zawodach rozgrywanych na Wyspie Króla Jerzego może rywalizować jedynie 50 osób, więc zdobycie pakietu startowego jest bardzo trudne i kosztowne. Czasami trzeba na niego czekać kilka lat, ale jemu dopisało szczęście, bo ktoś zrezygnował ze swojego miejsca i Łukasz dołączył do ścisłego grona zakwalifikowanych biegaczy. „Czułem się, jakbym wylądował na innej planecie. Nie było jednak czasu na zastanawianie się, bo wszystko działało się bardzo szybko. O starcie dowiedzieliśmy się w ostatniej chwili, a myśleliśmy, że mamy jeszcze godzinę”, wspomina Pochylski.

Żołnierz radomskiej bazy przyznaje, że biegaczom pokonanie dystansu 42 km i 195 m utrudniała pogoda. Wiał tak silny wiatr, że niektóre osoby dosłownie zdmuchiwał z trasy. Utrudnieniem były też duża liczba przewyższeń i bardzo śliska nawierzchnia. „Trzeba było uważać, zwłaszcza gdy biegliśmy po kamieniach i kałużach. Musieliśmy też zwracać uwagę na wyrwy w ziemi. Najbardziej jednak dokuczał nam mróz. Temperatura na trasie wahała się od kilku do kilkudziesięciu stopni na minusie”, opowiada maratończyk. Tym bardziej cieszy dobry wynik Łukasza, który na metę dobiegł z czasem 3 h 54 min i 15 s, zajmując trzecie miejsce ex aequo

z Amerykaninem Jamesem Schroederem. Pierwszą lokatę wywalczył Polak, Włodzimierz Grocholewski.

W CIEPLEJSZYCH STRONACH

Trzy dni później st. szer. Łukasz Pochylski stał już na starcie kolejnego maratonu. Tym razem 42 km i 195 m pokonał w Punta Arenas w Chile. „Niewiele było czasu na regenerację, ale biegło mi się bardzo dobrze. Miałem dużo siły, więc zdecydowałem się zwiększyć dystans biegu do 50 km”, wspomina. Maraton ukończył z czwartą lokatą, ale na dłuższym odcinku był już liderem.

W marcu wystartował w trzecim maratonie, tym razem w Izraelu. Przyznaje, że ten bieg nie był dobrze zorganizowany. „Hale, w których zawodnicy odbierali pakiety startowe, zostały źle oznaczone. Dostaliśmy też nieprawidłowo wydrukowane mapki, więc spóźniłem się na start i ruszyłem siedem minut po innych zawodnikach”, opowiada. Trasa nie należała do najłatwiejszych: było dużo podbiegów, pagórków, a niewiele płaskich odcinków. „Takie przewyższenia bardzo obciążają nogi. Na szczęście sprzyjała nam pogoda, było mniej więcej 10–15 stopni Celsjusza i wiał chłodny wiatr”, wspomina. Trasę maratonu ukończył z czasem 3 h 26 min.

W połowie kwietnia zmierzył się z kolejnym wyzwaniem. „Maraton odbył się w Agadirze w Maroku. Nie obawiałem się samego biegu, a jedynie wysokich temperatur i logistyki. By dobrze się zaaklimatyzować, do Afryki poleciałem tydzień wcześniej”, mówi. Przed nim jeszcze trzy maratony. Czy jest zmęczony? „Nie. Mam dużo siły. A myśl, że będę pierwszym żołnierzem, który zdobędzie Koronę Maratonów Ziemi, dodatkowo mnie napędza”. ■

#RycerzeBialoCzerwonej

Mjr Andrzej Pindor - żołnierz w czwartym pokoleniu, uczestnik misji zagranicznych. We krwi ma pomaganie tym, którym zabrakło żołnierskiego szczęścia. Walczy o szacunek i wsparcie dla weteranów oraz ich rodzin. Zastępuje na miano rycerza biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

ONI ZASŁUGUJĄ NA POMOC

Z Andrzejem Pindorem

**o szacunku dla weteranów i potrzebie
wspierania tych, którzy ucierpieli na misjach,
rozmawia Jacek Matuszak.**

Skąd pomysł na to, by zostać żołnierzem?

W podjęciu decyzji pomogła mi rodzinna tradycja. Żołnierzami byli kolejno mój pradziadek, dziadek i ojciec. Ja jestem czwartym pokoleniem, które wybrało tę drogę. Niestety moja córka ma zupełnie inne zainteresowania, więc pewnie nastąpi przerwa w tej rodzinnej tradycji.

Jak to się stało, że został Pan komendantem Wojskowej Komendy Transportu w Gdańsku?

Po ukończeniu Wyższej Szkoły Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich trafiłem do 55 Pułku Przeciwlotniczego, gdzie służyłem jako oficer sekcji materiałowej. Niestety w 2001 roku tę jednostkę zlikwidowano. W tym czasie rozpoczynały się manewry wojsk sojuszniczych na poligonie drawskim i po-

WIZYTÓWKA

**MJR ANDRZEJ
PINDOR**

Jest komendantem Wojskowej Komendy Transportu w Gdańsku, a wcześniej służył w szczecińskiej komendzie transportu i był zaangażowany w logistykę związaną z misjami w Iraku, Afganistanie i Czadzie. Jest m.in. pomysłodawcą i organizatorem kilkudziesięciu akcji, które mają na celu budowę pozytywnego wizerunku weteranów w społeczeństwie. ■

trzebni byli oficerowie ze znajomością języka angielskiego. Uczestniczyłem w rozmowach kadrowych poprzedzających ćwiczenia „Strong Resolve '02”, w trakcie których poszukiwano specjalistów od transportu. Zaproponowano mi wtedy etat w komendzie transportu w Szczecinie.

Przyjęcie wszystkich sił przybywających na „Strong Resolve” odbywało się właśnie w porcie morskim

w Szczecinie i na lotnisku w Goleńiewie. Byłem oficerem transportowym, który miał wspierać te działania. Zaraz po tych ćwiczeniach I zmiana Polskiego Kontyngentu Wojskowego ruszała do Iraku i również wyjeżdżała ze Szczecina. To było kolejne ważne doświadczenie. Wówczas w wojsku nie było specjalistów od transportu morskiego i lotniczego szczebla strategicznego. Moje zaangażowanie dostrzeżono w Warszawie i zostałem włączony w skład nowo powołanej komórki przeznaczonej do wykonywania



zadań bezpośrednio na teatrze działań. W czasie operacji ISAF ta grupa już działała. Należałem do niej i służyłem w bazach w Sharanie i Bagram. Byłem też zaangażowany w rotację kończącego działalność kontyngentu w Iraku, gdyż część sprzętu trzeba było przerzucić do Afganistanu. Brałem także udział w likwidacji kontyngentu w Czadzie. W sumie 17 lat służby w Szczecinie i na misjach zaowocowało tym, że powierzono mi stanowisko komendanta Wojskowej Komendy Transportu w Gdańsku.

Jak przy tak absorbujących obowiązkach znajduje Pan czas na działalność społeczną, z którą jest Pan kojarzony zwłaszcza w środowisku weteranów?

To nie wygląda tak, że ja sobie planuję, że dziś popracuję kilka godzin, a potem zajmę się działalnością społeczną. Staram się to łączyć w taki sposób, aby nie ucierpiała moja służba. Ale pomaganie innym jest dla mnie równie ważne. Zresztą tą drogą poszedłem trochę przez przypadek. Kiedyś nie zastanawiałem się nad tym, jak w kraju radzą sobie ci, którzy z misji wrócili okaleczeni. Nie porównywałem tego z moimi doświadczeniami. Ja wracałem z delikatnymi problemami wynikającymi z tego, że napatrzyłem się na ludzkie nieszczęście. Po czasie jednak one mijały. Przeżyłem natomiast głęboki wstrząs, gdy na lotnisku widziałem płaczące rodziny przy trumnach, w których wracali polegli żołnierze. To skłaniało do refleksji. Uświadamiałem sobie, że to samo mogło spotkać mnie i moją rodzinę.

Przełomowym momentem był dla mnie jednak powrót z Czadu, gdzie zetknąłem się z wieloma przejawami wszechobecnej biedy. Tam dotarło do mnie, z czego potrafią się cieszyć ludzie żyjący w takich warunkach. Dziękiowali mi za butelkę wody czy jedzenie. Po tym doświadczeniu coś się we mnie przełamało. Później pomogłem koledze ze straży granicznej nawiązać kontakt z naszymi weteranami, bo chciał ich sytuacją zainteresować innych.

Wówczas zdecydował się Pan zorganizować akcję pomocy dla jednego z kolegów rannych w czasie misji?

Nie mogłem zrozumieć, jak można nie szanować naszych żołnierzy, którzy ginęli i odnosili rany na misjach

Niestety nieżyjący już dziś st. chor. Łukasz Sroczyński wrócił do kraju w śpiączce farmakologicznej. Pomocy potrzebowali on i jego rodzina. Przygotowałem akcję wsparcia dla nich i postanowiłem ją nagłośnić, żeby zwiększyć skuteczność. Nawiązałem kontakt z lokalnymi dziennikarzami w Szczecinie, ale temat szybko podjęły też niektóre media ogólnokrajowe. Żeby zorganizować konferencję w tej sprawie, musiałem uzyskać zgodę rodziny Łukasza. Dlatego pojechałem do jego bliskich – mamy, żony i córki. Wtedy uderzyło mnie, z jakimi problemami one się borykają. Oczywiście otrzymały wszystko, co wynikało z przepisów, ale czegoś jednak brakowało. Wtedy nie umiałem jeszcze określić czego, ale czułem, że coś jest nie w porządku. Po tej wizycie zacząłem intensywnie myśleć nad tym, jak pomóc tej rodzinie. Stopniowo zacząłem wprowadzać w życie moje pomysły. Udało się zorganizować dla bliskich Łukasza przeloty samolotem do szpitala w Warszawie, gdzie leżał. Zainteresowałem też przewoźnika PKP Intercity, który zaofero-



Mjr Andrzej Pindor: podczas misji ISAF służyłem w bazach Sharana i Bagram. Byłem też zaangażowany w rotację kończącego działalność kontyngentu w Iraku, gdyż część sprzętu trzeba było przerzucić do Afganistanu.



wał darmowe przejazdy pociągami. Postarałem się o komputer z łączem internetowym dla dziewczynki i udało się ją wysłać do parku rozrywki do Göteborga w Szwecji. W sumie to niewielkie rzeczy, ale poprawiły warunki życia rodziny żołnierza, a jego córce pomogły lepiej znieść to, co się stało z tatą. Z czasem zaczęły się kontaktować ze mną inne osoby, by zapytać, czy mogą się jakoś włączyć w tę pomoc. Nie bez znaczenia jest to, że mieszkańcy Szczecina są związani z 12 Dywizją Zmechanizowaną, której żołnierze wielokrotnie wyjeżdżali na misje.

Na pomocy jednej rodzinie Pan jednak nie poprzestał?

W Polsce mieliśmy kampanię, która ruszyła w 2013 roku z okazji święta misjonarzy – „Dzień Weterana – szacunek i wsparcie”. W mojej głowie zrodził się pomysł, by jednak przygotować kampanię całoroczną. Szczególnie zainspirowały mnie dwa słowa: „szacunek” i „wsparcie”. Nie mogłem zrozumieć, jak można nie szanować naszych żołnierzy, którzy ginęli i odnosili rany na misjach. Zabolało mnie, gdy ktoś córce Łukasza Sroczyńskiego powiedział, że jej tata był najemnikiem i dobrze, że został ranny. Uświadomiłem sobie, że spo-

łeczeństwo nie jest właściwie informowane o tym, co robią nasi żołnierze. Pomyślałem, że konieczna jest duża kampania medialna na ten temat z udziałem osób z pierwszych stron gazet, bo tylko wówczas ma ona szanse powodzenia.

Stąd akcja „Szacunek i Wsparcie”, w którą zaangażowali się m.in. Krzysztof Hołowczyc, Piotr Gruszk, Tatiana Okupnik, Jakub Błaszczykowski, Monika Pyrek, Marcin Gortat czy Małgorzata Kożuchowska. Jak namówić do współpracy takie gwiazdy?

Najpierw zwróciłem się do aktorów grających w serialu „Misja Afganistan”, ale ostatecznie, z różnych powodów, udział w kampanii potwierdziła tylko jedna osoba – Dawid Zawadzki. Nie poddałem się jednak i próbowałem dalej. Zacząłem zwracać się do znanych ludzi, którzy mieli jakikolwiek związek z wojskiem. Pamiętałem, że Kamil Stoch latał samolotem F-16, a Krzysztof Hołowczyc i Adam Małysz trenowali na naszych poligonach. W sumie skontaktowałem się z ponad setką osób, z których 12 zgodziło się na udział w kampanii. Kiedy później pytałem, dlaczego się zaangażowały, okazywało się, że najbardziej ujęło je to, że zajął się tym amator. Osoba, która nie chciała nic na tym zarobić. One też w naszej akcji wystąpiły za darmo. Mogłem też liczyć na wsparcie pana Dominika Pijańskiego, jednego z pomysłodawców kampanii na Dzień Weterana. Pomógł mi nagrać profesjonalne spoty z gwiazdami, które wypromowały akcję „Szacunek i Wsparcie”. Emitowano je nie tylko w internecie, lecz także w ogólnopolskiej telewizji. Dzięki temu wzrosło zainteresowanie akcją. Dzięki udziałowi w kampanii osób, które są idolami dla wielu młodych ludzi, udało się nam sprawić, że część społeczeństwa z większym zrozumieniem podeszła do polskich weteranów.

Pojawili się Pana naśladowcy?

Tak, jest ich coraz więcej. Dzięki zdobytemu doświadczeniu jest mi łatwiej podejmować kolejne inicjatywy. Dziś mecze siatkówki rozpoczynają się od wniesienia flagi przez weteranów. Dzieci misjonarzy jeżdżą do klubu Jakuba Błaszczykowskiego i Łukasza Piszczka. Co ważniejsze, coraz częściej odbieram telefony z prośbą o radę od osób, które opowiadają mi o własnych pomysłach na pomoc weteranom. Dla mnie nie jest ważne to, że ja wymyśliłem czy zainicjowałem daną akcję. Istotne jest, by przyniosła odpowiedni efekt. Najchętniej stoję w drugim szeregu. Cieszy mnie rosnąca liczba osób idących w moje ślady, bo to pokazuje, że ludzie mają w sobie potrzebę czynienia dobra. A weterani i ich bliscy na nie zasługują. ■

ANNA DĄBROWSKA

Niebieska eskadra

W Newark-on-Trent znajduje się największy polski cmentarz lotniczy na świecie.

Sześć załóg polskiego 301 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Pomorskiej” wystartowało 1 stycznia 1941 roku z brytyjskiej bazy Swinderby w swój pierwszy lot nad III Rzeszę. Celem była Brema, jej stocznice i lotnisko. Bombardowania odbyły się bez przeszkód, problemy zaczęły się w trakcie powrotu. Nad Anglią panowały trudne, zimowe warunki, szalały burze śnieżne, widoczność była bardzo słaba.

Fatalna pogoda sprawiła, że dwóm samolotom nie udało się wylądować, rozbiły się w nocy z 1 na 2 stycznia. Pierwszym z nich był wellington, który w trakcie lotu powrotnego został ostrzelany przez Ju-88 i, lądując, roztrzaskał się koło bazy Wellingore w Anglii. Zginęła cała załoga: ppłk pil. Stefan Floryanowicz, por. pil. Marian Olszyna, por. naw. Hieronim Kulbacki, sierż. radiooperator Jan Hejnowski, plut. strz. Ludwik Gachowski oraz plut. strz. Adam Guzowski.

Z drugiej załogi próbę lądowania przeżył tylko tylny strzelec Jan Wanciszewicz, a polegli: por. pil. Bolesław Murawski, por. pil. Tadeusz Dziubiński, kpt. naw. Bolesław Sadowski, plut. rtg. Kazimierz Sawicz i plut. rtg. Gustaw Kasianowski.

LOTNICZE GROBY

Lotników pochowano na cmentarzu miejskim w Newark-on-Trent nieopodal Nottingham w środkowo-wschodniej Anglii. W czasie wojny w pobliżu miasta stacjonowały polskie jednostki lotnicze, dlatego poległych, zabitych i zmarłych lotników chowano na miejscowym cmentarzu.

Pierwsze polskie groby pojawiły się tam w październiku 1940 roku. Z czasem ich przybywało, aż zapadła decyzja, aby z terenu nekropolii wydzielić sektor nazwany Cmenta-



rzem Lotników Polskich. Poświęcił go 15 lipca 1941 roku ksiądz biskup Józef Gawlina, a stojący na cmentarzu krzyż odsłonił gen. Władysław Sikorski, naczelny wódz Polskich Sił Zbrojnych.

Na terenie nekropolii spoczywa 353 polskich lotników, głównie z jednostek bombowych: 300 Dywizjonu „Ziemi Mazowieckiej”, 301 Dywizjonu, 304 Dywizjonu „Ziemi Śląskiej” oraz 305 Dywizjonu „Ziemi Wielkopolskiej”. Wśród nich jest m.in. kpt. pil. Stefan Sznidel, dowódca załogi wellingtona z 305 Dywizjonu. Samolot w nocy z 14 na 15 kwietnia 1942 roku został uszkodzony nad Dortmundem i rozbił się po przymusowym lądowaniu w miejscowości Wroot.

Miejsce spoczynku znalazła tu również sześciuosobowa załoga lancastera z 300 Dywizjonu, z ppłk. pil. Romual-

NA TERENIE NEKROPO- LII SPOCZYWA **353 POL- SKICH LOTNIKÓW,** GŁÓWNIEM Z JEDNOSTEK BOMBOWYCH

dem Sulińskim, dwukrotnym dowódcą dywizjonu, na czele. Ich maszyna rozbiła się po trafieniu przez piorun 4 lutego 1946 roku. Z kolei nocny myśliwiec uszkodził wellingtona z 301 Dywizjonu podczas minowania wód w rejonie Wysp Fryzyjskich i ten rozbił się na Dunmoor Hill nocą z 9 na 10 stycznia 1943 roku. Polegli por. pil. Tadeusz Tyrąła, kpt. naw. Tadeusz Sokoliński, kpr. rtg. Józef Pasierski, kpr. strz. Ernest Tabaczyński.

W Newark pochowano też lotników z jednostek szkolnych: polskiej szkoły pilotażu w Newton, jednostki przeszkolenia na ciężki sprzęt z Blyton oraz jednostki szkolenia bojowego w Bramcote. Znajdziemy tutaj także nieliczne groby pilotów z polskich dywizjonów myśliwskich, np. ppor. pil. Ryszarda Stankiewicza z 303 Dywizjonu, którego spitfire 15 grudnia 1942 roku wpadł w korkociąg podczas lotu treningowego.



W centralnym punkcie cmentarza stoi krzyż, na którym umieszczono 12 lotniczych orłów ze skrzydłami husarskimi.

PREZYDENCJI I WETERANI

Na cmentarzu leży także 45 polskich żołnierzy i oficerów służących w innych jednostkach: 1 Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej, 16 Brygadzie Pancernej, 1 Brygadzie Strzelców, 10 Pułku Dragonów oraz w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Swoje groby ma tu też około 130 żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej: Kanadyjczycy, Brytyjczycy, Nowozelandczycy i Australijczycy.

Tutaj złożono również ciała czterech polskich ofiar katastrofy gibraltarskiej z 4 lipca 1943 roku, w której zginął gen. Sikorski. Liberators, którym leciał, spadł do morza 16 sekund po starcie. Poza Naczelnym Wodzem w Newark pochowano gen. Tadeusza Klimeckiego, szefa Sztabu Naczelnego Wodza, płk. Andrzeja Mareckiego,

szefa III Oddziału Operacyjnego Sztabu Naczelnego Wodza oraz kpt. mar. Józefa Ponikiewskiego, adiutanta gen. Sikorskiego.

W 1993 roku ciało Naczelnego Wodza zostało ekshumowane i przeniesione do krypty pod katedrą pw. św. Stanisława i Wacława na Wawelu w Krakowie. W miejscu dotychczasowego spoczynku umieszczono kamienną tablicę informacyjną. Z kolei w grudniu 2010 roku w ramach śledztwa Instytutu Pamięci Narodowej badającego przyczyny katastrofy dokonano ekshumacji trzech polskich oficerów. Ich szczątki wróciły do Polski. Po przeprowadzeniu badań w zakładzie medycyny sądowej gen. Klimecki i płk Marecki zostali pochowani na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, a kpt. Ponikiewski spoczął w grobie rodzinnym w Oporowie koło Leszna.

Po 1947 roku zaczęto na cmentarzu w Newark chować także zmarłych weteranów Polskich Sił Powietrznych. W sekcji Stowarzyszenia Lotników Polskich spoczęło już kilkudziesięciu lotników, wśród nich: gen. bryg. Aleksander Gabszewicz, dowódca I i II Skrzydła Myśliwskiego, płk Wacław Makowski, pierwszy dowódca 300 Dywizjonu, oraz mjr Józef Jeka, dowódca 306 Dywizjonu Myśliwskiego. Ostatnie miejsce spoczynku znaleźli tutaj również trzej prezydenci RP na uchodźstwie: Władysław Raczkiewicz, August Zaleski oraz Stanisław Ostrowski.

Dziś Newark, gdzie spoczywa ponad 440 Polaków, jest jedną z największych polskich nekropolii w Wielkiej Brytanii, a także największym polskim cmentarzem lotniczym na świecie. W jego centralnym punkcie stoi krzyż, na którym umieszczono 12 lotniczych orłów ze skrzydłami husarskimi. Obok znajduje się maszt, na który podczas uroczystości wciągana jest polska flaga. Na terenie nekropolii znajduje się też pomnik ku czci pilotów różnych narodowości, poległych podczas lotów ze zrzutami zaopatrzenia dla walczących powstańców warszawskich.

Na Cmentarzu Lotników Polskich co roku w ostatnią niedzielę października organizowane są przez Radę Miasta Newark i polskich kombatanów uroczystości zaduszne. Biorą w nich udział reprezentanci organizacji kombatanckich i polonijnych, polskiej ambasady w Londynie, władz miasta, rodziny poległych żołnierzy, Polacy mieszkający na Wyspach. Harcerze zapalają wówczas na grobach żołnierzy znicze. ■

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Panu sierż. Tomaszowi Berkowskiemu

z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy

7 Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku.

Pani Danucie Cybulskiej-Frączak

wyrazy głębokiego współczucia

i szczerę kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze i pracownicy

Regionalnego Centrum Informatyki w Warszawie.

Wyrazy najszczerzego współczucia

z powodu śmierci

Ojca

Panu ppłk. Andrzejowi Nowakowskiemu

oraz Rodzinie

składają komendant Oddziału Żandarmerii Wojskowej

w Elblągu wraz z żołnierzami i pracownikami.

Naszemu Koledze

mjr. Bartłomiejowi Siudakowi

wyrazy najszczerzego współczucia

z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy RON

Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.

Wyrazy najgłębszego współczucia i żalu

po śmierci

Mamy

Panu Zbigniewowi Suchanowskiemu

i najbliższej Rodzinie

składają komendant, żołnierze, pracownicy RON

6 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Ustce.

Z wielkim smutkiem i żalem przyjąłem

wiadomość o tragicznej śmierci

Pana sierż. Mariusza Meyera,

żołnierza 34 Chojnickiego Batalionu

Radiotechnicznego.

W tej bolesnej chwili

Szanownej Małżonce, Dzieciom,

Rodzinie oraz Najbliższym Zmarłego

składam wyrazy głębokiego żalu i szczerego

współczucia.

Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej

gen. bryg. Wojciech Lewicki

wraz z podległą kadra

i pracownikami resortu obrony narodowej.

Wyrazy najgłębszego współczucia i szczerego żalu

Rodzinie oraz Bliskim

śp.

chor. Marka Ogrodowczyka

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy

9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Panu ppłk. Krzysztofowi Szulińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia

oraz szczerę kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze i pracownicy RON

1 Regionalnej Bazy Logistycznej w Wałcu.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia

z powodu śmierci

Ojca

Panu ppłk. Andrzejowi Nowakowskiemu

oraz Rodzinie

składają komendant główny Żandarmerii Wojskowej

oraz żołnierze i pracownicy

Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,

261 845 230, 261 840 227

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 19 marca 2018 roku zmarł w Toruniu,
przeżywszy 108 lat
śp.

por. Józef Żurek

urodzony 31 sierpnia 1909 roku w Gackach
k. Świecia.

Od kwietnia 1930 do sierpnia 1931 roku odbywał
służbę w Centrum Wyszkożenia Żandarmerii
w Grudziądzu. Podczas inwazji niemiecko-
sowieckiej we wrześniu 1939 roku walczył
w 4 Dywizji Piechoty w składzie dowodzonej przez
gen. bryg. Mikołaja Bołtucia Grupy Operacyjnej
„Wschód”. Uczestnik bitwy nad Bzurą. Najstarszy
wiekiem weteran Rzeczypospolitej. Uehonorowany
medalem „Pro Patria” oraz medalem Unitas Durat
Palatinatus Cuiaviano-Pomeraniensis.
Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu do Spraw
Kombatantów i Osób Represjonowanych

Wyrazy najgłębszego współczucia i żalu
po śmierci

Taty

**Panu płk. Tomaszowi Kulikowskiemu
i najbliższej Rodzinie**

składają koleżanki i koledzy z Departamentu
Prawnego Ministerstwa Obrony Narodowej.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 25 marca 2018 roku zmarł w Warszawie
śp.

**płk Jan Zdzisław Targosiński
ps. „Hektor”, „Ulisses”**

urodzony 28 marca 1915 roku w Kraśniku.
W 1938 roku rozpoczął studia polonistyczne
na Uniwersytecie Warszawskim.

Od stycznia 1940 roku żołnierz Obwodu Puławy
Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej.

Od maja 1943 roku dowódca Oddziału Leśnego
„Hektor”, przekształconego następnie w 3 kompanię
1 Batalionu 15 Pułku Piechoty „Wilków” AK.

Od czerwca 1944 roku oficer do spraw rzutów
w Inspektoracie Rejonowym AK Puławy.

W lipcu 1952 roku aresztowany przez funkcjonariuszy
UB, następnie, po długotrwałym śledztwie, skazany
na cztery lata więzienia.

Współzałożyciel i zasłużony działacz Stowarzyszenia
Polskich Kombatantów w Kraju.

Honorowy Prezes Środowiska Żołnierzy 15 Pułku
Piechoty „Wilków” AK.

Uehonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia
Polski, Krzyżem Walecznych,

Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, czterokrotnie
Medalem Wojska oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu do Spraw
Kombatantów i Osób Represjonowanych



Pamiętamy

mł. chor. sztab. Marek Krajewski
8 maja 2004 roku, PKW Irak

kpt. Sławomir Stróżak
8 maja 2004 roku, PKW Irak

kpr. Wiktor Ciereszko
12 maja 1976 roku, UNEF II Egipt

kpr. Zbigniew Grochowina
12 maja 1976 roku, UNEF II Egipt

st. chor. sztab. Aleksander Safon
19 maja 1975 roku, UNEF II Egipt

st. szer. Józef Stępnia
19 maja 1975 roku, UNEF II Egipt

st. szer. ndt. Tomasz Ługowski
21 maja 2000 roku, KFOR Kosowo

kpr. Tomasz CHMURA
29 maja 1994 roku, UNDOF Syria

st. sierż. Kazimierz Boroch
7 maja 1997 roku, UNIFIL Liban

chor. sztab. Andrzej Bakselerowicz
25 maja 1993 roku, UNTAC Kambodża

Panu kpt. Robertowi Nowakowi

wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składa dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z podległą kadrą i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Panu Zbigniewowi Olszewskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składa dowództwo i pracownicy RON
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Wyrazy współczucia i szczere kondolencje dla
mata Katarzyny Szmaglińskiej

z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu mjr. Bogumiłowi Będkowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składa dowódca i żołnierze CG TZKOP
oraz dowództwo i pracownicy RON
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Panu płk. Mariuszowi Zyglarskiemu

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dyrektor i pracownicy
Zakładu Inwestycji
Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego.

Panu Cezaremu Kmicie

oraz Jego Bliskim

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Uzbrojenia.

Panu st. chor. sztab. Leszkowi Kucowi

oraz Jego Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
oraz wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Regionalnego Centrum Informatyki w Warszawie.

Pani st. chor. Barbarze Urbańskiej

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu tragicznej śmierci

Brata

składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy resortu obrony narodowej
18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wejherowie.

Pani kpt. Justynie Kusiak

oraz Jej Bliskim

słowa otuchy i wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Regionalnego Centrum Informatyki w Warszawie.

Najszczerze kondolencje dla Kolegi

mjr. Jarosława Wiśnickiego

z powodu śmierci

Teścia

składają współpracownicy z Dowództwa WOT.

Wysportowany żołnierz to gwarancja bezpieczeństwa nas wszystkich i naszej ojczyzny”, podkreślił w liście skierowanym do uczestników dorocznej Gali Sportu Wojskowego Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej. Już po raz trzeci galę zorganizowało Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. 4 kwietnia żołnierzom sportowcom, którzy w zeszłym roku osiągnęli najlepsze wyniki, godnego reprezentowania kraju i wojska gratulowali m.in. Sebastian Chwałek, wiceminister obrony; Jan Widera, wiceminister sportu i turystyki oraz gen. broni Jarosław Mika, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych.

W imieniu wyróżnionych oraz wszystkich żołnierzy sportowców Wojsku Polskiemu podziękowała st. szer. Ewa Nelip: „Dziękuję dowódcom i przełożonym za ciągłe wsparcie w dążeniu do osiągania sportowych sukcesów. Dla wielu sportowców reprezentujących mniej popularne dyscypliny pomoc wojska jest często jedyną szansą na kontynuowanie sportowej kariery. Sama jestem tego najlepszym przykładem”.

WYBIERA KAPITUŁA

Już po raz szósty na Gali Sportu Wojskowego wyróżniono laureatów „Plebiscytu na najpopularniejszych sportowców Wojska Polskiego”, organizowanego przez redakcję portalu polska-zbrojna.pl (pierwszy raz wszystkich laureatów wybrała kapituła plebiscytu). Podczas uroczystości Maciej Podczaski, dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawniczego, wręczył nagrody zwycięzcom w pięciu kategoriach.

Sportowcem roku został kpr. Marcin Lewandowski, lekkoatleta z bydgoskiego WZS-u i Cywilno-Wojskowego Zespołu Sportowego Zawisza Bydgoszcz, tegoroczny halowy wicemistrz świata w biegu na 1500 m. W jego imieniu nagrodę odebrał ppłk Robert Pona, szef bydgoskiego WZS-u. Trenerem roku wybrano Józefa Lisowskiego, który od 1992 roku prowadzi reprezentacyjną sztafetę 4x400 m mężczyzn. W zeszłym roku jego podopieczni wywalczyli złoty medal na 34. Halowych Mistrzostwach Europy w Belgradzie. W zwycięskiej sztafecie pobiegli



JACEK SZUSTAKOWSKI PODWÓJNI ZWYCIĘZCY

W 2017 roku zdobywali medale. Za swoje sukcesy odebrali w Klubie Dowództwa Garnizonu Warszawa wyróżnienia i puchary, w tym nagrody za triumf w plebiscycie sportowym portalu polska-zbrojna.pl.

m.in. dwaj żołnierze: szer. Łukasz Krawczuk z WZS Wrocław i st. mar. Kacper Kozłowski z WZS Gdynia.

Tytułem „Mistrza sportu powszechnego” został uhonorowany por. Marcin Kołoszuk, oficer z 4 Pułku Przeciwlotniczego z Czerwieńska. Porucznik zdobył sześć złotych medali na Mistrzostwach Wojska Polskiego. Po trzy na czempionacie w pokonywaniu toru przeszkód ośrodka sprawności fizycznej i na mistrzostwach w pięcioboju wojskowym (w obu przypadkach indywidualnie, w biegu drużynowym i w klasyfikacji zespołowej). Por. Kołoszuk po raz drugi został laureatem plebiscytu.

SPECJALNE WYRÓŻNIENIE

Nadzieją sportu wojskowego została szer. Dominika Włodarczyk, kajakarka z CWZS Zawisza Bydgoszcz. W zeszłym roku na Młodzieżowych Mistrzostwach Europy do lat 23 wywalczyła dwa złote medale: w jedynekach na dystansie 200 m i w wyścigu czwórek na 500 m. Kajakarka z Bydgoszczy stanęła również na podium mistrzostw Starego Kontynentu w kategorii seniorów. Była druga w konkurencji K4 na 500 m i trzecia w rywalizacji dwójek na 200 m.

Kapituła plebiscytu portalu polska-zbrojna.pl wybrała laureata nagrody specjalnej, przyznawanej za całokształt oraz wkład w rozwój wojskowego sportu. Został nim ppłk Sebastian Krasoń z DGRSZ, który w latach 2011–2016 sześć razy z rzędu poprowadził reprezentację DGRSZ I do końcowego triumfu w klasyfikacji generalnej współzawodnictwa w sporcie powszechnym w Siłach Zbrojnych RP. Trzon tej reprezentacji tworzyli żołnierze z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, w której laureat był szefem Sekcji Wychowania Fizycznego i Sportu. W 2016 roku podpułkownik koordynował od-

tworzenie piłkarskiej reprezentacji Wojska Polskiego. Swoje wyróżnienia przyznała Wojskowa Federacja Sportu. Nagrodę Herkulesa Roku otrzymał ppłk rez. Dariusz Bednarek, wiceprezes urzędujący CWZS Zawisza Bydgoszcz. Puchar przyznany przez prezydenta RP za wybitne osiągnięcia sportowe w roku stulecia odzyskania niepodległości odebrał trener Józef Lisowski. ■

KSIĄŻKA

Głos ofiar

Ponad 130 tys. kobiet przeszło przez obóz koncentracyjny w Ravensbrück. Są jednak wątpliwości co do liczby zamordowanych. W czasie procesu hamburskiego podano, że było ich 90 tys., ale od lat mówi się raczej o 40–50 tys. Tak naprawdę dokładnej liczby nie poznamy już nigdy.

Ale czy jest ona taka istotna? Ocalone twierdzą, że o wiele ważniejsze są nazwiska ofiar i ich historie. Jedna tak mówiła o próbach ustalenia danych: „Niemcy zawsze nas liczyli. A teraz naukowcy liczą nas ponownie”.

Znana dziennikarka „The Sunday Times” i „The Independent” Sarah Helm skupiła się na przywróceniu tożsamości ofiarom nazistów. Autorka książki „Kobiety z Ravensbrück” poświęciła wiele uwagi na gruntowne

zbadanie tematu, który przez długi czas był wypaczany lub spychany na margines. Wiele kobiet po raz pierwszy przemówiło po latach, żeby opowiedzieć o morderczej pracy, głodzie, śmierci w męczarniach, eksperymentach medycznych, ale też o nadziei, bezinteresownej pomocy i heroicznej walce o przetrwanie. Helm oddała głos m.in. radzieckim komunistkom, niemieckim dysydentkom i prostytutkom, polskim i francuskim partyzant-

GRA

Z HISTORIĄ W TLE

Powędruj śladami weteranów polskich misji zagranicznych.

Jaka nazwa przylgnęła do KTO Rosomak podczas działań PKW Afganistan? Którego dnia obchodzony jest w Polsce Dzień Weterana Działających poza Granicami Państwa? Na te i wiele innych ciekawych pytań natrafimy podczas rozgrywki planszowej „Gra Wojsko Polskie – misje zagraniczne”. Dowiemy się m.in., ilu obserwatorów wysłała Polska do udziału w misji pokojowej OBWE w Górskim Karabachu albo ilu Polaków wzięło udział w ramach misji ISAF w Afganistanie.

Pierwszy i najważniejszy element gry to plansza przedstawiająca mapę świata w dość ścisłym ułożeniu, wskazująca najważniejsze, strategiczne miejsca polskich misji zagranicznych. Kolejne elementy to zestaw kart, na których znajdują się pytania, karty zadaniowe oraz punkty zwycięstwa. Trzeba ich zebrać jak najwięcej, by wygrać. Karty zadaniowe, takie jak: saper, wsparcie, NATO,

delegacja czy kantyna, zmuszają przeciwnika do podjęcia wyzwań. Szybkość nie ma znaczenia, liczą się strategia i atak. Zwycięzcą jest nie ten, kto dotrze do mety pierwszy, lecz ten, kto zdobędzie największą liczbę punktów.

Prezentowana gra jest kolejnym, interesującym projektem edukacyjnym Warszawskiego Instytutu Inicjatyw Strategicznych przygotowanym we współpracy z Centrum Weterana Działających poza Granicami Państwa oraz wydawnictwem Taktyka i Strategia. Ideą wspólnego przedsięwzięcia było poszerzanie w społeczeństwie wiedzy na temat konfliktów zbrojnych na świecie, w których Polska brała czynny udział, a jednocześnie pokazanie historii weteranów – uczestnicząc w działaniach poza granicami kraju, niejednokrotnie poświęcili wszystko...

MARTA SZULC



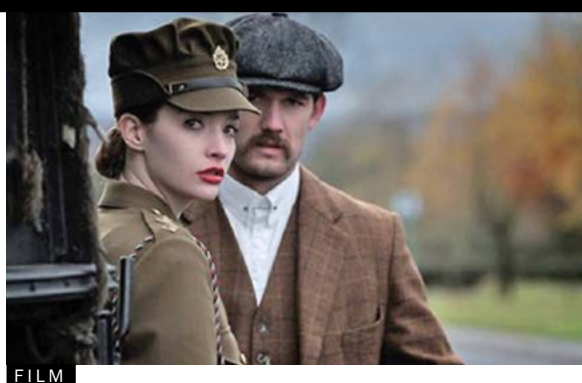
Wojciech Zalewski, „Wojsko Polskie – misje zagraniczne”, Warszawski Instytut Inicjatyw Strategicznych (WIIS) we współpracy z Centrum Weterana Działających poza Granicami Państwa oraz wydawnictwem Taktyka i Strategia, 2017.



kom, brytyjskim agentkom wywiadu, żydowskim kobietom. Pokazała tamtą rzeczywistość na przestrzeni lat, kiedy Ravensbrück przekształcił się z miejsca odosobnienia dla więźniów politycznych i społecznych w obóz morderczej pracy, a na końcu masowej eksterminacji. Zdobyła też dowody na to, że świat stosunkowo wcześniej wiedział o zbrodniach w Ravensbrück. I nic z tym nie zrobił...

ANETA WIŚNIEWSKA

Sarah Helm,
„Kobiety
z Ravensbrück”,
Prószyński i S-ka,
2017



Na tropie zbrodni

Wśród majowych premier kinowych znalazł się film „Katyn. Ostatni świadek”. Reżyser Piotr Szkopiak jest Polakiem mieszkającym w Anglii. Jego pochodzenie i miejsce zamieszkania bez wątpienia wpłynęły na kształt scenariusza i sposób narracji w filmie, którego akcja dotyczy polskiej historii, ale jest opowiedziana z punktu widzenia Brytyjczyków.

Jest 1947 rok. Młody dziennikarz Stephen Underwood (Alex Pettyfer), szukając tematu na artykuł, trafia na trop tajemniczego samobójstwa polskiego żołnierza w lokalnym obozie dla uchodźców. Jego śmierć prowadzi do przerażającej prawdy o dokonanych przez Sowietów kilka lat wcześniej mordzie w Katyniu.

Inspiracją filmu były losy świadka zbrodni katyńskiej Iwana Kriwoziercewa (Robert Więckiewicz), który w 1943 roku powiadomił Niemców o grobach polskich oficerów. Po wojnie, jako Michał Łoboda, uzyskał azyl polityczny w Wielkiej Brytanii. W 1947 roku został znaleziony martwy w obozie dla uchodźców.

JOANNA ROCHOWICZ

„Katyn. Ostatni świadek”, reż. Piotr Szkopiak



KSIĄŻKA

Jarosław Wróblewski, „Kwatera Ł.
Wolność jest kuloodporna”,
Frona, 2018.

Powrócili z zapomnienia

Łączka powązkowska
miejscem chwały.

Zbrodnia miała być doskonała, bo nigdy nieujawniona. To nawet nie było jej zatuszowanie, lecz całkowite usunięcie z pamięci. Początek – w więzieniu na Rakowieckiej. Niekończące się przesłuchania, tortury. Niewinny człowiek skazany na śmierć strzałem w tył głowy, metodą katyńską. Gdzieś wykopany głęboki, ciemny dół śmierci. Upór i odwaga osób badających dzieje żołnierzy wyklętych, z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem na czele, którym przyświecał jeden cel: odnaleźć i nazwać po imieniu... wszystkich! O tym właśnie jest ta książka – zbiór kilkunastu rozmów przeplatanych zdjęciami z prac ekshumacyjnych. Archeolodzy, medycy sądowi, naukowcy, prezesi, politycy, wolontariusze. Wszyscy tam na Łączce byli równi wobec okrutnej historii. Każdy z modlitwą na ustach i nadzieją w sercu szukał bohatera komunistycznych powstań, grzebiąc w ziemi rozpacz. „Wokół archeolodzy, wolontariusze, gdzieś z boku zamyślony profesor Krzysztof Szwagrzyk. Jesteśmy świadkami czegoś niezwykłego. Odkopujemy przecież naszą ukochaną Polskę. Kawalek po kawałku, centymetr po centymetrze”.

Jarosław Wróblewski stworzył niezwykłą książkę, która opowiada o tym, co każdy Polak wiedzieć powinien. W rozmowach z osobami pracującymi przy ekshumacjach pytał: „Dlaczego tu przyjechałeś i pomagasz?”. Wszyscy byli zgodni. Ku pamięci, ku chwale – mówili. Ciężko pracując, przez setki dni szukali bohaterów, nie spoczęli, aż odnaleźli wszystkich, co potwierdzają słowa prof. Krzysztofa Szwagrzyka: „Wszystkie szczątki ofiar komunizmu, które były na Łączce, zostały przez nas odnalezione”. Wolontariusze, jak żołnierze, wrócili po swoich na pole bitwy... na warszawską Łączkę.

MARTA SZULC



ANDRZEJ
FĄFARA

Wyrok na rotmistrzu



Przechodziłem setki razy w pobliżu więzienia na Mokotowie i nie miałem pojęcia, jakie tajemnice kiedyś kryło to miejsce. Naprzeciwko bramy więziennej znajdowało się boczne wejście do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dziś Szkoła Główna Handlowa), w której studiowałem. Nie wiedziałem rzecz jasna także o istnieniu rotmistrza Witolda Pileckiego, na którym tam, przy Rakowieckiej, 70 lat temu (25 maja 1948 roku) wykonano wyrok śmierci. Zapytałem przyjaciela, który studiował za komuny historię, i nawet on nie potrafił sobie przypomnieć choćby jednego wykładu o Pileckim. Nie ma się zresztą czemu dziwić. Rotmistrz w PRL-u uważany był za przestępcę, śmiertelnego wroga najwspanialszego z ustrojów. Bohaterami tamtych czasów byli „Mały Franek” i „Walter”.

Pileckiego aresztowano 8 maja 1947 roku, czyli niespełna cztery miesiące po sfałszowanych wyborach do Sejmu. Zastanawiam się, czy te dwa wydarzenia miały ze sobą jakiś związek. Można mieć pewność, że Służba Bezpieczeństwa rozpracowywała rotmistrza od dłuższego czasu. I można przypuszczać, że wstrzymywano się z aresztowaniem, by przed wyborami nie zaożnaczać nastrojów.

Witold Pilecki spędził w celi na Rakowieckiej ponad rok. Męczarnie, jakie tam przeszedł, były niewyobrażalne. Dostał się w ręce najlepszych specjalistów od katowania ludzi. Takich w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, kierowanym przez Stanisława Radkiewicza, nie brakowało. Podczas ostatniego widzenia wyznał żonie: „Oświećm to była igraszka”.

Proces zaczął się 3 marca 1948 roku, a wyrok zapadł 12 dni później – kara śmierci. 3 maja sąd drugiej instancji podtrzymał tę decyzję. W tym momencie zaczęły się najgorsze dni dla każdego skazanego – czekanie, kiedy przyjdą. Dobrze przynajmniej, że już nie torturowali. Rotmistrz Pilecki spędził 22 takie dni w celi śmierci mokotowskiego więzienia. Przyszli 25 maja późnym wieczorem.

W protokole, który się zachował, widnieje godzina 21.30. Czy to był jednak moment wykonania wyroku? Chyba nie. Na wyblakłej kartce maszynopisu jest informacja, że o tej godzinie zgłosił się do więzienia wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej mjr Stanisław Cypryszewski. W protokole widnieją wszystkie nazwiska uczestników egzekucji. Pięć osób, w tym dowódca plutonu egzekucyjnego. Wiele jednak wskazuje na to, że żadnego plutonu nie było. W licznych źródłach jest napisane, że rotmistrza uśmiercił strzałem w tył głowy tenże dowódca, Piotr Śmietański, zwany katem z Mokotowa.

Dobra szkoła. Witold Pilecki zginął w taki sam sposób, w jaki osiem lat wcześniej zostali zamordowani polscy oficerowie w Katyniu. ■



SPEED


SELEKCJA

organizator:

www.combat56.pl



21-23 CZERWCA 2018
POLIGON DRAWSKI

ORGANIZATOR



Pomorze
Zachodnie



polska Zbrojna



Energizer

C-BORG



PATRONAT HONOROWY
MARIUSZA BŁASZCZAKA
MINISTRA OBRONY NARODOWEJ

WYSTAWA

BIAŁO-CZERWONA
ORZEŁ BIAŁY
HYMN POLSKI
SZANUJ KOCHAJ CHROŃ

od 2 maja 2018,
Łazienki Królewskie,
plac przed Pałacem Na Wyspie

ZAPRASZAMY!

DUMA I GODNOŚĆ

Obecność flagi RP podkreśla rangę świąt państwowych, patriotycznych i religijnych. Gdy jesteś świadkiem podnoszenia flagi, skieruj wzrok na Białą-Czerwoną i zachowaj powagę. Jeśli nienosisz munduru, zdejmij nakrycie głowy (uwaga dotyczy mężczyzn).

BIAŁO-CZERWONA, ORZEŁ BIAŁY, HYMN POLSKI
SZANUJ KOCHAJ CHROŃ

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

 SŁUŻYMY
NIEPODLEGŁEJ